

R U D I N

8155

102

IWAN TURGIENJEW

RUDIN

P O W I E Ś Ć

*TŁUMACZYŁ Z ROSYJSKIEGO
STEFAN KOŁACZKOWSKI*

 *KRAKÓW — WARSZAWA* 
WYDAWNICTWO „PANTEON”

KRAKÓW, KSIĘGARNIA POWSZECHNA

1892/49

107040

II

Kryzaniowski, Kraków,
9. 9. 1949, nr. 350



I.

Był cichy, letni ranek. Słońce wzniosło się już wysoko na czystym niebie, ale rosa błyszczała jeszcze na polach. Zbudzone niedawno doliny tchnęły wonną świeżością i w lesie, wilgotnym jeszcze i spokojnym, wyśpiewywały wesołe ranne ptaszki. Na szczycie wzgórza, pokrytego całkowicie świeżo rozkwitłym żytem, widać było małą wioskę. Do wioski tej szła po polnej ścieżce młoda kobieta w białej perkalikowej sukni, okrągłym słomianym kapeluszu, z parasolką w ręce. W pewnej odległości za nią postępował kozaczek.

Szła bez pośpiechu, jakgdyby rozkoszując się spacerem. Wokoło, po wysokiem, rozkołysanem życie, mieniając się srebrzysto zielonemi tonami, przelewały się z miękkim szelestem długie fale;

wysoko w górze śpiewały skowronki. Młoda kobieta szła ze swej własnej wsi, oddalonej o wiorstę od wioski, ku której zmierzała; nazywała się Aleksandra Pawłowna Lipina. Była wdową bezdzietną, dosyć bogatą, mieszkała razem z swym bratem, rotmistrzem rezerwy, Sergjuszem Pawłowiczem Wołyncewem, który był nieżonaty i zarządzał jej majątkiem.

Aleksandra Pawłowna doszła do wioski, zatrzymała się przed ostatnią starą i niską chałupką i zawoławszy swego kozaczka, kazała mu wejść i zapytać o zdrowie gospodyni. Kozaczek powrócił szybko prowadząc z sobą zgrzybiałego chłopca z białą brodą.

— No, cóż? — zapytała Aleksandra Pawłowna.

— Żyje jeszcze — wymówił staruch.

— Można wejść?

— Dlaczegoż-by nie, można.

Aleksandra Pawłowna weszła do chałupy. Było w niej ciasno, duszno i pełno dymu. Ktoś poruszył się i zajęczał na tapczanie. Aleksandra Pawłowna obejrzała się i zobaczyła w półmroku żółtą i pomarszczoną twarz staruszki w kracia-

stej chustce na głowie. Okryta aż po piersi ciężkim kabatem oddychała z trudem, poruszając słabo chudemi rękami.

Aleksandra Pawłowna zbliżyła się do staruszki i dotknęła palcami jej czoła... pałało wprost.

— Jak się czujesz, Matreno? — zapytała, nachyliwszy się nad tapczanem.

— O-och! — zajęczała staruszka, wpatrując się w Aleksandrę Pawłownę. — Żle, źle, moja rodzona. Godzina śmierci nadeszła, gołębeczko!

— Bóg miłosierny, Matreno: może ci się jeszcze polepszyć. Czyś zażywała lekarstwo, które ci przysłałam?

Staruszka wzdychała smętnie i nie odpowiadała. Nie dosłyszała pytania.

— Zażyła, — odparł staruszek, stojący przy drzwiach.

Aleksandra Pawłowna obróciła się do niego.

— Oprócz ciebie nikogo przy niej niema? — zapytała.

— Jest dziewczynka — wnuczka jej, ale ot, ciągle się oddala. Nie posiedzi; taka wiercipięta. Wody się dać napić babce — i to się leni. A ja sam stary, gdzie mnie!

— Czyby jej nie przewieźć do mnie do szpitala?

— Nie! poco do szpitala? I tak przyjdzie jej umierać. Nażyła się dosyć, tak się widać Bogu podoba. Z tapczana nie schodzi. Gdzież jej jechać do szpitala! Jak się ją podniesie, toć umrze.

— Och, — zajęczała chora, — pani ślicznotko, sierotki mojej nie opuść; nasi państwo daleko, a ty...

Staruszka umilkła, mówiła z wysiłkiem.

— Nie niepokój się, — przemówiła Aleksandra Pawłowna: — wszystko będzie zrobione. Przyniosłam ci oto cukru i herbaty. Napij się, jeśli ci ochota przyjdzie. Samowar chyba u was jest? — dodała spoglądając na starucha.

— Samowar? samowara u nas niema, ale można pożyczyć.

— To pożycz, albo ja swój przyślę. I zapowiedz wnuczce, żeby się nie oddalała. Powiedz jej, że to wstyd.

Staruszek nie odrzekł nic i wziął w obie ręce torebkę z herbatą i cukrem.

— No, do widzenia Matreno, — dodała Aleksandra Pawłowna — ja jeszcze przyjdę do cie-

bie, bądź dobrej myśli i zażywaj lekarstwo regularnie.

Starucha uniosła głowę i wyciągnęła się w stronę Aleksandry Pawłowny.

— Daj rączkę, wielmożna pani, wyszeptała.

Aleksandra Pawłowna nie dała jej ręki, tylko schyliwszy się, pocałowała ją w czoło.

— Uważaj-że, — zwróciła się na odchodnem do starego — dawajcie jej koniecznie lekarstwo, tak jak jest przepisane w recepcie, i herbaty jej dajcie.

Stary znowu nic nie odpowiedział, tylko uklonił się.

Aleksandra Pawłowna, znalazłszy się na świeżem powietrzu, odetchnęła z ulgą. Otworzyła parasolkę i miała zamiar pójść do domu, gdy wtem z za węgła chałupy wyjechał na niskiej linijce człowiek lat około trzydziestu, w starym płaszczu z szarego grubego płótna i w takiej samej czapce. Ujrzawszy Aleksandrę Pawłównę zatrzymał natychmiast konia i zwrócił się do niej twarzą. Szeroka, bez rumieńców, z niedużemi jasno-szaremi oczami i jasno-blond wąsa-

mi, twarz ta nie wiele się różniła od koloru jego odzieży.

— Dzień dobry, — przemówił z leniwym uśmiechem: — Co to pani tutaj robi, wolno zapytać?

— Odwiedzałam chorą... A pan skąd, Michale Michałowiczu?

Człowiek, nazwany Michałem Michałowiczem, popatrzył jej w oczy i znów się uśmiechnął.

— To pani dobrze robi, — ciągnął dalej, — że chorą odwiedza, tylko czy nie lepiejby było przewieźć ją do szpitala?

— Za słaba, nie można jej ruszyć.

— A czy pani nie ma zamiaru szpitala skasować?

— Skasować? Dlaczego?

— O! tak.

— Cóż za dziwna myśl! Skądże to panu przyszło do głowy?

— A przecież się pani zna z Łasuńską i zdaje się, pozostaje pani pod jej wpływem. A według niej szpitale, szkoły — to wszystko głupstwa, niepotrzebne wymysły. Dobroczynność winna

być osobista, oświata również: wszystko to sprawy duszy... tak, zdaje mi się, ona się wyraża. Czyją to ona piosenkę śpiewa, radbym wiedzieć?

Aleksandra Pawłówna roześmiała się.

— Darja Michałówna jest mądrą kobietą, ja ją bardzo lubię i szanuję; ale i ona może się mylić, a ja nie każdemu jej słowu wierzę.

— Bardzo pani dobrze robi, — odparł Michał Michałowicz, nie schodząc wciąż z linii — bo ona sama swym słowom nie bardzo dowierza. A ja bardzo rad jestem, że panią spotkałem.

— A to czemu?

— Dobrze pytanie! Jak gdyby nie było zawsze przyjemnie panią spotkać. Dziś pani jest tak świeża i miła, jak ten poranek.

Aleksandra Pawłówna znów się roześmiała.

— Z czego się pani śmieje?

— Jakto z czego? Gdyby pan mógł widzieć, z jak znudzoną i chłodną miną wypowiedział pan ten komplement! Dziwię się, że pan nie ziewnął przy ostatniem słowie.

— Z chłodną miną... pani zawsze ognia po-

trzeba, a ogień na nic. Wybuchnie, nadymy i zgaśnie.

— I ogrzeje, — podchwyciła Aleksandra Pawłówna.

— Tak... i oparzy.

— No cóż, niech oparzy! Nie takie znów nieszczęście. Zawsze lepiej, niż...

— Zobaczmy, czy pani to samo powie, jeśli się pani kiedyś dobrze poparzy, — przerwał jej gniewnie Michał Michałowicz i śmignął lejcamy konia. — Dowidzenia.

— Michale Michałowiczu, niech się pan zatrzyma! — zawołała Aleksandra Pawłówna. — Kiedy pan u nas będzie?

— Jutro — proszę się bratu kłaniać.

I linijka odjechała.

Aleksandra Pawłówna popatrzyła w ślad za nim.

„Jak worek“ pomyślała. Zgarbiony, zakurzony, z zesuniętą na tył głowy czapką, z pod której nieporządnie sterczały kosmyki żółtych włosów, rzeczywiście podobny był do dużego worka z mąką. Aleksandra Pawłówna powoli wracała drogą ku domowi. Szła ze spuszczone

oczami. Bliski tupot konia zmusił ją do zatrzymania się i podniesienia głowy. Naprzeciw niej jechał jej brat konno; obok niego szedł młody człowiek niewielkiego wzrostu, w lekkim, rozpiętym surduciku, leciutkim halsztuku i lekkim popielatym kapeluszu, z trzcinową laseczką w ręce. Dawno już uśmiechał się do Aleksandry Pawłowny, chociaż widział, że ta, idąc w zamysleniu, nie zauważyła tego, a kiedy się zatrzymała, podszedł do niej radośnie i niemal pieszczotliwie przemówił:

— Dzień dobry pani, Aleksandro Pawłowno, dzień dobry!

— A! Konstanty Diumidowicz! dzień dobry, — odpowiedziała. — Pan od Darji Michałowny?

— Tak, właśnie, tak właśnie, — podchwycił z rozpromienionem obliczem młody człowiek: — od Darji Michałowny. Darja Michałowna posłała mnie do pani; wołałem iść pieszo... Taki cudny ranek, tylko cztery kilometry odległości. Ja przychodzę — a tu pani niema w domu. Brat pani powiedział mi, że pani poszła do Szymonówki, a on sam wybiera się w pole; poszedłem

z nim na spotkanie pani. Tak. Jakże to przyjemnie.

Młody człowiek mówił po rosyjsku czysto i poprawnie, ale z cudzoziemskim akcentem, chociaż trudno by było określić, z jakim mianowicie. W rysach jego twarzy było coś azjatyckiego. Długi, garbaty nos, duże, nieruchome, wypukłe oczy, grube, czerwone usta, cofnięte czoło, czarne jak smoła włosy, wszystko w nim zdradzało wschodnie pochodzenie, ale młody człowiek nazywał się Pandalewski, jako rodzinne miasto uważał Odesę, jakkolwiek wychowywał się gdzieś na Białorusi, na koszt pewnej dobroczynnej i bogatej wdowy. Druga wdowa wynalazła mu posadę. Wogóle damy w średnim wieku chętnie opiekowały się Konstantym Diumidyczem; umiał je wynajdywać. I teraz mieszkał u bogatej ziemianki, Darji Michałowny Lasuńskiej, w charakterze przygarniętego rezydenta. Był bardzo przymilny, usłużny, sentymentalny i w głębi duszy sybaryta. Posiadał przyjemny głos, grał dobrze na fortepianie i miał zwyczaj, rozmawiając z kimkolwiek wpijać się wprost w niego oczami. Ubierał się czyściutko i ubranie

nosił nadzwyczajnie długo, starannie wygalał szeroki swój podbródek i z równą starannością przyglądał włosy.

Aleksandra Pawłowna wysłuchiwała do końca jego przemowy i zwróciła się do brata.

— Miałam dziś dwa spotkania, przed chwilą rozmawiałam z Leźniewem.

— A, a z nim! czy jechał dokądś?

— Tak i wyobraź sobie na linijce, w jakimś płóciennym worku, cały zakurzony... jakież to to dziwak!

— Tak, może być, ale to jest nieprzeciętny człowiek?

— Kto? Pan Leźniew? — zapytał Pandalewski, jakgdyby zdziwiony.

— Tak, Michał Michałowicz Leźniew, odparł Wołyncew. Żegnaj siostró, czas mi jechać w pole, grykę sieją. Pan Pandalewski odprowadzi cię do domu.

I Wołyncew puścił się kłusem.

— Z największą przyjemnością! — wykrzyknął Konstantyn Diumidowicz i podał ramię Aleksandrze Pawłownie. Ona przyjęła je i oboje wyruszyli drogą do dworu.

Prowadzić pod rękę Aleksandrę Pawłownę było najwidoczniej dla Konstantego Diumidycza wielką przyjemnością. Postępował małutkimi krokami, uśmiechnięty, a jego wschodnie oczy wilgotniały nawet, co mu się zresztą nierzadko zdarzało. Nic go nie kosztowało rozrzewnienie lub uronienie łzy. Komużby zresztą nie sprawiało przyjemności prowadzenie pod rękę młodej, smukłej, ładniutkiej kobiety? O Aleksandrze Pawłownie cała okolica jednogłośnie mówiła, że jest zachwycającą, i okolica się nie myliła. Już sam jej prosty, ledwo, ledwo zadarty noseł mógł zawrócić głowę niejednemu śmiertelnikowi, nie mówiąc już o aksamitnych, czarnych oczach, złocisto-płowych włosach, dołeczkach na okrągłych policzkach i innych urokach. Ale ze wszystkiego najpiękniejszy był wyraz jej miłej twarzy. Ufny, dobroduszny i nieśmiały, jednocześnie wzruszał i pociągał. Aleksandra Pawłowna śmiała się jak dziecko; panie uważały, że jest naiwniutka... Czyż można sobie życzyć czegoś więcej?

— Mówił pan, że Darja Michałowna przysłała pana do mnie? — zapytała Pandalewskiego.

— Tak, przysłała, — odpowiedział wymawiając literę „s“ jak angielskie „th“ — życzy sobie koniecznie i rozkazała mi usilnie panią prosić, żeby pani była łaskawą przyjechać dziś na obiad... Pani Łasuńska, — Pandalewski, gdy mówił o trzeciej osobie, a zwłaszcza o damie, przybierał ton oficjalny. — Pani Łasuńska oczekuje dziś nowego gościa, z którym koniecznie pragnie panią zapoznać.

— Któż to?

— Niejaki baron Muffel, kamerjunkier z Petersburga. Darja Michałowna poznała go niedawno u księcia Garina i odzywa się o nim z wielkimi pochwałami, jako o uprzejmym i wykształconym młodzieńcu. Pan baron zajmuje się także literaturą albo raczej... ach, jaki cudowny motyl! Niech Pani raczy zwrócić uwagę... albo raczej, ekonomją polityczną. Napisał właśnie artykuł, poruszający bardzo ciekawe zagadnienie i pragnąłby wiedzieć, jaki sąd wyda o tem Darja Michałowna.

— O polityczno - ekonomicznym artykule? Z punktu widzenia języka, Aleksandro Pawłowno, z punktu widzenia języka, pani, przypusz-

czam, wiadomo, że pod tym względem Darja Michałowna jest znawczynią. Łukowski się jej radził, a dobrodziej mój, przebywający w Odessie, czcigodny starzec, Rohostan Mediopowicz Ksandyka... Zapewne pani знаła nazwisko tej osoby?...

— Bynajmniej, nigdy nie słyszałam.

— Nie słyszała pani o takim mężu? Zadziwiające. Chciałem właśnie powiedzieć, że i Rokostan Mediopowicz był zawsze wysokiego mniemania o znawstwie Darji Michałowny co do rosyjskiego języka.

— A czy ten baron nie jest pedantem? — zapytała Aleksandra Pawłowna.

— Ani odrobiny; Darja Michałowna opowiadała, że przeciwnie, z pierwszego rzutu oka widać w nim człowieka światowego. O Betthovenie mówił z takim krasomówstwem, że nawet stary książę poczuł zachwyt... Tego, przyznaję się, posłuchałbym chętnie, to przecież moja specjalność. Czy pozwoli pani ofiarować sobie ten prześliczny polny kwiatek? Aleksandra Pawłowna wzięła kwiatek i uszedłszy kilka kroków, upuściła go na drogę... Do domu jej było jeszcze

najwyżej ze dwieście kroków. Niedawno zbudowany i wybielony z dużemi jasnymi oknami z pośród gęstej zieleni starych lip i klonów, wabił ku sobie.

— Cóż więc pani każe donieść Darji Michałownie, — przemówił Pandalewski, zlekka obrażony losem ofiarowanego przez siebie kwiatka. — Będzie pani łaskawa przybyć na obiad? Pani Łasuńska i brata pani prosi.

— Tak, przyjedziemy napewno. A cóż Natalka?

— Natalja Aleksandrówna, dzięki Bogu, zdrowa... No, ale myśmy już minęli drogę do majątku Darji Michałowny. Pozwoli się pani pożegnać.

Aleksandra Pawłowna zatrzymała się. — A czy pan nie wstąpi do nas? — zapytała niezdecydowanym głosem.

— Z całej duszy pragnąłbym, ale się boję spóźnić. Darja Michałowna życzy sobie dziś posłuchać nowej etiudy Thalberga, trzeba się przygotować i poduczyć. Przytem ja, przyznaję się, powątpiewam, czy moja rozmowa sprawiłaby pani jakąkolwiek przyjemność.

— Ależ nie.. dlaczegoż-by...

Pandalewski westchnął i znacząco spuścił oczy.

— Dowidzenia, Aleksandro Pawłowno! — wyrzekł, pomilczawszy chwilę, uklonił się i cofnął o krok wstecz.

Aleksandra Pawłowna odwróciła się i poszła do domu.

Konstanty Diumidycz też puścił się w swą drogę. Z twarzy jego natychmiast znikła wszelka słodycz: pojawił się na niej wyraz pewności siebie, niemal surowości. Nawet ruchy jego zmieniły się, szedł teraz szerokim, ciężkim krokiem. Przeszedł ze dwa kilometry niedbale wymachując laseczką i wtem znów się uśmiechnął. Zobaczył w pobliżu drogi młodą, wcale urodziwą wiejską dziewczynę, wyganiającą z owsa cielęta. Ostrożnie, jak kot podszedł do dziewczyny i zagadał. Ta z początku milczała, rumieniła się, uśmiechała, wkońcu zakryła usta rękawem, odwróciła się i przemówiła: Idźcie se panie...

Konstanty Diumidycz pogroził jej palcem i kazał sobie przynieść bławatków.

— A na co wam bławatki? wianki będziecie pletli, czy co? — odrzekła dziewczyna — no, idźcie se...

— Posłuchaj, moja miła ślicznotko, — zaczął Konstanty Diumidowicz.

— Idźcie se panie, przerwała mu dziewczyna, — panicze, ot tam idą.

Konstanty Diumidowicz obejrzał się. Rzeczywiście, drogą biegli Jaś i Piotruś, synowie Darji Michałownej, za nimi szedł ich nauczyciel, Basistow, młodzieniec dwudziestoletni, świeżo po ukończeniu studjów. Basistow był tęgiej budowy, miał prostacką fizjonomję, wielki nos, grube usta i świńskie oczki. Nieładny i niezdarny, ale dobry, prawy i prosty. Ubierał się niedbale, nie strzygł włosów, nie dla pozy, a z lenistwa; lubił dobrze zjeść, wyspać się, ale lubił też dobrą książkę, ożywioną rozmowę i z całej duszy nienawidził Pandalewskiego.

Dzieci Darji Michałowny uwielbiały Basistowa i ani odrobiny go się nie bały; z resztą domowników żył na poufalej stopie, co nie bardzo się podobało pani domu, mimo jej rozumowań na temat przesądów klasowych.

— Dzieńdobry, moi milutcy! — zaczął Konstanty Diumidowicz, — jakże wcześnie wyszliście na spacer! A ja, — dodał, zwracając się do Basistowa — już dawno wyszedłem; moją namiętnością jest rozkoszowanie się przyrodą.

— Widzieliśmy, jak się pan rozkoszował przyrodą, — mruknął Basistow.

— Pan materjalista, zaraz Bóg wie, co sobie myśli. Ja pana znam!

Gdy Pandalewski rozmawiał z Basistowem lub podobnymi jemu ludźmi, irytował się zlekka i literę „s“ wymawiał czysto, nawet z pewnym świstem.

— A co się pan tej dziewczuchy pytał. O drogę chyba? — przemówił Basistow, wodząc oczami w lewo i w prawo. Czuł, że Pandalewski patrzy mu wprost w twarz i było mu to niesłychanie nieprzyjemne.

— Ja powtarzam, że pan jest materjalistą i nic więcej. We wszystkim pragnie pan widzieć tylko prozaiczną stronę...

— Dzieci! — zakomenderował nagle Basistow — czy widzieliście tam na łące łożę? Zoba-

czymy, kto do niej pierwszy dobiegnie, raz! dwa! trzy!

Dzieci puściły się pędem ku łozie, Basistow skierował się za nimi.

— „Chłop“ — pomyślał Pandalewski — „zepsuje tych malców... zupełny chłop“.

I z zadowoleniem obrzuciwszy wzrokiem swoją porządną i elegancką figurkę, Konstanty Diumidowicz strzepnął rozstawionemi palcami po rękawie surduta, wstrząsnął kołnierzem i udał się dalej. Wróciwszy do swego pokoju, ubrał się w stary szlafrok i z zatroskanem obliczem usiadł do fortepianu.

II.

Dom Darji Michałowny zaliczano prawie do najpierwszych w całej okolicy. Ogromny, murywany, według rysunków Ractellego w guście ubiegłego stulecia, pompatycznie wznosił się na szczycie wzgórza, u stóp którego przepływała jedna z głównych rzek środkowej Rosji. Sama

Darja Michałowna była to dobrze urodzona i bogata pani, wdowa po radcy tajnym.

Choć Pandalewski opowiadał o niej, że zna całą Europę, ba! i Europa ją zna! — jednakże Europa znała ją mało; nawet w Petersburgu ważnej roli nie odgrywała, zato w Moskwie wszyscy ją znali i wszyscy odwiedzali. Należała do wyższego towarzystwa i uchodziła za osobę trochę dziwną, niezupełnie dobrą, ale nadzwyczajnie mądrą. Za młodych lat była bardzo przystojną. Poeci pisali na jej cześć wiersze, młodzi ludzie się w niej kochali, poważni panowie włóczyli się za nią. Ale od owego czasu upłynęło dwadzieścia pięć, czy trzydzieści lat i z dawnych powabów nie zostało ani śladu. „Czyżby, — zapytywał sam siebie mimowoli każdy, kto widział ją po raz pierwszy, — czyżby ta chuda, żółta, ze spiczastym nosem, mimo że jeszcze nie była starą, kobieta mogła być kiedykolwiek piękną? Czyżby to ta sama, o której śpiewały liry?...“ I każdy wewnętrznie zdumiewał się nad zmiennością rzeczy doczesnych. Prawda i to, że Pandalewski uważał, iż Darja Michałowna zachowała zdumiewająco wspaniałe oczy, ale

przecież tenże Pandalewski twierdził, że ją zna cała Europa.

Darja Michałowna przyjeżdżała każdego lata do swego majątku wraz z swemi dziećmi (było ich troje: siedemnastoletnia córka, Natalja, i dwóch synów lat dziesięciu i dziewięciu) i prowadziła dom otwarty, to znaczy przyjmowała mężczyzn, zwłaszcza nieżonatych, prowincjonalnych pań nie znosiła. Dostawało się jej też za to od tych pań! Darja Michałowna, według słów ich, była dumna, złych obyczaj i straszna tyranka; a przedewszystkiem pozwalała sobie na taką swobodę w rozmowie, że aż strach! Darja Michałowna, rzeczywiście nie lubiła krępować się na wsi i w swobodnej prostocie jej obejścia można było dostrzec słaby odcień pogardy wielkomiejskiej lwicy dla otaczających ją szarych i małych istot. Zachowanie jej wobec miejskich znajomych było niedbałe, zlekka ironiczne, nie było w nim jednak owego pogardliwego tonu.

Czy zauważyłeś czytelniku, że człowiek niezwykle roztargniony w kółku swych podwładnych, nigdy takim nie bywa wobec ludzi wyżej

postawionych? Z czego to wynika? Zresztą, podobne pytania do niczego nie doprowadzają.

Gdy Konstanty Diumidowicz poznawszy wreszcie etiudę Thalberga opuścił swój czysty i wesoły pokój i udał się do bawialni, zastał tam już zebrane całe domowe towarzystwo. „Salon“ się już zaczął. Na szerokiej kuszetce podwinąwszy nogi pod siebie, a w rękach obracając nową francuską broszurę, siedziała pani domu. Przy oknie, nad krosnami siedziały: z jednej strony córka Darji Michałowny, a z drugiej m-lle Boncourt — guwernantka, chuda stara panna sześćdziesięcioletnia, w czarnej peruce pod kolorowym czepcem i wata w uszach. W kącie, około drzwi, umieszcili się Basistow i czytał gazetę; obok niego Jaś i Piotruś grali w szachy, a wsparty o piec, z rękoma założonemi w tył, stał niewielkiego wzrostu pan, siwy i rozczochrany, o smagłej twarzy i małych, ruchliwych, czarnych oczach — niejaki Afrykan Szymonowicz Pigasow. Dziwny to człowiek był ten pan Pigasow. Rozsierdzony na wszystko i wszystkich, osobliwie na kobiety, wymyślał od rana do wieczora, czasem bardzo trafnie, czasem dość

nieudolnie, ale zawsze z przyjemnością. Rozdrażnienie jego dochodziło wprost do dzieciństwa. Jego śmiech, dźwięk głosu, cała jego istota zdawała się być przepojona żółcią. Darja Michałowna chętnie przyjmowała Pigasowa; bawił ją swemi wybrykami, które rzeczywiście bywały dosyć śmieszne. Miał pasję wszystko przesadzać. Naprzykład: o jakimkolwiekby nieszczęściu przy nim opowiadano — czy, że od pioruna spłonęła wieś, czy, że woda zerwała młyn, czy też, że chłop jakiś odrąbał sobie siekierą rękę — on ze skupioną surowością zapytywał zawsze: „A jakże się ona nazywa?“, to znaczy, jak się nazywa kobieta, która była sprawczynią tego nieszczęścia, gdyż według jego mniemania, przyczyną każdego nieszczęścia bywa kobieta, trzeba tylko dobrze wniknąć w sprawę. Pewnego razu rzucił się na kolana przed kobietą, która chciała go ugościć i począł ją błagać płaczliwie, ale z wściekłością, żeby go oszczędziła, że w niczem jej nie zawinił i nie ma zamiaru w niczem jej szkodzić. Kiedyś koń poniósł pod górę jedną z praczek Darji Michałowny, wyrócił ją w rów i o mało nie zabił. Pigasow od tej pory nie nazy-

wał inaczej owego konia, jak „dobry, dobry konik“, a górę ową i rów uważał za bardzo malownicze miejsce. Pigasowowi nie powiodło się w życiu, dlatego popadł w manję. Rodzice jego byli biedni. Ojciec zajmował różne małe urzędy, sam ledwo pisać umiał i nie troszczył się o wychowanie syna; karmił go, odziewał i na tem koniec. Matka go psuła, ale wczesnie umarła. Pigasow sam się wychowywał, sam się umieścił w szkole powszechnej, potem w gimnazjum, nauczył się języka francuskiego, niemieckiego, a nawet łaciny i skończywszy gimnazjum z doskonałym świadectwem, udał się do Dorpatu, gdzie borykał się z biedą bezustannie, ale swoje trzyletnie studia dociągnął do końca. Zdolności Pigasowa nie wyrastały ponad przeciętność, odznaczał się cierpliwością i wytrwałością, ale przedewszystkiem miał silnie rozwinięte poczucie ambicji, pragnął wejść w dobre towarzystwo, nie pozostać w tyle za innymi, na złość losowi. I uczył się pilnie i na uniwersytet wstąpił z ambicji. Bieda złościła go i rozwijała w nim spostrzegawczość i przebiegłość. Miał swoisty sposób wyrażania się, od młodości przyswoił sobie specyficzny ro-

dzaj zjadliwego, poirytowanego krasomówstwa. Myśli jego nie wybiegały ponad przeciętny poziom, a mówił tak, że mógł się wydać rozumnym, a nawet mądrym człowiekiem. Otrzymawszy stopień kandydata, Pigasow postanowił się poświęcić pracy naukowej; zrozumiał, że w każdej innej dziedzinie nie mógłby dopędzić swych kolegów (starał się ich zawsze wybierać z wyższej sfery i potrafił się wkręcić nawet pochlebstwem chociaż zazwyczaj beształ). Ale tu, mówiąc otwarcie, nie starczyło mu sił. Będąc samoukiem, nie z miłości nauki, Pigasow w rzeczywistości umiał bardzo mało. Przy obronie tezy padł sromotnie, podczas gdy, zamieszkujący wraz z nim wspólny pokój inny student, z którego on się wyśmiewał ustawicznie, człowiek bardzo ograniczony, ale porządnie i gruntownie wychowany, tryumfował w całej pełni. Niepowodzenie to przyprawiło Pigasowa o wściekłość; wszystkie swoje książki i zeszyty rzucił w ogień i wstąpił do urzędu. Z początku wszystko szło nieźle, urzędnik był z niego aż miło, niezbyt wprawdzie zaradny, ale zato bardzo pewny siebie i dzielny, ale zapragnął wybić się jak naj-

prędzej — zaplątał się, potknął i zmuszony był wystąpić. Trzy lata przesiedział u siebie w małej, na dogodnych warunkach nabytej wiosce i nieoczekiwanie ożenił się z pewną wdową bogatą, bez wykształcenia, którą złowił na wędkę swego niedbałego i ironicznego sposobu bycia. Ale usposobienie Pigasowa stało się niemożliwie cierpkie, ustawicznie podrażnione; życie rodzinne ciążyło mu... Po kilku latach pożycia, żona jego wyjechała pokryjomu do Moskwy i tam sprzedała jakiemuś sprytnemu aferzyście swój majątek, w którym Pigasow właśnie wybudował dwór. Wstrząśnięty do głębi tym ostatnim ciosem, Pigasow rozpoczął układy z żoną, które do niczego nie doprowadziły. Żył odtąd samotnie; bywał u sąsiadów, którym w oczy i za oczy wymyślał, a którzy to przyjmowali z pewnym przymuszonym uśmiechem, aczkolwiek nie wzbudzał w nich poważnego strachu. Książki nigdy nie brał do ręki. Wioska jego liczyła około stu dusz *), chłopom nie działa się źle.

*) Za czasów pańszczyźnianych wartość majątku określało się liczbą poddanych.

— *Al Constantin!* — wyrzekła Darja Michałowna, gdy Pandalewski wszedł do salonu: — Czy przyjedzie *Alexandrine*?

— Aleksandra Pawłowna rozkazała mi podziękować za zaproszenie, niezwykłą przyjemność jej to sprawia, — wypowiedział Pandalewski, kłaniając się uprzejmie na wsze strony i przyglądając pulchną, białą rączką, z paznokciami obciętymi w trójkąt, swoje świetnie uczesane włosy.

— A Wołyncew będzie także?

— I on również.

— Jakże więc Afrykanie Szymonowiczu, — ciągnęła dalej Darja Michałowna, zwracając się do Pigasowa — według pana wszystkie panny są nieszczerze?

Usta Pigasowa wykrzywiły się w bok i nerwowo drgnął mu łokieć.

— Ja mówię, zaczął powoli — w silnym przypiływie złości mówił zawsze wolno i dobitnie: — ja mówię o pannach, o obecnych, oczywiście, milczę...

— Ale to nie przeszkadza panu o nich myśleć, przerwała Darja Michałowna,

— Ja o nich milczę, — powtórzył Pigasow. — Wszystkie panny wogóle są do najwyższego stopnia nieszczerze w wyrażaniu swych uczuć. Przestraszy się naprzykład panienka, ucieszy się z czego lub zasmuci, napewno najpierw przybierze wdzięczną pozę (tu Pigasow niezdarnie wygiął się i rozczapierzył ręce), a potem dopiero wykrzyknie: ach! albo zaśmieje się lub zapłacze. Mnie jednak (Pigasow uśmiechnął się z zadowoleniem), udało się raz wydobyć szczery, nie podrobiony odruch u pewnej wyjątkowo nieszczerej panny.

— Jakimże sposobem?

Oczy Pigasowa zabłyszczały.

— Żdzieliłem ją osinowym kołem w bok. Ona, jak nie wrzaśnie, a ja jej na to: brawo! brawo. Oto głos natury, to był szczery krzyk... Niech pani na przyszłość zawsze tak postępuje!

Wszyscy zebrani w pokoju zaśmiali się.

— Cóż pan za głupstwa wygaduje, Afrykanie Szymonowiczu! — wykrzyknęła Darja Michalowna.

— Czyż mogę uwierzyć, aby pan młodą panienkę kołem w bok uderzył.

— Dalibóg, kołem, olbrzymim kołem w rodzaju tych, jakich się używa przy obronie twierdz.

— *Mais c'est une horreur, ce que vous dites là, monsieur,* — zapiszczała M-lle Boncourt, groźnie spoglądając na śmiejące się dzieci.

— Niech mu pani nie wierzy, — powiedziała Darja Michałowna: — czyż go pani nie zna?

Ale zgorszona Francuzka długo nie mogła się uspokoić i wciąż mruczała pod nosem.

— Możecie mi państwo nie wierzyć, — ciągnął z zimną krwią dalej Pigasow; — ale ja twierdzę, że powiedziałem szczerą prawdę. Któż to może wiedzieć lepiej odemnie? Wobec tego mogą mi państwo również nie uwierzyć, że nasza sąsiadka Czupurowa, Helena Antonówna, sama, proszę zauważyć sama, opowiadała mi, iż zamorzyła głodem swego bliskiego krewnego.

— Ot, co też pan znów wymyślił!

— Pozwólcie państwo, pozwólcie! Wysłuchajcie i osądźcie sami. Proszę wziąć pod uwagę, że ja nie chcę robić na nią plotek, ja ją nawet lubię, o tyle o ile można lubić kobietę; w całym jej domu niema ani jednej książki, oprócz

kalendarza, czytać może tylko nie inaczej, jak głośno, poci się nad tem i skarży się potem, że jej się oczy białkami wywracają... Słowem, jest to dobra kobieta i służące jej są tłuste. Dlaczego miałbym ją obmawiać?

— No, zauważyła Darja Michałowna: — Afrykan Szymonowicz dosiadł swego konika — nie zesiądzie teraz z niego do wieczora.

— Mój konik... a kobiety mają ich aż trzy i nie zsiadają z nich nigdy, chyba gdy śpią.

— Cóż to za trzy koniki?

— Gderanie, przytyki i wyrzuty.

— Wie pan co, Afrykanie Szymonowiczu, — zaczęła Darja Michałowna: — nie bez przyczyny taki pan rozsierzony na kobiety. Musiała któraś pana...

— Skrzywdzić, chciała pani powiedzieć? — przerwał Pigasow.

Darja Michałowna zmieszała się nieco; przypomniała sobie o nieszczęśliwym ożenku Pigasowa.

— Jedna kobieta skrzywdziła mnie naprawdę, — wymówił Pigasow: — choć była dobra, bardzo dobra...

— Któż to taki?

— Moja matka — powiedział Pigasow zniżwszy głos.

— Pańska matka? czemuż ona mogła pana skrzywdzić?

— Tem, że mnie urodziła...

Darja Michałowna zmarszczyła brwi.

— Zdaje mi się, — rzekła — że rozmowa nasza nie wesoły przyjmuje obrót... *Constantin*, proszę nam zagrać nową etiudę Talberga. Może dźwięki muzyki poskromią Afrykana Szymonowicza. Orfeusz poskramiał wszakże dzikie zwierzęta.

Konstanty Diumidowicz usiadł do fortepianu i wcale nieźle zagrał etiudę. Natalja Aleksówna słuchała z początku uważnie, a potem znów wzięła robótkę do ręki.

— *Merci, c'est charmant*, — przemówiła Darja Michałowna: — lubię Talberga. *Il est si distingué*. O czym się pan zamyślił, Afrykanie Szymonowiczu?

— Myślałem właśnie, — zaczął wolno Pigasow: — że istnieją trzy rodzaje egoistów: egoiści, którzy sami żyją i pozwalają żyć innym,

egoiści, którzy sami żyją, a nie dają żyć innym i nakoniec egoiści, którzy ani sami nie żyją, ani nie pozwalają żyć innym... Kobiety, po większej części należą do tego trzeciego rodzaju.

— Jakże to uprzejmie! Jednemu tylko się dziwię, Afrykanie Szymonowiczu: pańskiej pewności siebie w wypowiedaniu swego zdania, jak-gdyby się pan nigdy nie mógł pomylić.

— Któż to mówi? I ja się myślę, mężczyzna też może się pomylić. Ale czy pani wie, jaka jest różnica między omyłką któregoś z nas, a omyłką kobiety? Nie wie pani? Oto taka: mężczyzna może, na przykład, powiedzieć, że dwa razy dwa nie cztery, a pięć albo trzy i pół; kobieta zaś powie, że dwa razy dwa — sterynowa świeca.

— Ja to chyba od pana słyszałam... Ale pozwoli pan zapytać, jaki związek ma pańska myśl o trzech rodzajach egoistów z muzyką, której pan przed chwilą słuchał.

— Żadnego, ja też nie słuchałem muzyki.

— No, „a jegomość, widzę, niepoprawny“ — powiedziała Darja Michałowna, zmieniając nieco wiersz Grybojedowa — cóż pan wreszcie lu-

bi, skoro się panu i muzyka nie podoba? Literaturę może?

— Literaturę lubię, byle nie współczesną.

— Dlaczego?

— Zaraz odpowiem. Przejeżdżałem niedawno przez Okę promem w towarzystwie jakiegoś pana. Prom przybił do stromego brzegu i trzeba było pojazdy wnosić. Kareta owego pana była bardzo ciężka. Kiedy przewoźnicy wynosili karetę na brzeg, pan stojąc na promie, tak sapiał, że aż wzbudzał współczucie... Oto, pomyślałem, nowe zastosowanie podziału pracy! Tak i z naszą literaturą współczesną: ludzie ciągną, pracują, a ona sapie.

Darja Michałowna uśmiechnęła się.

— I to się nazywa odtwarzaniem współczesnego życia, — ciągnął dalej nieubłagany Pigasow: — głębokiem odczuwaniem ogólnych zagadnień i jak tam jeszcze? Och, te szumne słowa!

— A kobiety, na które pan tak napada, przynajmniej nie używają szumnych słów.

Pigasow wzruszył ramionami.

— Nie używają, bo nie potrafią.

Darja Michałowna zarumieniła się zlekka.

— Zaczyna pan mówić grubiaństwa, Afrykanie Szymonowiczu, — zauważyła z przymuszonym uśmiechem.

Pokój zaległa cisza.

— Gdzie to jest Zołotonosza? — zapytał nagle Basistowa jeden z chłopców.

— W połtawskiej guberni, mój milutki, pochwyił Pigasow: — w centrum Małorosji. (Ucieszył się, iż nadarza się sposobność zwrócenia na inny tor rozmowy). Rozprawialiśmy o literaturze, ciągnął dalej: — otóż jeślibym miał za dużo pieniędzy, stałbym się zaraz ukraińskim poetą.

— A to co nowego? piękny poeta! — wyrzekła Darja Michałowna: — czy pan zna ukraiński język?

— Bynajmniej; ale to niepotrzebne.

— Jakto niepotrzebne?

— No tak, niepotrzebne. Wystarczy wziąć arkusz papieru, napisać w górze: „Dumka“, potem zacząć tak: „hej, ty doło moja, doło!“ albo: „siedzi kozak Nalewajko na kurhanie!“ albo jeszcze: „pid horoju, pid zełenoju szczoś hraje, hraje, woropaje, hop; hop!“ albo coś w tym

rodzaju. I dzieło uwieńczone. Małorus przeczyta, wesprze głowę na dłoni i napewno zapłacze. Taka czuła dusza!

— Zmiłuj się pan! — wykrzyknął Basistow. — Co pan wygaduje? To do niczego niepodobne.

— Ja przebywałem w Małorosji, lubię ją i znam jej język... „hraje, hraje, woropaje“ to zupełny bezsens.

— Być może; a Ukrainiec jednak zapłacze; mówi pan: język? A czyż istnieje małorosyjski język? Poprosiłem kiedyś pewnego Ukraińca o przetłomaczenie następnego, pierwszego, jakie mi się nawinęło, zdania: „gramatyka jest sztuką prawidłowego pisania i czytania“. Wie pan, jak on to przetłumaczył? „Hramatyka je sztuka prawilno czytaty i pysaty“... Czy to według pana język samodzielny? Prędzej bym pozwoił najlepszego swego przyjaciela w żarnach zemleć, nim się na to zgodzę...

Basistow chciał zaprzeczyć.

— Niech mu pan da spokój, — powiedziała Darja Michałowna: — przecież pan wie, że nie

innego prócz paradoksów nie usłyszysz pan od niego.

Pigasow uśmiechnął się zjadliwie. Wszedł lokaj i oznajmił o przybyciu Aleksandry Pawłowny z bratem. Darja Michałowna powstała na przyjęcie gości.

— Dzień dobry, *Alexandrine!* — wyrzekła podchodząc do niej: — jakże mądrze zrobiła pani, przyjeżdżając. Dzieńdobry, Sergjusz Pawłowiczu.

Wołyncew uściśnął dłoń Darji Michałowny i podszedł do Natalji Aleksówny.

— A czy ów baron, znajomy pani przyjedzie dzisiaj?

— Tak, przyjedzie.

— Ma opinię wielkiego filozofa. Hegiel wprost z niego tryska.

Darja Michałowna nic nie odpowiedziała, posadziła Aleksandrę Pawłowną na kozetce i umieściła się obok niej.

— Filozofja, — ciągnął Pigasow: — wyższy punkt widzenia! Oto jeszcze moje utrapienie, te wyższe punkty widzenia. I cóż można dojrzeć

z góry. Jeżeli zechcesz kupić konia, nie będziesz go oglądać z wieży.

— Ów baron chciał pani przywieźć jakiś artykuł? — zapytała Aleksandra Pawłowna.

— Tak, artykuł, — z przesadną nonszalancją odrzekła Darja Michałowna: — o stosunku handlu do przemysłu w Rosji... Ale proszę się nie obawiać, że będziemy go tu czytać... nie po to państwa zaprosiłam. *Le baron est aussi aimable, que savant.* I tak dobrze mówi po rosyjsku! *C'est un vrai torrent... il vous entraine.*

— Tak dobrze mówi po rosyjsku, — mruknął Pigasow: — że zasługuje na francuską pochwałę.

— Niech pan burczy jeszcze, Afrykanie Szymonowiczu, niech pan jeszcze burczy... To bardzo dobrze pasuje do pana rozczochranych włosów... Czemu on jednak nie przyjeżdża? Wiecie co, *messieurs et mesdames*, — dorzuciła Darja Michałowna, spojrzawszy wkoło: — pójdźmy do ogrodu, obiad nie będzie przed godziną, a pogoda cudowna.

Ogród dochodził aż do rzeki. Przecinały go stare lipowe aleje, pachnące ciemno-złociste

i mieniające się u wylotów szmaragdowemi płamami; było też dużo altanek z bzów i akacyj. Wołyncew wraz z Natalją i m-lle Boncourt zapuścili się w głąb ogrodu. Wołyncew szedł obok Natalji w milczeniu. M-lle Boncourt postępowała w pewnej odległości.

— Cóż pani dziś porabiała? — spytał wkońcu Wołyncew, poszarpując końce swych pięknych, ciemno-blond wąsów.

Rysami twarzy bardzo przypominał siostrę, ale wyraz jego twarzy był mniej wesoły i ożywiony, a z oczu pięknych i łagodnych wyglądał pewien smutek.

— Ot, nic, — odpowiedziała Natalja; — słuchałam wymyślań Pigasowa, wyszywałam na kanwie, czytałam.

— Co pani czytała?

— Czytałam.. historję wypraw krzyżowych — odrzekła Natalja, zlekka się zacinając.

Wołyncew popatrzył na nią.

— A! — wymówił wkońcu: — to musi być bardzo interesujące...

Zerwał gałązkę i machał nią w powietrzu. Przeszli jeszcze ze dwadzieścia kroków.

— Co to za baron, którego matka pani poznała? — spytał znów Wołyncew.

— Kamer-junkier, przyjezdny; *maman* bardzo go chwali.

— Mamusia pani jest skłonna do entuzjazmu.

— To znaczy, że serce jej młode jest jeszcze, — zauważyła Natalja.

— Tak. Przyślę pani niedługo konia. Już prawie zupełnie ujeżdżony. Chciałbym, żeby się z miejsca puszczał galopem. I dokażę tego.

— *Merci...* zawstydzą mnie pan jednak. Pan go sam ujeżdża... to podobno bardzo trudno.

— Żeby sprawić pani najmniejszą przyjemność, Nataljo Aleksówna, ja byłbym gotów, ja... i nie takie drobnostki...

Wołyncew splątał się.

Natalja spojrzała na niego przyjaźnie i jeszcze raz powtórzyła: *merci*.

— Wie pani, — ciągnął dalej Sergjusz Pawłowicz po długim młczeniu: — że niema takiej rzeczy... Ale poco ja to mówię? Przecież pani wie wszystko.

W tej chwili w domu zadzwieczał dzwonek.

— Ach! *la cloche du diner!* — wykrzyknęła m-lle Boncourt: — *retrous.*

— *Quel dommage*“, — pomyślała sobie stara Francuzka, wstępując w ślad za Wołyncewem i Natalją po stopniach ganku: — *quel dommage, que ce charmant garçon ait peu de ressources dans la conversation...* co na nasz język możnaby tak przetłomaczyć: Miły chłopak, ale fujara.

Baron nie przyjechał na obiad. Czekano na niego z pół godziny. Przy stole rozmowa się nie kleiła. Sergjusz Pawłowicz spoglądał tylko na Natalję, przy której siedział i gorliwie nalewał jej wody w szklanke. Pandalewski troskliwie starał się zająć sąsiadkę swą, Aleksandrę Pawłównę. Słodyczą opływało każde jego słowo, a ona o mało nie ziewała. Basistow kręcił kulki z chleba i o niczem nie myślał; nawet Pigasow milczał, gdy Darja Michałowna zwróciła mu uwagę, że jest dziś bardzo nieuprzejmy, odrzekł ponuro: kiedyż ja bywam uprzejmy? To nie moja rzecz... — I dodał, uśmiechając się gorzko: — odrobinę cierpliwości. Ja jestem przecie kwas, *du prosty, rosyjski kwas*; podczas gdy pani kamer-junkier...

— Brawo! — wykrzyknęła Darja Michałowna. — Pigasow jest zazdrosny, zawczasu zazdrosny!

Ale Pigasow nic nie odparł, tylko spojrzał z podełba. Wybiła siódma godzina i wszyscy znowu zebrali się w bawialni.

— Widocznie nie przyjedzie, — powiedziała Darja Michałowna.

Ale oto rozległ się odgłos pojazdu, mały tarentas wjechał na dziedziniec i po upływie kilku minut wszedł do bawialni lokaj i podał Darji Michałownie list na srebrnej tacce. Ona przebiegła go oczami i zwracając się do lokaja, zapytała:

— A gdzież pan, który ten list przywiózł?

— Siedzi w pojeździe. Czy pani rozkaże przyjąć?

— Proś.

Lokaj wyszedł.

— Wyobrażcie sobie, jaka przykrość, — ciągnęła dalej Darja Michałowna: — baron otrzymał polecenie natychmiastowego powrotu do Petersburga. Przysłał mi swój artykuł przez pewnego pana Rudina, swego przyjaciela. Ba-

ron chciał mi go przedstawić, bardzo go chwalił. Ale jakże to przykro! miałam nadzieję, że baron zabawi tutaj...

— Dymitr Mikołajewicz Rudin, — oznajmił lokaj.

III.

Wszedł człowiek lat około trzydziestu pięciu, wysoki, trochę pochyły, kędzierzawy, smagły, o nieregularnych rysach twarzy wyrazistej i mądrej, z szklistym blaskiem bystrych szafirowych oczu, prostym, szerokim nosem i czerwonymi ustami. Ubranie miał na sobie nie nowe i przyciasne, jakgdyby z niego wyrósł.

Zgrabnie podszedł do Darji Michałowny i skłoniwszy się zlekka, powiedział, iż dawno pragnął mieć zaszczyt być jej przedstawionym i, że przyjaciel jego, baron, żałował niezmiernie, że nie mógł się pożegnać osobiście.

Wysoki dźwięk głosu Rudina nie odpowiadał jego dużemu wzrostowi i szerokiej piersi.

— Proszę usiąść... bardzo rada jestem, — przemówiła Darja Michałowna i zaznajomiwszy go z całym towarzystwem, zapytała, czy jest tu-
tejszy, czy przyjezdny.

— Majątek mój znajduje się w T...skiej gubernji, — odrzekł Rudin, trzymając kapelusz na kolanach: — bawię tu niedawno. Przyjeżdżałem w interesie i osiadłem na razie w tutejszem powiatowem mieście.

— U kogo?

— U doktora. To mój dawny uniwersytecki kolega.

— A! u doktora... chwałą go. On podobno swój fach zna dobrze. A barona dawno pan zna?

— Spotkałem go tej zimy w Moskwie, a teraz bawiłem u niego około tygodnia.

— Baron jest bardzo mądrym człowiekiem.

— Tak.

Darja Michałowna powąchała róg chusteczki, przepojonej kolońską wodą.

— Czy pan jest na urzędzie? — zapytała.

— Kto? ja?

— Tak...

— Nie... jestem zwolniony.

Nastąpiło krótkie milczenie, poczem powrócono do ogólnej rozmowy.

— Pozwoli pan zapytać się, — zaczął Pigasow, zwracając się do Rudina: — czy znana panu jest treść artykułu przysłanego przez pana barona?

— Owszem, znana.

— Artykuł ten traktuje o stosunkach handlu... czy raczej chyba, przemysłu do handlu w naszym kraju... Tak, zdaje się raczyła się pani wyrazić Darjo Michałowno?

— Tak, takiej treści jest artykuł... — wymówiła Darja Michałowna i przyłożyła rękę do czoła.

— Ja oczywiście nie mogę o tych sprawach sądu wydawać, ciągnął Pigasow: — ale muszę się przyznać, że sam tytuł artykułu wydaje mi się nadzwyczajnie... jakby się tu wyrazić delikatnie?... nadzwyczajnie niejasny i zagmatwany.

— Czemuż to się panu tak wydaje?

Pigasow uśmiechnął się i popatrzył z ukosa na Darję Michałownę.

— A dla pana to jest jasne? — zapytał,

zwracając znów do Rudina swą małą, lisią twarz.

— Dla mnie jasne.

— Hm... naturalnie, pan to musi lepiej wiedzieć.

— Czy panią głowa boli? — zapytała Aleksandra Pawłowna Darję Michałownę.

— Nie, ze mną tak bywa... *C'est nerveux*.

— Pozwoli pan spytać, — zaczął znów swym przez nos wydawanym głosikiem Pigasow: — znajomy pana, pan baron Muffel... tak się, zdaje mi się, nazywa?

— Tak właśnie.

— Czy pan baron Muffel zajmuje się specjalnie ekonomją polityczną, czy też tylko poświęca tej ciekawej nauce chwile spoczynku, które mu pozostają od zajęć służbowych i rozrywek wielkiego świata?

Rudin spojrzał bacznie na Pigasowa.

— Baron jest dyletantem, — odrzekł rumieniąc się zlekka, ale w jego artykule dużo jest rzeczy słusznych i ciekawych.

— Nie mogę się z panem spierać, nie znając artykułu... ale ośmielam się zapytać, czy

utwór pańskiego przyjaciela, barona Muffa nie jest oparty więcej na ogólnych wywodach niż na faktach?

— Są w nim i fakty i wywody oparte na faktach.

— Tak, tak. Wyznam panu, według mego zdania... a ja mogę też, przy sposobności, od siebie coś powiedzieć; przebywałem trzy lata w Dorpacie... wszystkie te ogólne rozumowania, hipotezy, systemy... daruje pan, jestem parafjanin, prawdę rznę prosto... są nic nie warte. Wszystko to mędrkowania, psujące ludziom w głowie. Przedstawiajcie panowie fakty, to zupełnie wystarczy.

— W istocie! — wyrzekł Rudin. — No a sens faktów należy przedstawiać?

— Ogólne rozumowania, — ciągnął Pigasow: — to moja śmierć, te ogólne rozumowania, zapatrywania i wnioski. Wszystko to oparte na tak zwanych przekonaniach. Każdy rozprawia o swoich przekonaniach i wymaga dla nich szacunku, nosi się z niemi... Ech!

Tu Pigasow potrzaskał pięścią w powietrzu. Pandalewski roześmiał się.

— Ślicznie! — wyrzekł Rudin: — zatem według pana niema przekonań?

— Nie, nie istnieją.

— To jest pańskie przekonanie?

— Tak.

— Jakże więc pan twierdzi, że ich niema? Oto już jedno, przy pierwszej sposobności.

Wszyscy obecni w pokoju zamienili spojrzenia z uśmiechem.

— Proszę pozwolić, proszę pozwolić, jednak — zaczął Pigasow...

Ale Darja Michałowna zaklaskała w dłonie, wykrzyknęła: brawo, brawo, pobity Pigasow, pobity! — i leciutko wyjęła kapelusz z rąk Rudina.

— Raczy pani powstrzymać swą radość, zdąży pani jeszcze! — zaczął z gniewem Pigasow. — Nie wystarcza powiedzieć dowcip tonem wyższości, trzeba jeszcze dowieść, zargumentować... odbieglśmy od przedmiotu sporu.

— Proszę pozwolić, — zauważył z zimną krwią Rudin: — sprawa jest bardzo prosta. Pan nie wierzy w pożytek ogólnych rozważań, nie wierzy pan w przekonania...

— Nie wierzę, nie wierzę, w nic nie wierzę!

— Doskonale, jest pan sceptykiem.

— Nie widzę potrzeby używać takich uczonych słów. Zresztą...

— Niechże pan nie przerywa, — wdała się Darja Michałowna.

— „Kysz, kysz, kysz“ — powiedział do siebie w tej chwili Pandalewski i uśmiechnął się.

— To słowo wyraża moją myśl, — ciągnął Rudin. — Pan go rozumie, nie ma powodu, by go nie używać. Jeśli pan w nic nie wierzy... czemuż pan wierzy w fakty?

— Jakto czemu? A to dobre! Fakty są rzeczami znanymi, każdy wie, co to jest fakt. Sądzę o nich z doświadczenia, według własnego poczucia.

— A czyż poczucie nie może pana omylić? Poczucie panu mówi, że słońce kręci się około ziemi... czy może się pan nie zgadza z Kopernikiem? Może i jemu pan nie wierzy?

Uśmiech znowu przebiegł twarzę obecnych i oczy wszystkich skierowały się na Rudina. To nie głupi człowiek, pomyślał każdy.

— Pan wciąż raczy żartować, — powiedział

Pigasow. — To oczywiście jest bardzo oryginalne, ale niema nic do rzeczy.

— W tem, co mówiłem dotąd, — odparł Rudin, — jest niestety zbyt mało oryginalności. Wszystko to rzeczy znane, po tysiąc razy powtarzane. Nie w tem rzecz.

— A w czemże? — zapytał nieco zuchwale Pigasow.

W sprzeczce z początku podrwiwał z przeciwnika, potem stawał się ordynarny, a w końcu dąsał się i milknął.

— Oto w tem, — ciągnął Rudin: — przyznaję się, że nie mogę się oprzeć uczuciu prawdziwej przykrości, jeśli ludzie rozumni napadają w mojej obecności na...

— Na systemy? — przerwał Pigasow.

— Tak, choćby na systemy. Dlaczego pana przeraża tak to słowo? Każdy system oparty jest na znajomości praw podstawowych, pierwsze przyczyny...

— Ależ nie można ich poznać, ani odkryć... zmiłuj się pan!

— Proszę pozwolić. Naturalnie nie każdemu są one dostępne i omyłka jest ludzką właściwo-

ścią. Jednakże zgodzi się pan ze mną prawdopodobnie, że na przykład Newton odkrył choćby niektóre z tych podstawowych praw. Przypuśćmy, że to był genjusz, ale odkrycia genjuszów dlatego są właśnie wielkie, że stają się własnością wszystkich. Dążenie do wyszukania pierwszych przyczyn w poszczególnych zjawiskach jest jedną z istotnych cech ludzkiego rozumu i całe nasze wykształcenie...

— Tędy cię wiedli! — wycedził przerywając mu Pigasow. — Ze mnie człowiek praktyczny, w te wszystkie metafizyczne subtelności się nie wdaję i nie chcę się wdawać.

— Cudownie! To od pana woli zależy. Ale proszę zauważyć, że samo pragnienie pańskie, być li-tylko praktycznym człowiekiem, jest już swego rodzaju teorią, systemem...

— Wykształcenie, mówi pan! — podchwycił Pigasow: — tem jeszcze postanowił mnie pan zadziwić! Bardzo potrzebne to zachwalane wykształcenie! Złamanego szeląga za niego nie dałbym!

— Jak pan jednak nie umie dyskutować, Afrykanie Szymonowiczu! — zauważyła Darja

Michałowna, uradowana w duszy spokojem i wykwiintną grzecznością swego nowego znajomego.

„*C'est un homme comme il faut*“, pomyślała z życzliwą uwagą spoglądając na twarz Rudina. „Trzeba go będzie przynęcić“. To ostatnie zdanie pomyślała już w swym własnym języku.

— Nie będę stawać w obronie wykształcenia, — ciągnął po krótkim milczeniu Rudin: — ono nie potrzebuje mojej obrony. Pan go nie lubi... Każdy ma swój gust. Toby nas zresztą za daleko zaprowadziło. Pozwoli pan tylko przypomnieć sobie stare przysłowie: „Gniewasz się Jupiterze — a więc jesteś winien“. Chciałem powiedzieć, że wszystkie te napadania na systemy, ogólne rozważania i t. d. dlatego są podwójnie przykre, że wraz z systemami ludzie odrzucają wiedzę, naukę i wiarę w nią, a więc wiarę w samych siebie, w swoje siły. A ludziom ta wiara potrzebna, niewolno im żyć samemi wrażeniami, grzech byłby bać się myśli i nie dowierzać jej. Sceptytyzm odznaczał się zawsze bezsilnością i bezpłodnością...

— To są słowa! — zamruczał Pigasow.

— Bardzo możliwe. Ale pozwoli pan sobie zwrócić uwagę, że mówiąc „to są słowa“, sami chcemy często wykręcić się od konieczności powiedzenia czegoś bardziej rzeczowego od samych słów.

— Co takiego? — zapytał Pigasow, mrużąc oczy.

— Pan zrozumiał, co ja chciałem powiedzieć — odrzekł z mimowolnym, ale zaraz powstrzymanem zniecierpliwieniem Rudin. — Powtarzam, jeśli człowiek nie posiada trwałego zaczątku, w który wierzy, niema gruntu, na którym mocno stoi, jakże może sobie zdać sprawę z poszczególnych zjawisk, ze znaczenia, z przyszłości swego narodu? Jakże może wiedzieć, co mu czynić należy, jeśli...

— Ustępuję placu — porywczo wyrzekł Pigasow i ukłoniwszy się, odszedł na bok nie patrząc na nikogo.

Rudin popatrzył na niego, uśmiechnął się zlekka i umilkł.

— Aha! uciekł sromotnie! — powiedziała Darja Michałowna — niech się pan nie kłopotuje, Dymitrze... Daruje pan, — dodała z uprzej-

mym uśmiechem: — jakie jest imię pańskiego ojca?

— Mikołaj.

— Niech się pan nie kłopotce, łaskawy Dymitrze Mikołajewiczu. On nikogo z nas nie oszukał. Chciałby udać, że nie chce dalej dyskutować... a czuje, że nie może dyskutować z panem. Niech pan lepiej usiądzie bliżej nas i pogawędzi.

Rudin przysunął swe krzesło.

— Jakim to sposobem nie poznaliśmy się dotąd? — ciągnęła Darja Michałowna. — Dziwi mnie to... Czytał pan tę książkę? *C'est de Tocqueville, vous savez?*

I Darja Michałowna podała Rudinowi francuską broszurę.

Rudin wziął do ręki cienką książeczkę, przerzucił w niej kilka stronnic i położywszy ją z powrotem na stole, odpowiedział, że właściwie tego utworu S. Tocqueville'a nie zna, ale często myślał o poruszonem przez niego zagadnieniu.

Zawiązała się rozmowa. Rudin z początku jakgdyby się wahał, wypowiadał się niezdecydowanie, nie znajdując słów, aż wreszcie zapalił się i począł mówić.

Przez kwadrans jego głos tylko rozbrzmiewał w pokoju. Wszyscy zgromadzili się w koło niego. Jeden Pigasow pozostawał w oddaleniu, w kącie, obok kominka. Rudin mówił, mądrze, z zapalem i rzeczowo; wykazał dużą wiedzę, duże odczytanie. Nikt nie spodziewał się znaleźć w nim człowieka wybitnego. Tak był niepokąźnie ubrany, tak mało o nim słyszano. Wydało się wszystkim rzeczą niepojętą i dziwną, jakim sposobem nagle na wsi, mógł zjawić się człowiek tak mądry. Tem więcej zadziwił i można powiedzieć zachwycił wszystkich, poczynając od Darji Michałowny. Dumna była z tego nabytku i już naprzód myślała, jak to ona Rudina wprowadzi w świat. Mimo swego wieku, w pierwszych swoich wrażeniach bywała często niemal dziecinna. Aleksandra Pawłowna, prawdę mówiąc, niewiele rozumiała z wszystkiego tego, o czem mówił Rudin, mimo to bardzo była zdziwiona i uradowana; dziwił się również jej brat. Pandalewski śledził Darję Michałownę z zazdrością; Pigasow myślał sobie „za pięćset rubli jeszcze lepszego słowika dostanę“... Jednak najwięcej ze wszystkich wstrząśnięci

byli Basistow i Natalja. Basistow siedział z zapartym oddechem, otworzonymi ustami i wytrzeszczonymi oczami — i słuchał, słuchał jak nikogo jeszcze w życiu, a policzki Natalji pokryły się ponsowym rumieńcem i oczy wpatrzone nieruchomo w Rudina stały się ciemne i błyszczące.

— Jakie on ma piękne oczy! — szepnął jej Wołyncew.

— Tak, ładne.

— Szkoda tylko, że ręce ma duże i czerwone. Natalja nic nie odrzekła.

Podano herbatę. Rozmowa stała się bardziej ogólną, ale z nagłego milczenia, które zapadało z chwilą, gdy Rudin usta otwierał można było sądzić o wrażeniu, które wywarł. Darję Michailownę zdjęła nagła chętka podrażnić Pigasowa. Podeszła do niego i rzekła półgłosem „czemuż pan wciąż milczy i tylko uśmiecha się zjadliwie? Niechno się pan raz jeszcze z nim spróbuje“ i nie czekając na odpowiedź, skinęła ręką na Rudina.

— Jeszcze jednej rzeczy nie wie pan o nim, — rzekła wskazując na Pigasowa: on

strasznie nienawidzi kobiet, bezustannie napada na nie; proszę go nawrócić na drogę prawdy.

Rudin popatrzył na Pigasowa, mimowoli z góry, ponieważ był od niego o dwie głowy wyższy. Pigasow skreślił się ze złości i jego zgryźliwe oblicze zbladło.

— Darja Michałowna myli się, — zaczął niepewnym głosem; — ja nie tylko na kobiety napadam, cały ród ludzki niezbyt lubię.

— A cóż pana mogło naprowadzić na tak zły sąd o nim? — spytał Rudin.

Pigasow spojrzał mu wprost w oczy.

— Prawdopodobnie poznanie własnego serca, w którym z każdym dniem odkrywam coraz więcej paskudztwa. Sądzę drugich według siebie. To jest może niesprawdliwe, ale cóż pan chce? Przyzwyczajenie!

— Rozumiem pana i współczuję mu, — odrzekł Rudin. — Któraż szlachetna dusza nie doświadczała pragnienia, aby ukorzyć samą siebie? Nie należy tylko zatrzymywać się na tym punkcie bez wyjścia.

— Dziękuję uniżenie za wydanie mojej duszy świadectwa szlachetności — odparł Piga-

sow, — a położenie moje nie jest najgorsze, tak, że jeśli nawet znalazłby się jakiś punkt wyjścia, to Bóg z nim, nie będę go szukać.

— To znaczy — proszę mi darować wyrażenie — że przekłada pan zaspokojenie własnego samolubstwa nad pragnienie osiągnięcia prawdy.

— Jeszcze czego! — wykrzyknął Pigasow — samolubstwo — to ja rozumiem, i pan, mam nadzieję, rozumie, i każdy zrozumie: a prawda — cóż to jest prawda? Gdzież ona jest, ta prawda?

— Uprzedzam pana, że się pan powtarza — zauważyła Darja Michałowna.

Pigsow wzruszył ramionami.

— Cóż z tego? Zapytuję: gdzież prawda? Nawet filozofowie nie wiedzą, czym ona jest. Kant mówi: oto czym ona, a Hegel — nie, kłamiesz, ona jest oto tem.

— A czy pan wie, co mówi o niej Hegel? — spytał, nie podnosząc głosu, Rudin.

— Ja powtarzam, — ciągnął z nowym zapałem Pigasow: — że nie mogę pojąć, czym jest prawda. Według mnie niema jej wogóle na

świecie, to znaczy, jest takie słowo, ale samej rzeczy niema.

— Fi, fi! — wykrzyknęła Darja Michałówna: — jak się pan nie wstydzi tak mówić, stary grzeszniku! Prawdy niema? Pocóż wobec tego żyć na świecie.

— Ja myślę, Darjo Michałowno, — odparł z gniewem Pigasow: — że pani, w każdym razie lepiej byłoby żyć bez prawdy, niż bez pani kucharza Stefana, który jest takim mistrzem w gotowaniu buljonów. I na co pani prawda, proszę łaskawie powiedzieć? Przecież czepeczka z niej uszyć nie można.

— Żart nie jest odpowiedzią, — zauważyła Darja Michałowna, — zwłaszcza kiedy graniczy z obmawianiem.

— Nie wiem, jak jest z prawdą, ale ona widocznie tnie w oczy, — mruknął Pigasow, z urazą odchodząc w kąt.

A Rudin zaczął mówić o samolubstwie i mówił bardzo rzeczowo, dowodził, że człowiek bez samolubstwa jest niczem, że samolubstwo jest dźwignią Archimedesesa, którą ziemię poruszyć można, ale że, jednocześnie ten tylko zasługuje

na nazwę człowieka, kto umie zawładnąć swym samolubstwem jak jeździec koniem, kto osobowość swą przynosi w ofierze dobru ogólnemu.

— Samolubstwo, — zakończył — jest samobójstwem. Człowiek samolubny usycha jak samotne, bezpłodne drzewo; ale samolubstwo jako czynne dążenie do doskonałości jest źródłem wszystkiego, co wielkie. Tak! Człowiek musi przełamać uparty egoizm swej osobowości, żeby jej dać prawo do wypowiedzenia się.

— Czy nie mógłby mi pan pożyczyć ołówka? — zwrócił się Pigasow do Basistowa.

Basistow nie odrazu zrozumiał, czego żądał od niego Pigasow.

— Na co panu ołówek? — spytał w końcu.

— Chcę zapisać to oto ostatnie zdanie pana Rudina. Nie zapisawszy, mógłbym jeszcze zapomnieć! A zgodzi się pan, że takie zdanie równa się wielkiemu szlemowi w kartach.

— Są rzeczy, z których grzechem jest śmiać się i błaznować? Afrykanie Szymonowiczu! — Wypowiedział z zapalem Basistow i odwrócił się od Pigasowa.

W tym czasie Rudin podszedł do Natalji. Ona wstała i na twarzy jej widać było zmieszanie.

Wołyncew, który siedział obok niej, wstał również.

— Widzę fortepian, — zaczął Rudin tonem miłym i łaskawym, jak podróżujący książe: — czy to nie pani grywa na nim?

— Tak, ja grywam, — wymówiła Natalja: — ale nie zbyt dobrze. Oto Konstanty Diumidowicz gra znacznie lepiej odemnie.

Pandalewski wysunął twarz i odsłonił w uśmiechu zęby.

— Niepotrzebnie pani to mówi, Nataljo Aleksówna, nie gra pani wcale gorzej, niż ja.

— Czy pan zna „*Erlköniga*“ Szuberta? — zapytał Rudin.

— Zna, zna! — podchwyciła Darja Michajłowna. — Niechże pan siada *Constantin*... A pan, czy lubi muzykę Dymitrze Mikołajewiczu?

Rudin skłonił tylko zlekka głowę i powiódł ręką po włosach, jak gdyby przygotowując się do słuchania.... Pandalewski zagrał.

Natalja stała koło fortepianu nawprost Rudina. Z pierwszymi dźwiękami muzyki, twarz je-

go przybrała przepiękny wyraz. Jego ciemno-szafirowe oczy błdziły wolno, zatrzymując się z rzadka na Natalji, Pandalewski skończył.

Rudin nie mówiąc nic, podszedł do otwartego okna. Wonna mgła unosiła się nad ogrodem: uśpioną świeżością dyszały pobliskie drzewa. Gwiazdy cicho świeciły. Letnia noc rozaczała swój czar i upajała. Rudin popatrzył w ciemny ogród i odwrócił się.

— Ta muzyka i ta noc, — zaczął: — przypomniały mi moje studenckie czasy w Niemczech: nasze schadzki, nasze serenady...

— A pan był w Niemczech? — spytała Darja Michałowna.

— Spędziłem rok w Heidelbergu i około roku w Berlinie.

— I ubierał się pan po studencku? Mówią, że oni się tam jakoś osobliwie ubierają.

— W Heidelbergu nosiłem wysokie buty z ostrogami i czamarkę z szamerowaniem, a włosy zapuściłem do ramion. W Berlinie studenci ubierają się, jak wszyscy inni ludzie.

— Niech nam pan coś opowie ze swego stu-

denckiego życia, powiedziała Aleksandra Pawłowna.

Rudin począł opowiadać. Opowiadanie jego nie było bardzo udane, brakowało mu barwności, nie umiał śmieszyć. Zresztą przeszedł prędko od opowiadań o swych zagranicznych poczynaniach do ogólnych rozważań. O znaczeniu oświaty i nauki, o uniwersytetach i życiu uniwersyteckiem wogóle. Szerokimi i śmiałymi linjami kreślił wielki obraz. Wszyscy słuchali go z głęboką uwagą. Mówił po mistrzowsku, porywająco, nie zupełnie jasno... ale sama ta niejasność nadawała jego mowie osobliwy urok.

Natłok myśli przeszkadzał Rudinowi wyrażać się jasno i ściśle. Obrazy goniły za obrazami; porównania, to nieoczekiwane śmiałe, to zdumiewająco trafne napływały jedno za drugimi. Nie wyszukaną pewnością siebie doświadczonego mówcy, a natchnieniem przepojona była jego niecierpliwa improwizacja. Nie szukał słów; one same posłusznie i swobodnie cisnęły mu się na usta, i zdało się, że każde słowo wylewało się wprost z jego duszy, płonęło żarem przekonania. Rudin zawładnął jakoby wyższą, tajemni-

czą siłą — muzyką krasomówstwa. Umiał, uderzając w jedną strunę serca, zmuszać wszystkie pozostałe do dążenia i współdźwięku. Niejeden słuchacz może i nie rozumiał dokładnie o czem była mowa, ale pierś jego wznosiła się wysoko, jakieś zasłony rozdzierały się przed jego oczami i ukazywało się świetliste zjawisko.

Wszystkie myśli Rudina zdawały się być zwrócone ku przyszłości, nadawało im to pewną cechę dążności i młodości. Mówił stojąc u okna i nie zwracając się do nikogo z osobna — natchniony ogólną uwagą i odczuciem, bliskością młodych kobiet, pięknnością nocy, porwany potokiem własnych wrażeń, wzniosł się do krasomówstwa, do poezji... Sam dźwięk jego głosu, skupiony i cichy, powiększał upojenie. Zdawało się, że przez jego usta przemawia coś wyższego, dla niego samego nieoczekiwanego... Rudin mówił o tem, co nadaje cechę wieczności doczesnemu życiu ludzkiemu.

— Pamiętam jedną skandynawską legendę, — rzekł na zakończenie. — W długiej, ciemnej szopie siedzi król ze swymi wojami wokoło ogniska. Rzecz się dzieje w zimie. Wtem mały

ptaszek wlatuje przez otwarte drzwi i wylatuje drugimi. Król czyni uwagę, że ptaszek ten — jak człowiek na świecie: przylatuje z ciemności i w ciemności ulata, niedługo przebywając na świetle i cieple. „Królu“ — odparł najstarszy z wojów: — „ptaszek i w ciemności nie zginie i gniazdo swe odszuka“... Tak samo życie nasze krótkie jest i marne; ale wszystko, co wielkie dokonywuje się przez człowieka. Świadomość, iż się jest narzędziem tych wyższych sił, powinna zastąpić człowiekowi wszelkie inne radości: w samej śmierci odnajdzie swe życie, swoje gniazdo...

Rudin zatrzymał się i spuścił oczy z uśmiechem mimowolnego zmieszania.

— *Vous êtes un poète*, — przemówiła półgłosem Darja Michałowna.

I wszyscy w duchu się z nią zgodzili, — wszyscy, z wyjątkiem Pigasowa. Nie doczekawszy końca długiej przemowy Rudina, wziął pochutku kapelusz i wychodząc, szepnął ze złością do stojącego w pobliżu drzwi Pandalewskiego:

— Niel pojedę do głupców!

Zresztą nikt go nie zatrzymywał i nie zauważył jego nieobecności.

Służba wniosła kolację i w pół godziny potem wszyscy się rozjechali i rozeszli. Darja Michalowna uprosiła Rudina, aby przenocował. Aleksandra Pawłowna powracając do domu karetą wraz z bratem, kilkakrotnie poczyniała unosić się i podziwiać niezwykle rozum Rudina, Wołyncew zgadzał się z nią, zauważył jednak, że Rudin wyraża się trochę niejasno, to znaczy niezbyt dobitnie, dodał, chcąc prawdopodobnie określić bliżej swoją myśl; ale twarz jego zachmurzyła się i utkwivszy wzrok w kąt karety zdawał się jeszcze smutniejszy.

Pandalewski, kładąc się spać i zdejmując swe wyszywane jedwabiem szelki, wymówił głośno: „bardzo zręczny człowiek“ i spojrzawszy nagle surowo na swego kozaczka kazał mu wyjść. Basiłow całą noc nie spał i nie rozbierał się; do samego rana pisał list do pewnego swego kolegi w Moskwie. A Natalja, jakkolwiek rozebrała się i położyła do łóżka, też nie zasnęła ani na minutę, nie zamknęła nawet oczów. Podparłszy głowę ręką, patrzyła uporczywie

w ciemność, pulsa jej biły gorączkowo i ciężkie westchnienie często wznosiło pierś.

IV.

Następnego rana, gdy Rudin zaledwie zdążył się ubrać, zjawił się u niego służący od Darji Michałowny z zaproszeniem przybycia do jej gabinetu i wypicia z nią herbaty. Rudin zastał ją samą. Przywitała go bardzo uprzejmie i zapytała, czy dobrze spędził noc, sama naląła mu filiżankę herbaty, spytała nawet, czy nie zamało cukru, poczęstowała go papierosem i dwa razy znowu powtórzyła, iż dziwi się, czemu dawniej nie zaznajomiła się z nim. Rudin usiadł nieco w oddali; ale Darja Michałowna wskazała mu mały taburet, stojący obok jej krzesła i pochyłona zlekka w jego stronę, poczęła rozpytywać go o rodzinę, o jego zamiary i projekty. Darja Michałowna mówiła niedbale, słuchała z roztargnieniem, ale Rudin zrozumiał doskonale, że starała się zdobyć go, nieomal pochlebiała mu. Nie na próżno urządziła to ranne spotkanie, nie na próżno ubrała się prosto, a wytwornie *à la ma-*

dame Récamier! Zresztą Darja Michałowna prędko przestała rozpytywać. Poczęła mu rozpowiadać o sobie, o swej młodości, o ludziach, których znała. Rudin z uwagą śledził potok jej wymowy, choć — dziwna rzecz! — o jakiegokolwiek-by osobie zaczęła mówić Darja Michałowna, na pierwszym planie pozostawała zawsze jednak ona, ona sama, a osoba owa dziwnie jakoś skrywała się i zniżała.

Zato Rudin dowiedział się szczegółowo, co mianowicie Darja Michałowna mówiła takiemu to znanemu dygnitarzowi, jaki wpływ miała na takiego-to znakomitego poetę. Sądząc z opowiadań Darji Michałowny, można było pomyśleć, że wszyscy wybitni ludzie ostatniego dwudziestopięciolecia tylko o tem marzyli, żeby się z nią widzieć i zasłużyć na jej przychylność. Ona zaś mówiła o nich prosto bez osobliwych zachwyków i pochwał, jak o równych, nazywając niektórych z nich cudakami.

Mówiła o nich, i jak bogata oprawa około drogiego kamienia, układały się ich nazwiska wspinałem obramowaniem około głównego imienia — około Darji Michałowny.

A Rudin słuchał, palił papierosa i milczał, zrzadka tylko wstawiając w mowę rozgadanej pani małe uwagi. On umiał i lubił mówić, prowadzić rozmowy nie potrafił, ale umiał też słuchać. Każdy kogo tylko nie zbijał z tropu z początku rozwodził się z ufnością w jego obecności. Tak chętnie i zachęcająco śledził za wątkiem czyjegoś opowiadania. Była w nim pewna dobroduszość — ta osobliwa dobroduszość, którą spotkać można u ludzi przywykłych czuć się wyższymi panad otoczenie. W dyskusjach rzadko kiedy pozwalał się wypowiadać swemu przeciwnikowi i przytłaczał go swą nieugiętą i namiętą djalektyką.

Darja Michałowna mówiła po rosyjsku. Kokietowała znajomością rodzimego języka, chociaż galicyzmy, francuskie słówka, zdarzały się jej często. Umyślnie używała prostych ludowych zwrotów, nie zawsze udanych. Ucha Rudina nie raziała ta dziwna pstrokaczna mowy w ustach Darji Michałowny, i wątpliwe, czy właśnie na to — nastawiał ucha.

Darja Michałowna zmęczyła się w końcu

i oparłszy głowę o poduszkę fotela, skierowała oczy na Rudina i umilkła.

— Teraz rozumiem, — zaczął powoli Rudin, — teraz rozumiem, dlaczego pani każdego lata przyjeżdża na wieś. Ten wypoczynek jest dla pani nieodzowny: po stolicznem życiu cisza wiejska odświeża i wzmacnia panią. Jestem przekonany, że musi pani głęboko odczuwać piękno przyrody.

Darja Michałowna popatrzyła z ukosa na Rudina.

— Przyroda... tak... tak, naturalnie... strasznie ją lubię; ale wie pan, Dymitrze Mikołajewiczu, i na wsi nie można obejść się bez ludzi. A tu prawie nikogo niema. Pigasow tutaj najmądrzejszy człowiek.

— Wczorajszy gniewny staruszek? — zapytał Rudin.

— Tak, ten... Na wsi zresztą i on się przyda — choć czasem rozśmieszy.

— On nie jest głupim człowiekiem, — odrzekł Rudin — ale jest na fałszywej drodze. Nie wiem, czy się pani ze mną zgodzi, Darjo Michałowno, ale w zaprzeczaniu — w zaprzeczaniu

pełnem i ogólnem — niema szczęścia. Zaprzeczając wszystkiemu, łatwo można zasłynąć jako człowiek mądry, to znana pułapka. Ludzie do-
brodusznii zaraz gotowi wyciągnąć wniosek, że się jest wyższym ponad to, co się zaprzecza. A to bywa często nieprawdą. Po pierwsze, na wszystkim można znaleźć plamy a powtóre, jeśli nawet ma się rację, to tem gorzej. Umysł skierowany jedynie ku zaprzeczaniu ubożeje i usycha. Zaspakajając swoje samolubstwo, człowiek pozbawia się istotnych rozkoszy pojmowania życia, treść życia wymyka się z pod jego małodusznej i zgryźliwej baczności, i kończy się tem, że człowiek zaczyna wymyślać i śmieszyć.. Pouczać, ganić ma prawo tylko ten, kto kocha.

— *Voilà, m-r Pigassoff enterré*, — powiedziała Darja Michałowna. — Jakże pan po mistrzowsku określa ludzi! Zresztą, Pigasow pewno-by pana nie zrozumiał. A kocha on tylko swą własną osobę.

— I beszta ją dlatego, aby mieć prawo besztać innych, — podchwycił Rudin.

Darja Michałowna zaśmiała się.

— Z chorej... jak się to mówi... z chorego na zdrowego. *A propos*, co pan myśli o baronie?

— O baronie? To porządny człowiek, dobre ma serce, wykształcony... ale bez charakteru... i on przez całe życie zostanie półuczonym, półświatowcem, t. j. dyletantem, t. j. mówiąc bez ogródek, — niczem... A szkoda!

— Jestem tego samego zdania, — wyrzekła Darja Michałowna. Czytałam jego artykuł... *Entre nous... cela a assez peu de fond*.

— Któż tutaj jest jeszcze? — spytał po małym milczeniu Rudin.

Darja Michałowna otrząsnęła małym palcem popiół z papierosa.

— Więcej prawie nikogo niema. Lipina, Aleksandra Pawłowna, którą pan wczoraj widział: miła jest bardzo, to wszystko. Brat jej także najlepszy człowiek, *un parfait honnête homme*. Księżcia Garina pan zna. Oto i wszyscy. Jest jeszcze ze dwóch, trzech sąsiadów, ale ci już zupełnie do niczego. Albo krygują się — pretensje straszne, albo się boczą, albo zachowują się zupełnie nie na miejscu. Pań nie widuję. Jest jeszcze jeden sąsiad, bardzo podobno wykształcony,

nawet człowiek uczony, ale dziwak straszny, fantastą. *Alexandrine* go zna zdaje się nie jest on jej obojętny... Ot, zajął-by się pan nią, Dymistrze Mikołajewiczu: to miłe stworzenie, trzeba-by ją tylko trochę rozwinąć, koniecznie rozwinąć ją trzeba!

— Ona jest bardzo sympatyczna, — zauważył Rudin.

— Zupełne dziecko, — Dymistrze Mikołajewiczu, prawdziwe dziecko. Była zamężna, *mais c'est tout comme...* Jeśli bym była mężczyzną, tylko w takich kobietach kochałabym się.

— Czyżby?

— Napewne. Takie kobiety są przynajmniej świeże, a świeżości podrobić już nie można.

— A wszystko inne można? — spytał Rudin i roześmiał się, co mu się bardzo rzadko zdarzało. Gdy się śmiał, twarz jego przybierała dziwny, nieomal starczy wyraz, brwi się najeżały, nos się marszczył...

— A któż to taki ten, jak pani mówi, dziwak, który nie jest obojętny pani Lipinie? — spytał.

— Niejaki Leźniew, Michał Michałowicz, tu-
tejszy ziemianin.

Rudin zdumiał się i podniósł głowę.

— Leźniew, Michał Michałowicz? — spy-
tał: — czyż on jest sąsiadem pani?

— Tak, czy pan go zna?

Rudin milczał przez chwilę.

— Znałem go poprzednio... dawno już temu.
On zdaje mi się jest bogatym człowiekiem? —
dodał obmacując obramowanie fotela.

— Tak, bogaty, choć ubiera się szkaradnie
i jeździ linijką jak ekonom. Chciałabym ścią-
gnąć go tutaj: Mówią o nim, że jest mądry,
a przytem mam do niego interes. Pan chyba wie,
że zarządzam sama moim majątkiem.

Rudin skinął głową.

— Tak, sama, — ciągnęła dalej Darja Mi-
chałowna: — żadnych zagranicznych głupstw
nie wprowadzam, trzymam się swoich, rosyj-
skich zwyczajów i widzi pan, sprawy idą zdaje
mi się niezgorzej, dodała powiódłszy ręką wo-
koło.

— Zawsze byłem przekonany, — grzecznie
zauważył Rudin: — o najwyższej niesprawiedli-

wości tych ludzi, którzy odmawiają kobietom zmysłu praktycznego.

Darja Michałowna uśmiechnęła się mile.

— Bardzo pan jest wyrozumiały, rzekła: — ale co to chciałam powiedzieć? O czym mówiliśmy? Ach tak! o Leżniewie. Mam do niego interes w sprawie rozmierzania gruntu. Zapraszałam go już kilkakrotnie i nawet dziś go oczekuję, ale Bóg wie, czemu nie przyjeżdża, dziwak taki!

Portjera u drzwi rozchyliła się bezgłośnie i wszedł służący. Był to wysoki człowiek, siwy i łysawy, w czarnym fraku, białym halsztuku i białej kamizelce.

— Czego chcesz, — spytała Darja Michałowna i obracając się zlekka do Rudina dodała półgłosem — *n'est ce pas comme il ressemble à Canning?*

— Przyjechał Michał Michałowicz Leżniew, oznajmił służący: — czy pani każe przyjąć?

— Ach, mój Boże! — wykrzyknęła Darja Michałowna: — O wilku mowa, a wilk tu, proś.

Służący wyszedł.

— Cudak taki, przyjechał w końcu i to nie w porę i przerwał naszą rozmowę.

Rudin podniósł się, ale Darja Michałowna zatrzymała go.

— Dokąd pan idzie? My możemy rozmawiać w pana obecności. A chciałabym, żeby go pan określił, jak Pigasowa. Gdy pan mówi, *vous gravez comme avec un burin*. Proszę zostać.

Rudin chciał coś powiedzieć, ale po namyśle został. Do gabinetu wszedł znany już czytelnikowi Michał Michałowicz. Miał na sobie to samo szare palto, a w spalonych rękach trzymał tę samą starą czapkę. Spokojnie uklonił się Darji Michałownie i podszedł do stołu z herbatą.

— Nakoniec był pan łaskaw przyjechać do nas M-sieur Leżniew! — przemówiła Darja Michałowna. Proszę siadać. Panowie, o ile słyszałem, znajomi. — Ciągnęła wskazując na Rudina.

Leżniew spojrzał na Rudina i dziwnie się jakoś uśmiechnął.

— Znam pana Rudina, — przemówił z lekkim ukłonem.

— Byliśmy razem w uniwersytecie, — zauważył półgłosem Rudin, spuszczaając oczy.

— Myśmy się i potem spotykali, — powiedział chłodno Leźniew.

Darja Michałowna popatrzyła z pewnem zdumieniem na obu i poprosiła Leźniewa, aby usiadł.

— Pani życzyła sobie widzieć mnie, — zaczął Leźniew, — w sprawie pomiarów?

— Tak, w sprawie pomiarów, ale i pozatem pragnęłam widzieć pana. Jesteśmy przecie bliżkiem sąsiedztwem, nieomal powinowaci.

— Jestem pani bardzo wdzięczny, — odrzekł Leźniew: — co się tyczy pomiarów, to sprawę tę zupełnie skończyłem z rządcą pani, na wszystkie jego propozycje zgadzam się.

— To wiedziałam.

— Tylko powiedział mi, że bez osobistego widzenia się z panią papierów podpisywać nie można.

— Tak; taki zaprowadziłam zwyczaj. Przy sposobności pozwoli pan zapytać, przecież u pana, zdaje się, wszyscy chłopci są oczynszowani.

— Tak jest.

— I sam pan stara się o pomiary? To chwalebnie.

Leźniew milczał przez chwilę.

— Otóż i zjawiłem się dla osobistego widzenia, — rzekł.

Darja Michałowna uśmiechnęła się.

— Widzę, że się pan zjawił. Mówi pan to takim tonem... Widocznie nie miał pan wielkiej ochoty przyjechać do mnie.

— Ja nigdzie nie jeżdżę, — odparł flegmatycznie Leźniew.

— Nigdzie? A u Aleksandry Pawłowny pan nie bywa?

— Jestem dawnym znajomym jej brata.

— Jej brata! Zresztą nie przymuszam nikogo... Ale proszę mi wybaczyć Michale Michałowiczu, starsza jestem od pana i mogę trochę porzędzić. Co za przyjemność sprawia panu żyć jak borsuk? Czy też mój dom specjalnie się panu nie podoba? Czy ja się panu nie podobam?

— Nie znam pani, Darjo Michałowno, a zatem nie może mi się pani niepodobać. Dom pani bardzo jest ładny, ale przyznaję się otwarcie, nie lubię się krępować. Ja nawet porządnego fraka nie mam, ani rękawiczek i przytem nie należę do sfery pani.

— Z urodzenia i wychowania należy pan do

niej, Michale Michałowiczu! *vous êtes des nôtres.*

— Urodzenie i wychowanie zostawmy na stronie, Darjo Michałowno! Nie w tem rzecz...

— Człowiek powinien żyć z ludźmi, Michale Michałowiczu! Co za przyjemność siedzieć jak Diogenes w beczce.

— Po pierwsze jemu tam było bardzo dobrze, a powtóre skąd pani wie, że ja nie żyję z ludźmi?

Darja Michałowna przygryzła usta.

— To co innego! Pozostaje mi tylko ubolewać, że nie godna jestem być zaliczoną w poczet ludzi, z którymi pan żyje.

— *Monsieur Leźniew*, — wmieszał się Rudin, — zdaje się przesadzać, w bardzo zresztą chwalebnem uczuciu, mianowicie w zamięłowaniu do swobody.

Leźniew nic nie odpowiedział, spojrzał tylko na Rudina. Nastąpiło krótkie milczenie.

— Tak więc, — zaczął Leźniew podnosząc się: — mogę uważać sprawy nasze za załatwione i powiedzieć rządcy pani, żeby przysłał mi papiery.

— Może pan... choć właściwie wobec nieuprzejmości pana, należałoby mi odmówić mu.

— Ależ przecie te pomiary są znacznie korzystniejsze dla pani, niż dla mnie.

Darja Michałowna wzruszyła ramionami.

— Nie chce pan nawet spożyć u mnie drugiego śniadania? — zapytała.

— Najuprzejmiej dziękuję, nigdy nie jadam drugiego śniadania, a przytem śpieszę się do domu.

Darja Michałowna wstała.

— Nie zatrzymuję pana, — wymówiła, podchodząc do okna: — nie śmiem pana zatrzymywać.

Leźniew począł się kłaniać.

— Żegnam pana, panie Leźniew, proszę wybaczyć, że niepokoiłam pana.

— Ależ proszę pani, to drobiazg, — odrzekł Leźniew i wyszedł.

— Oto, jaki jest, — powiedziała Darja Michałowna do Rudina. — Słyszałam o nim, że jest dziwakiem, ale to już jest coś niebywałego!

— Cierpi na tę samą chorobę, co i Pigasow, — rzekł Rudin: — żądza oryginalności. Ten

przedziera się w Mefista, tamten w cynika. W tem wszystkim dużo egoizmu, dużo samolubstwa i mało prawdy, mało miłości. To też swego rodzaju wyrachowanie. Człowiek nałoży maskę obojętności i lenistwa i anuż ktoś pomyśli: oto, ile talentów człowiek ten w sobie zmarnował! A przy bliższem przyjrzeniu okaże się, że żadnych talentów tam niema.

— *Et de deux!* — powiedziała Darja Michalowna. — Straszny z pana człowiek w określaniach. Nie można się ukryć przed panem.

— Tak pani sądzi? — przemówił Rudin... — zresztą, — ciągnął — nie należy mi mówić o Leźniewie; lubiłem go, lubiłem jak przyjaciela... ale potem po różnych nieporozumieniach...

— Pokłóciliście się?

— Nie. Rozeszliśmy się, i rozeszliśmy się, prawdopodobnie na zawsze.

— Ja też zauważyłam, że przez cały czas jego wizyty był pan jakiś nieswój... Jednakże, jestem bardzo panu wdzięczna za dzisiejszy ranek. Spędziłam czas nadzwyczaj przyjemnie. Trzeba jednak znać miarę. Zwalniam pana do drugiego

śniadania, a idę zająć się memi sprawami. Mój sekretarz, widział go pan — *Constantin, c'est lui qui est mon secrétaire*, pewno już mnie oczekuje. Polecam go panu. Jest to najlepszy, najusłużniejszy młody człowiek, i zupełnie zachwycony panem. Dowidzenia, *cher* Dymitrze Mikołajewicz! Jakże wdzięczna jestem baronowi za to, że mnie zaznajomił z panem!

I Darja Michałowna wyciągnęła rękę do Rudina.

On ją najpierw uścisnął, a potem podniósł do ust i wyszedł do salonu, a z salonu na taras. Na tarasie spotkał Natalję.

V.

Córka Darji Michałowny, Natalja Aleksówna, mogła się na pierwszy rzut oka niepodoobać. Nie zdążyła się jeszcze rozwinąć, była chuda, śniada, trzymała się trochę niezgrabnie. Ale rysy jej twarzy były piękne i prawidłowe, choć nieco za grube na siedemnastoletnią panienkę. Wyjątkowo piękne było jej czyste i równe czoło

ponad cienkimi, jakby załamaniem w środku brwiami. Mówiła mało, słuchała i patrzyła uważnie, prawie uporczywie, jakgdyby chciała zdawać sobie sprawę ze wszystkiego. Często pozostawała w nieruchomej pozie, z opuszczonymi rękami, zamyślona, na twarzy jej wówczas widać było wewnętrzną pracę myśli... Ledwo dostrzegalny uśmiech zjawia się na ustach i znika, duże, ciemne oczy wolno się podnoszą... *Qu'avez vous?* pyta m-elle Boncourt i poczyną gderać, mówiąc, że młodej dziewczynie nie przystoi zamyslać się i przybierać roztargniony wygląd. Ale Natalja nie była roztargniona, uczyła się przykładowo, czytała i pracowała chętnie. Czuła głęboko i silnie, ale skrycie; nawet w dzieciństwie rzadko płakała i tylko z lekka bladła, jeśli ją coś zasmuciło. Matka uważała ją za dobrą, rozsądną panienkę i nazywała ją żartobliwie: *mon honnête homme de fille*, ale nie była zbyt wielkiego mniemania o jej umysłowych zdolnościach. „Natalja jest na szczęście chłodna — mawiała — nie we mnie się urodziła... tem lepiej. Będzie szczęśliwa“. Darja Michałowna myliła

się. Zresztą rzadko która matka rozumie swoją córkę.

Natalja kochała Darję Michałownę i niezupełnie dowierzała jej.

— Nie należy ci być skrytą wobec mnie, — powiedziała jej kiedyś Darja Michałowna: — a ty lubisz się ukrywać, mieć swoje zdanie... Natalja popatrzyła matce w twarz i pomyślała: Dlaczegożbym nie miała mieć swego zdania? W chwili gdy Rudin spotkał ją na tarasie, szła w towarzystwie m-elle Boncourt do pokoju, aby włożyć kapelusz i udać się do ogrodu. Skończyła już swe ranne zajęcia. Przestano ją już trakto-
wać jak dziewczynkę, m-elle Boncourt dawno nie dawała jej już lekcyj mitologii i geografji, ale Natalja musiała czytać przy niej każdego rana książki historyczne, podróże i różne pouczające dzieła. Wybierała Darja Michałowna kierując się w tem, jakby swą własną metodą. W rzeczywistości oddawała poprostu Natalji wszystko, co przysłał jej księgarz francuz z Petersburga, za wyjątkiem oczywiście romansów Dumasa — syna et comp. Te romanse Darja Michałowna czytała sama. M-elle Boncourt osobiwie srogo

i kwaśno spoglądała przez okulary na Natalję, gdy ta czytała historyczne dzieła, według pojęć starej francuzki, cała historia przepełniona była rzeczami niedozwolonemi, choć ona sama z wielkich mężów starożytności znała, niewiadomo czemu, tylko Kambisesa, a z nowszych czasów — Ludwika XIV-go i Napoleona, którego ścierpieć nie mogła. Ale Natalja czytała również i takie książki, których istnienia m-elle Boncourt nie podejrzewała: umiała na pamięć całego Puszkina...

Natalja pokraśniała zlekka przy spotkaniu z Rudinem.

— Idzie pani na przechadzkę? — spytał jej.

— Tak, idziemy do ogrodu.

— Czy można iść z paniami?

Natalja spojrzała na m-elle Boncourt.

— *Mais certainement, monsieur, avec plaisir*, pośpiesznie wymówiła stara panna. Rudin wziął kapelusz i poszedł razem.

Natalja czuła się w pierwszej chwili nieswojo, idąc obok Rudina po ścieżce, opanowała się jednak po chwili. Począł ją zapytywać o jej zajęcia, o tem jak się jej wieś podoba. Odpowiada-

ła mu nie bez onieśmienia ale i bez tego pospiesznego zamykania się w sobie, które tak często podaje się i uważa za wstydlivość. Serce jej biło.

— Nie nudzi się pani na wsi? — zapytał Rudin obrzucając ją ukośnem spojrzeniem.

— Jak można nudzić się na wsi? Bardzo jestem rada, że tu przebywamy. Czuję się tutaj bardzo szczęśliwą.

— Czuję się pani szczęśliwa... to wielkie słowo, zresztą to zrozumiałe: jest pani młodą. Rudin wymówił to ostatnie słowo dziwnym tonem, jakgdyby zazdrościł Natalji i współczuł.

— Tak! Młodość! dodał. — całym celem nauki jest świadome zdobycie tego, co młodość darmo otrzymuje.

Natalja spojrziała uważnie na Rudina: nie zrozumiała go.

— Cały ranek rozmawiałem dzisiaj z mamą pani, ciągnął, to niezwykła kobieta. Rozumiem dlaczego wszyscy nasi poeci cenili jej przyjaźń. A pani lubi wiersze—dodał po małym milczeniu.

„Bierze mnie na egzamin“ pomyślała Natalja i wymówiła: — tak, lubię bardzo.

— Poezja jest językiem bogów. Ja sam lubię wiersze. Ale poezja jest nietylko w wierszach, ona nas zewsząd otacza... Proszę spojrzeć na te drzewa, na to niebo — zewsząd tchnie pięknoscią i życiem, a gdzie piękność i życie, tam i poezja.

— Usiądźmy tu na ławce, ciągnął dalej. — O tak. Sam nie wiem czemu wydaje mi się, że gdy pani do mnie przywyknie i z uśmiechem spojrzała jej w twarz, — będziemy przyjaciółmi. Jak pani przypuszcza?

„Obchodzi się ze mną jak z dziewczynką“, pomyślała znów Natalja i nie wiedząc, co powiedzieć zapytała go, czy długo ma zamiar pozostać na wsi.

— Całe lato, jesień, a może i zimę. Jestem, wie pani, niebogatym człowiekiem, interesy moje są w złym stanie, a przytem znudziło mi się już włóczyć z miejsca na miejsce. Czas już odpocząć.

Natalja zdumiała się.

— Czyż doprawdy uważa pan, że czas panu już odpoczywać? spytała nieśmiało.

Rudin zwrócił się twarzą ku Natalji.

— Co pani chce przez to powiedzieć?

— Chcę powiedzieć, odrzekła z pewnym zmieszaniem, że odpoczywać mogą inni, a pan... pan powinien pracować, starać się być pożytecznym. Któż, jeśli nie pan...

— Dziękuję za pochlebną opinię, przerwał jej Rudin. — Być pożytecznym... łatwo powiedzieć! (Przesunął ręką po twarzy). Być pożytecznym! powtórzył. Jeślibym nawet posiadał mocne przekonanie, w jaki sposób być pożytecznym? — jeślibym nawet wierzył w swoje siły — gdzież znaleźć szczerze, współczujące dusze?...

Rudin tak beznadziejnie machnął ręką i tak smutno opuścił głowę, że Natalja mimowoli spytała się w duchu: czyż to ten sam człowiek, który wczoraj wygłaszał takie tchnące otuchą i zachwytem mowy?

— Zresztą nie, — dodał nieoczekiwanie, potrząsając swą lwią grzywą, — to są głupstwa, i pani ma rację. Dziękuję pani, Nataljo Aleksówna, dziękuję serdecznie. (Natalja nie wiedziała za co jej dziękuję). Jedno pani słowo przypomniało mi mój obowiązek, utorowało mi moją drogę... Tak, muszę działać. Nie powinienem

ukrywać swego talentu, jeśli go posiadam; nie powinienem trwonić swych sił na pustą, bezużyteczną gadaninę, na same słowa...

Tu jego słowa polały się jak rzeka. Mówił cudownie, z zapałem, przekonywująco, — o wstydzie, małoduszności i lenistwie, o nieodzowności działania. Obrzucał sam siebie wyrzutami, dowodził, że rozprawiać naprzód o tem, co się zamierza czynić, jest tak samo szkodliwem, jak kłuć szpilką dojrzewający owoc, że to tylko niepotrzebna utrata soków i sił. Zapewniał, że nie ma szlachetnej myśli, któraby nie znalazła oddźwięku, że niezrozumianymi pozostają tylko ci ludzie, którzy albo sami jeszcze nie wiedzą, czego chcą, albo nie warci są tego, aby ich zrozumiano. Mówił długo i zakończył tem, że jeszcze raz podziękował Natalji Aleksównie i zupełnie nieoczekiwanie uściskawszy jej rękę, przemówił: — pani jest cudowną, szlachetną istotą!

Ta swoboda przeraziła m-elle Boncourt, która pomimo czterdziestoletniego pobytu w Rosji z trudem rozumiała po rosyjsku i tylko podziwiała piękną rączkość i płynność mowy Rudina. Zresztą był on w jej oczach czemś w rodzaju wir-

tuoza, czy artysty, a od tego pokroju ludzi, według jej pojęć, niepodobna było wymagać zachowywania form przyzwoitości.

Wstała i poprawiając na sobie suknię porywczym ruchem, oznajmiła Natalji, że czas już iść do domu, tem więcej, że *monsieur Volintzoff* (tak wyzywała Wołyncewa) miał przyjechać na drugie śniadanie.

— Oto i on! — dodała spojrzawszy w jedną z alei wiodących ku domowi.

Rzeczywiście, Wołyncew ukazał się w oddali. Podszedł niezdecydowanym krokiem, zdaleka ukłonił się wszystkim i z bolesnym wyrazem twarzy zwracając się do Natalji przemówił:

— A! pani spaceruje?

— Tak — odpowiedziała Natalja, — szliśmy już do domu.

— A! wymówił. — No cóż, chodźmy.

I wszyscy poszli do domu.

— Jak zdrowie pańskiej siostry? — spytał jakimś osobliwie uprzejmym tonem, Rudin Wołyncewa. Poprzedniego wieczoru był również względem niego bardzo uprzejmym.

— Uprzejmie dziękuję. Zdrowa. Może przy-

jedzie dzisiaj... Państwo, zdaje się o czymś dyskutowali w chwili gdy podeszłem?

— Tak, rozmawialiśmy z Natalją Aleksówną. Powiedziała mi pewne słowo, które silnie na mnie podziało...

Wołyncew nie zapytał, jakie to było słowo i wszyscy w głębokim milczeniu weszli w dom Darji Michałowny.

Przed obiadem znów utworzył się salon. Pigasow jednak nie przyjechał. Rudin nie miał weny; zmuszał ustawicznie Pandalewskiego do grania Bethovena. Wołyncew milczał i spoglądał na ziemię. Natalja nie odchodziła od matki i to zamyślała się, to brała do rąk robotę. Basistow nie spuszczał oczu z Rudina wyczekując, czy nie powie czegoś mądrego. Tak przeszły trzy godziny dosyć monotonnie. Aleksandra Pawłowna nie przyjechała na obiad — i Wołyncew skoro tylko wstano od stołu, kazał zaraz zaprząć swój powóz i znikł, nie żegnając się z nikim. Było mu ciężko. Kochał dawno Natalję i wciąż miał zamiar oświadczyć się... Ona go lubiła — ale serce jej pozostało spokojne...

Widział to jasno. Nie miał nadziei wzbudzić w niej żywszego uczucia i czekał tylko chwili, kiedy przywyknąwszy, zbliży się do niego. Cóż mogło go tak niepokoić? Jaką zmianę zauważył przez te dwa dni? Natalja odnosiła się do niego zupełnie tak, jak przedtem.

Czy zapadła mu w duszę myśl, że on, być może, nie zna zupełnie charakteru Natalji, że jest mu więcej obcą niż przypuszczał — czy obudziła się w nim zazdrość, czy miał nieokreślone przecucie czegoś niedobrego... ale cierpiał, mimo, że starał sam siebie uspokajać.

Kiedy wszedł do swojej siostry, zastał u niej Leźniewa.

— Dlaczego tak wcześnie wróciłeś? — spytała Aleksandra Pawłowna.

— Tak. Znudziłem się.

— Rudin tam jest?

— Jest.

Wołyncew rzucił czapkę i usiadł.

Aleksandra Pawłowna zwróciła się żywo do niego.

— Proszę cię, Sieroża, pomóż mi przekonać tego upartego człowieka (wskazała na Leźnie-

wa) o tem, że Rudin jest niezwykle mądry i pięknie mówi.

Wołyncew bąknął coś.

— Wcale się z panią nie sprzeczam, zaczął Leźniew, — nie wątpię w rozum i krasomówstwo p. Rudina, mówię tylko, że on mi się nie podoba.

— A czyś go widział? — spytał Wołyncew.

— Widziałem go dziś rano u Darji Michalowny. Przecież to *on* tam teraz wielkim wezyrem. Przyjdzie czas, że ona i z nim się rozstanie — z jednym Pandalewskim nigdy się nie rozstanie, — ale teraz Rudin króluje. Widziałem go, a jakże! On siedzi, a ona mu mnie pokazuje: patrz pan jakie cudaki u nas się zdarzają. Nie jestem durniem, nie przywykłem na pokaz się wystawiać. Zabrałem się i odjechałem.

— A pociąg tam jeździł?

— O pomiary, ale to głupstwo: Zachciało się jej poprostu popatrzeć na moją fizjonomję. Jaśnie pani — wiadomo!

— Czuje się pan dotknięty jego wyższością, oto jak jest! — Zaczęła z zapalem Aleksandra

Pawłowna: — oto czego nie możecie mu wybaczyć. A przekonana jestem, że on ma, prócz rozumu i serce niezwykle. Niech pan spojrzy na jego oczy, kiedy on... — „O dostojności wielkiej prawi“ — podchwycił Leźniew.

— Rozgniewa mnie pan i zapłaczę się. Z całej duszy żałuję, że nie pojechałam do Darji Michałowny, a zostałam z panem. Pan tego nie wart. Dosyć tego drażnienia mnie, dodała ze skargą w głosie. — Niech mi pan lepiej opowie o jego młodości.

— O młodości Rudina?

— No tak. Mówił mi pan przecież, że go pan zna dobrze i oddawna.

Leźniew wstał i przeszedł się po pokoju.

— Tak, — zaczął: — ja go znam dobrze. Chce pani żebym opowiedział o jego młodości? Proszę bardzo. Urodził się w T-wie, rodzice jego byli niezamożnymi ziemianami. Ojciec wcześniej umarł. Został sam z matką. Dobra to była kobieta, świata poza nim nie widziała. Żywiła się tylko owsianą mąką i wszystkie grosiki wydawała na niego. Odebrał wychowanie w Moskwie, najpierw na koszt jakiegoś wuja,

a potem, kiedy podrósł i wypierzył się, na koszt pewnego bogatego księcia z którym zwąchał się... no, proszę wybaczyć, więcej nie będę... z którym zaprzyjaźnił się. Potem wstąpił na uniwersytet. Na uniwersytecie poznałem go i zesłiliśmy się bardzo blisko. O naszych ówczesnych dziejach opowiem kiedyś innym razem. Teraz nie mogę. Potem on wyjechał za granicę...

Leżniew przechadzał się dalej po pokoju. Aleksandra Pawłowna śledziła go wzrokiem.

— Z zagranicy, — ciągnął dalej — Rudin pisywał do swej matki nadzwyczaj rzadko i raz jeden przyjechał ją odwiedzić, na dziesięć dni. Staruszka umarła w jego nieobecności, pośród obcych ludzi, ale do samej śmierci nie spuszczała oczów z jego portretu. Odwiedzałem ją, gdy mieszkałem w T-wie. Była to dobra kobieta i bardzo gościnna, zawsze mnie ugaszczała konfiturami z wiśni. Mitę swego kochała bez pamięci. Zwolennicy szkoły Pieczorina twierdzą, iż zawsze kochamy tych, którzy sami niebardzo są zdolni do miłości: a mnie się zdaje że wszystkie matki kochają swe dzieci, a zwłaszcza nieobecne. Potem, spotkałem Rudina za granicą.

Przyczepiła się tam do niego pewna pani, Rosjanka, jakaś „bas bleu“, niemłoda już i nieładna, jak przystoi dla „bas bleu“. Certował się z nią dość długo i w końcu rzucił ją... raczej nie, przepraszam: ona go rzuciła. A potem i ja go rzuciłem. Oto i wszystko. Leźniew umilkł, przesunął ręką po czole i jakgdyby zmęczony, osunął się na krzesło.

— A wie pan co, Michale Michałowiczu, — zaczęła Aleksandra Pawłowna: — zły z pana człowiek, jak widzę; doprawdy nie lepszy od Pigasowa. Jestem przekonana, że wszystko, co pan powiedział jest prawdą, że pan nic nie dodał, a mimo to, w jak nieprzyjaznem świetle wystawił pan to wszystko! Ta biedna staruszka, jej miłość, jej samotna śmierć, owa pani... Po co to wszystko?... Czy pan wie, że można życie najlepszego człowieka przedstawić w takich barwach — nic zresztą nie dodając — iż każdy się przeraził! Przecież to też jest pewnego rodzaju plotka! Leźniew wstał i znów przeszedł się po pokoju.

— Nie chciałem bynajmniej przerażać pani, Aleksandro Pawłowno, przemówił w końcu.

Nie jestem plotkarzem. A zresztą, dodał po krótkim namyśle: — rzeczywiście, w tem, co pani powiedziała, jest część prawdy. Nie obmawiałem Rudina; ale — kto wie! — może on od tego czasu zdążył zmienić się — być może, iż jestem względem niego niesprawiedliwy.

— A! widzi pan... Proszę zatem obiecać mi, że pan odnowi znajomość z nim, pozna go pan dobrze i wtedy dopiero wyda pan o nim swój ostateczny sąd.

— Jeśli sobie pani tak życzy... ale cóż ty tak milczysz Sergjusz Pawłowiczu?

Wołyncew drgnął i podniósł głowę, jak-gdyby zbudzony ze snu.

— Cóż mam mówić? Ja go nie znam. Przytem głowa dziś mnie boli.

— Rzeczywiście, jesteś dziś jakiś blady, — zauważyła Aleksandra Pawłowna: — czyś nie-zdrów?

— Głowa mnie boli, — powtórzył Wołyncew i wyszedł.

Aleksandra Pawłowna i Leźniew, popatrzyli za nim i zamienili między sobą spojrzenie, ale nic nie rzekli. Ani dla niej, ni dla niego nie by-

ło tajemnicą to, co się działo w sercu Wołyncewa.

VI.

Minęło prawie dwa miesiące. W przeciągu całego tego czasu Rudin prawie nie wyjeżdżał od Darji Michałowny. Nie mogła się bez niego obejść. Opowiadanie o sobie, słuchanie jego wywodów, stało się dla niej potrzebą. Pewnego razu chciał wyjechać pod pozorem, że wydał wszystkie swe pieniądze. Darja Michałowna dała mu pięćset rubli. Od Wołyncewa pożyczył też dwieście rubli. Pigasow znacznie rzadziej odwiedzał dom pani Łasuńskiej. Rudin przytłaczał go swą obecnością. Przytłoczony zresztą bywał nietylko Pigasow.

— Nie lubię tego mądrali, mawiał: — wyraża się on w sposób nieokreślony, ni dać, ni wziąć, postać z rosyjskiej powieści: powie: „ja“ i zatrzyma się z rozrzewnieniem... „Ja, wiesz, ja“... słów używa jaknajdłuższych. Jeśli kichniesz — zaraz ci zaczniesz dowodzić, dlaczego mianowicie kichnąłeś a nie zakaszałeś... Jeśli cię pochwa-

li — zupełnie jakby ci godność jakąś nadawał... Pocznie winić sam siebie, zmiesza się z błotem, no, pomyślisz sobie, teraz już nie będzie śmiał spojrzeć na świat boży. Gdzie tam! Stanie się nawet weselszy, zupełnie jakby się gorzką wódką uraczył.

Pandalewski bał się trochę Rudina i ostrożnie starał się o jego względy. Wołyncew w dziwnym pozostawał do Rudina stosunku. Rudin nazywał go rycerzem, wynosił go w oczy i za oczy, ale Wołyncew nie mógł go jakoś polubić i zawsze odczuwał mimowolne zniecierpliwienie i gniew, gdy tamten poczyniał w jego obecności rozstrząsać jego zalety. „Czy nie wyśmiewa się ze mnie?“ myślał i wrogie uczucie budziło się w jego sercu. Wołyncew starał się przełamać, ale zazdrość o Natalję brała górę. A czyż i sam Rudin, choć zawsze z ostentacją witał Wołyncewa, nazywał go rycerzem i pożyczal od niego pieniądze, był do niego rzeczywiście dobrze usposobiony? Trudno byłoby określić, co mianowicie czuli ci dwaj ludzie, gdy ściskając po przyjacielsku dłonie spoglądali sobie w oczy...

Basistow w dalszym ciągu uwielbiał Rudina

i chwytał w locie każde jego słowo. Rudin mało zwracał na niego uwagi. Raz jeden spędził z nim całe rano, rozprawiał o najważniejszych zagadnieniach i zadaniach świata, wzbudził w nim najżywszy zachwyt, ale wkońcu rzucił go.. Widocznie jego poszukiwania czystych i oddanych dusz były czczem słowem. Z Leźniewem, który począł odwiedzać Darję Michałownę nie wdawał się nawet w dyskusję i jakdyby go unikał. Leźniew również chłodno odnosił się do niego i nie wypowiadał o nim swego ostatecznego sądu, co bardzo drażniło Aleksandrę Pawłownę. Dla Rudina miała kult, ale i Leźniewowi wierzyła. Wszyscy w domu Darji Michałowny poddawali się zachciankom Rudina, spełniano najdrobniejsze jego życzenia. Od niego zależał porządek dnia. Ani jedna *partie de plaisir* nie układała się bez jego udziału. Nie był zresztą wielkim amatorem wszelkich niespodzianych wycieczek i imprez i uczestniczył w nich tak, jak dorosli w dziecinnych zabawach, z życzliwem i zlekka znudzonem pobłażaniem. Zato mieszał się do wszystkiego: rozprawiał z Darją Michałowną o rozporządzeniach w sprawach majątko-

wych, o wychowaniu dzieci, o gospodarstwie, o wszelkich wogóle sprawach; wysłuchiwał jej planów, nie odstręczały go nawet drobiazgi, proponował reformy i ulepszenia. Darja Michałowna zachwycała się niemi — ale ograniczało się to do słów tylko. W sprawach gospodarskich trzymała się rad swego rządcy, jednookiego Małorusa, dobrodusznego starego wygi. — „Co stare to tłuste, co młode to chude“ mawiał spokojnie mrugając swem jedynem okiem.

Poza Darją Michałowną Rudin z nikim tak często i długo nie rozmawiał jak z Natalją. Dawał jej potajemnie książki, zwierzał się ze swych planów, czytał pierwsze stronnice projektowanych artykułów i utworów. Często treść ich była dla Natalji niedostępna. Zresztą Rudin zdawał się niezbyt troszczyć o to, by ona go rozumiała — byleby go słuchała. Zbliżenie się Rudina z Natalją nie bardzo się podobało Darji Michałownie. Ale — myślała — niechże sobie pogadają na wsi. Ona go bawi jako dziewczynka, nieszczęścia wielkiego z tego nie będzie, a ona jednak zmańdrzeje... W Petersburgu wszystko to zmienię.

Darja Michałowna myliła się. Nie jak dziew-

czynka gawędziła Natalja z Rudinem: słuchała chciwie jego mowy, starała się wniknąć w jej treść, swoje myśli, swoje wątpliwości poddawała pod jego sąd: był jej nauczycielem i przewodnikiem. Dotąd paliło się jej w głowie tylko... ale młoda głowa nie długo pali się bez współudziału serca. Jakże słodkie przeżywała Natalja chwile, kiedy siadając na ławce w ogrodzie, w przewiewnym cieniu jesionów, Rudin poczynął jej czytać *Fausta* Göthego, Hoffmana, albo pisma Bettiny, czy Novalisa, przerywając w ciąż i objaśniając, to co się jej wydawało niejasnem. Po niemiecku mówiła źle, jak prawie wszystkie nasze panienki, ale rozumiała dobrze, a Rudin był całkowicie pogrążony w niemieckiej poezji, w niemieckim romantycznym i filozoficznym świecie i pociągał ją za sobą w tę krainę obiecaną. Nieznana i piękna ukazywała się jej szeroko rozwartym oczom. Ze stronnice książki, którą Rudin trzymał w rękach, cudowne obrazy, nowe, jasne myśli burzliwym potokiem lały się w jej duszę i serce, wstrząśnięta wzniosłą radością wzniosłych wzruszeń, powoli rozżarzała się święta iskra zachwytu. — Proszę powiedzieć Dymi-

trze Mikołajewiczu, zaczęła kiedyś, siedząc u okna nad krosnami, — przecież pan pojedzie na zimę do Petersburga?

— Nie wiem, — odrzekł Rudin, upuszczając na kolana książkę, którą przeglądał: — jeśli znajdę odpowiednie środki, pojadę.

Mówił głosem znużonym. Czuł się zmęczonym i od samego rana siedział beczynn timer.

— Mnie się wydaje niemożliwym, żeby pan nie znalazł środków.

Rudin pokiwał głową.

— Tak się pani zdaje!

I spojrzał znacząco w bok.

Natalja chciała coś odpowiedzieć, ale powstrzymała się.

— Niech pani spojrzy, — zaczął Rudin, wskazując ręką na okno: — czy widzi pani tę jabłoń: złamała się pod ciężarem swych owoców. Prawdziwy symbol genjuszu...

— Złamała się, bo nie miała podpory, odrzekła Natalja.

— Rozumiem panią, Nataljo Aleksówna, ale nie tak to łatwo człowiekowi zyskać taką podporę.

— Mnie się zdaje, że porozumienie uczuciowe... w każdym razie, samotność...

Natalja zaplątała się i zarumieniała.

— I co pan myśli robić zimą na wsi? — dodała pośpiesznie.

— Co będę robić? Skończę mój duży artykuł — wie pani — o tragiźmie w życiu i sztuce — przed trzema dniami opowiadałem pani o nim, przyślę go pani.

— I wydrukuje pan?

— Nie.

— Jakto nie? Dla kogóż będzie pan pracować?

— A choćby dla pani.

Natalja spuściła oczy.

— To za wiele dla mnie, Dymitrze Mikołajewiczu.

— O czym, pozwoli pan zapytać, będzie artykuł? spytał skromnie siedzący w pobliżu Basistow.

— O tragiźmie w życiu i w sztuce, powtórzył Rudin. — Oto, i pan Basistow przeczyta. Zresztą nie uporałem się jeszcze z myślą zasadniczą. Do tej pory nie uświadomiłem sobie dostatecznie znaczenia tragizmu w miłości.

Rudin często i chętnie mówił o miłości. Z początku przy słowie: miłość, m-elle Boncourt wzdrygała się i nadstawiała uszy, jak stary pułkowy koń na odgłos trąbki, ale potem przywykła i tylko odymając usta znacząco zażywała tabakę.

— Ja sądzę, nieśmiało zauważyła Natalja: — że tragizmem w miłości jest — jest miłość nie-szczęśliwa.

— Bynajmniej! zaprzeczył Rudin: — to raczej komiczna strona miłości. Pytanie to należy postawić zupełnie inaczej, należy głębiej sięgnąć... Miłość! ciągnął dalej: — wszystko w niej jest tajemnicą: jak przychodzi, jak rozwija się, jak znika. To zjawia się nieoczekiwana, pewna, radosna, jak dzieci, to tli się długo, jak żar pod popiołem i wybucha nagle płomieniem w duszy, gdy wszystko już zburzone; to wypełźnie w serce jak żmija i wypełźnie precz... Tak, tak; to jest ważne pytanie. A i kto kocha w naszych czasach, kto odważy się kochać?

I Rudin zamyślił się.

— Cóż to Sergjusza Pawłowicza nie widzieć od tak dawna? spytał.

Natalja spłoneła i pochyliła głowę nad krosnami.

— Nie wiem, wyszeptała.

— Cóż to za piękny, szlachetny człowiek! — przemówił Budin powstając. — To najlepszy wzór prawdziwego, rosyjskiego szlachcica.

M-elle Boncourt popatrzyła na niego z ukosa swemi francuskiemi oczkami.

Rudin przeszedł się po pokoju.

— Czy pani zauważyła, zaczął, skręcając nagle: — że z dębu — a dąb mocnem jest drzewem — stare liście spadają dopiero wtedy, gdy młode poczynają się rozwijać?

— Tak, wolno odrzekła Natalja: — zauważyłam.

— Tak samo bywa w silnem sercu ze starą miłością: już wymarła, a wciąż się jeszcze trzyma; tylko inna, nowa miłość może ją wypędzić.

Natalja nic nie odpowiedziała.

„Co to znaczy?“ pomyślała.

Rudin postął chwilę, wstrząsnął włosami i oddalił się.

A Natalja poszła do swego pokoju. Długo siedziała w rozterce na swem łóżku, długo rozmy-

ślała o ostatnich słowach Rudina i w tem, zaciśnawszy ręce, gorzko zapłakała. Czego płakała — Bóg wie! sama nie wiedziała czemu tak niespodziewanie polały się jej łzy. Obcierała je, ale one lały się znowu jak woda z dawno wezbranego strumienia.

Tego samego dnia Aleksandra Pawłowna rozmawiała o Rudinie z Leżniewem. Początkowo chciał ją zbyć milczeniem, ale ona postanowiła wydobyć z niego prawdę.

— Widzę, powiedziała, że się panu Dymitr Mikołajewicz po dawnemu niepodoba. Umyślnie nie dopytywałam się o to do tej pory, ale teraz zdążył się pan już przekonać, czy nie zaszła w nim jaka zmiana i ja chcę wiedzieć dlaczego on się panu nie podoba.

— Proszę bardzo, odrzekł ze zwykłą flegmą Leżniew.

— Skoro się już pani tak bardzo niecierpliwi; tylko proszę się nie gniewać...

— No, proszę zaczynać, zaczynać.

— I pozwoli mi pani wypowiedzieć wszystko do końca.

— Pozwolę, pozwolę, proszę zacząć.

— Tak więc, zaczął Leźniew, opuszczając się powoli na kanapę, wyznam pani, że Rudin nie-podoba mi się rzeczywiście. To mądry człowiek...

— Ja myślę!

— On jest wyjątkowo mądrym człowiekiem, chociaż pustym w istocie...

— To łatwo powiedzieć!

— Chociaż pusty w głębi, powtórzył Leźniew: — no, ale to jeszcze nic: wszyscy jesteśmy pustymi ludźmi. Nie robię mu zarzutu nawet z tego, że jest despota, leniwy, niezbyt świadomy... Aleksandra Pawłowna klasnęła w rękę.

— Niezbyt świadomy! Rudin! wykrzyknęła.

— Niezbyt świadomy siebie, tym samym tonem powtórzył Leźniew: — lubi pożyc na czyjś koszt, zagrać pewną rolę i tak dalej... wszystko to w porządku rzeczy. Ale najgorsze to, że on jest chłodny jak lód.

— On, ta płomienna dusza, chłodny! przerwała Aleksandra Pawłowna.

— Tak, chłodny jak lód i wie o tem i udaje

płomienną duszę. Złe jest w tem, ciągnął Leźniew, stopniowo się ożywiając, — że on gra niebezpieczną grę, — niebezpieczną nie dla niego, rozumie się; sam grosza, włoska jednego nie stawia na kartę — a inni stawiają duszę...

— O kim, o czem pan mówi? nie rozumiem pana, przemówiła Aleksandra Pawłowna.

— Złe w tem, że on nie jest uczciwy. Przecież to człowiek mądry, powinienby znać cenę własnych słów — i wypowiada je tak, jakdyby one go coś kosztowały... Niema wątpliwości, mówi pięknie, ale krasomówstwo jego jakieś nie rosyjskie. A zresztą krasomówstwo przystoi młodzieńcowi, a w jego wieku wstyd szukać uciechy w dźwięku własnych, szumnych mów, wstyd pozować!

— Ja myślę, Michale Michałowiczu, że dla słuchacza wszystko jest jedno, czy ktoś pozuje, czy nie...

— Przepraszam panią, nie wszystko jedno. Ktoś powie mi słowo i wzruszy mnie do głębi, a ktoś inny powie to samo słowo, albo jeszcze piękniejsze, a ja ni ucha nie nadstawię. Czemuż to?

— To znaczy, p a n nie nastawi, przerwała Aleksandra Pawłowna.

— Tak, nie nadstawię, odrzekł Leźniew: — chociaż mam może wielkie uszy. Chodzi o to, że słowa Rudina pozostają słowami i nigdy nie staną się czynem — a jednocześnie te same słowa mogą uwieść, zgubić młode serce.

— O kim-że pan mówi Michale Michałowiczu?

Leźniew zatrzymał się.

— Życzy sobie pani wiedzieć, o kim mówię?

— O Natalji Aleksównie.

Aleksandra Pawłowna zmieszała się na chwilę, ale zaraz uśmiechnęła się.

— Na miłość Boską, zaczęła: — jakież pan ma zawsze dziwne myśli! Natalja jest jeszcze dzieckiem; a zresztą jeśli by tam coś było rzeczywiście, sądzi pan, że Darja Michałowna...

— Darja Michałowna jest po pierwsze egoistką i żyje tylko dla siebie, po drugie ona jest tak przekonana o swej umiejętności wychowania dzieci, że nie przyjdzie jej do głowy zaniepokoić się o nie. Fi! jakże można, jedno mgnienie oka, jedno majestatyczne spojrzenie —

i wszystko pójdzie jak z płatka. Tak oto myślała pani, która uważa się za mecenaskę, za mądrałą i Bóg wie co, a w rzeczywistości jest tylko światową babą. A Natalja nie jest dzieckiem, niech mi pani wierzy, ona częściej i głębiej rozmyśla niż my oboje. I trzebaż, żeby taka uczciwa, namiętna, gorąca natura natknęła się na takiego aktora, na takiego kokiet! Zresztą i to jest w porządku rzeczy.

— Kokiet! pan go nazywa kokietem?

— Niechże pani powie sama, Aleksandro Pawłowno, jaka jest jego rola u Darji Michałowny? Być bożyszczem, wyrocznią w domu, mieszać się do wszystkich zarządzeń, plotek rodzinnych i domowych, drobiazgów, czyż to przystoi mężczyźnie?

Aleksandra Pawłowna ze zdumieniem popatrzyła na twarz Leźniewa.

— Nie poznaję pana, Michale Michałowiczu, powiedziała, zarumienił się pan, wzburzył, doprawdy w tem musi się coś ukrywać...

— No, masz tobie! Rozmawiaj z kobietą według swego przekonania, a ona dotąd się nie uspokoi, aż nie wynajdzie jakiejś drobnej, pobo-

cznej przyczyny, zmuszającej cię do mówienia tak właśnie, a nie inaczej.

Aleksandra Pawłowna rozgniewała się.

— Brawo, m-sieur Leźniew! zaczyna pan prześladować kobiety niegorzej od Pigasowa; ale jak sobie pan chce, mimo pańskiej przenikliwości, trudno mi uwierzyć, żeby pan mógł w tak krótkim czasie wszystkich i wszystko zrozumieć. Zdaje mi się, że się pan myli. Według pana Rudin jest jakimś Tartuffem.

— W tem rzecz właśnie, że on nawet nie jest Tartuffem, tamten przynajmniej wiedział, czego chciał, a ten przy całym swym rozumie...

— Cóż, coś on? Niech pan kończy swą przemowę, niesprawiedliwy, obrzydliwy człowieku! Leźniew wstał.

— Proszę posłuchać, Aleksandro Pawłowno, zaczął:

— Niesprawiedliwą jest pani, a nie ja. Gniewa się pani na mnie za mój ostry sąd o Rudinie; mam prawo mówić o nim ostro! Może nie za małą cenę kupiłem to prawo. Ja go znam dobrze: żyłem z nim długo. Czy pamięta pani, że obiecałem kiedyś opowiedzieć o naszym życiu w Mo-

skwie. Trzeba będzie widocznie teraz to zrobić. Ale czy będzie pani mieć cierpliwość wysłuchać mnie do końca?

— Proszę mówić, mówić!

— Jak pani każe.

Leżniew począł przechadzać się powolnemi krokami po pokoju, zatrzymując się zrzadka i pochylając naprzód głowę.

— Może pani wie, zaczął: — a może pani i nie wie, że byłem od wczesnej młodości sierotą i już w siedemnastym roku życia byłem bez opieki. Żyłem w domu mojej ciotki w Moskwie i robiłem, co chciałem. Byłem chłopcem samowolnym, pustakiem, lubilem pozę i fanfaronadę. Wstąpiwszy na uniwersytet zachowywałem się, jak sztubak i wkrótce uwikłałem się w kabałę. Nie będę jej pani opowiadał, nie warto. Skłamałem i to dosyć paskudnie. Wyciągnięto mnie na czystą wodę, zdemaskowano, zawstydzono... Straciłem panowanie nad sobą i rozplakałem się jak dziecko. Działo się to w mieszkaniu mego znajomego w obecności wielu kolegów. Wszyscy poczęli wyśmiewać się ze mnie, wszyscy, z wyjątkiem jednego studenta, który, proszę zauważyć,

więcej od innych był zły na mnie, dopóki upierałem się przy swoim kłamstwie. Żal mu się mnie może zrobiło, dość, że wzięwszy mnie pod rękę zabrał mnie do siebie.

— To był Rudin? spytała Aleksandra Pawłowna.

— Nie, to nie był Rudin... to był człowiek... umarł już... to był człowiek niezwykły. Nazywał się Pokorski. Nie jestem w stanie opisać go w paru słowach, a gdy zacznę mówić o nim, nie będę miał już ochoty mówić o kimś innym. To była wzniosła, czysta dusza i umysłu takiego już potem nie spotkałem. Pokorski mieszkał w malutkiej, niskiej izdebce na facjacie starego drewnianego domu. Był bardzo biedny i przepychał się jako tako, zarabiając lekcjami. Często nawet szklanką herbaty nie mógł poczęstować gościa, a jedyny mebel w pokoju, kanapa, tak się zapadła, że stała się podobną do łódki. Ale mimo tych niewygód mnóstwo ludzi chodziło do niego. Wszyscy go lubili, pociągał ku sobie serca. Nie uwierzy pani, jak miło i dobrze było przebywać w jego biednej izdebce! U niego poznałem Rudina. Już się rozstawał wtedy ze swym księciem.

— Cóż było tak osobliwego w tym Pokorskim? spytała Aleksandra Pawłowna.

— Jakby to pani powiedzieć? Poezja i prawda — oto, co pociągało ku niemu wszystkich. Miał szeroki, jasny, umysł, a jednocześnie był miły i zabawny jak dziecko. Do tej pory dźwięczy mi w uszach jego jasny śmiech, a przytem:

płonął lampą oliwną
przed świątynią dobra...

Tak wyraził się o nim pewien pół-zwarjowany i najmiłszy w naszym kółku poeta.

— A jak on mówił? spytała Aleksandra Pawłowna.

— Mówił dobrze, jeśli był w dobrym usposobieniu, ale nie nadzwyczajnie. Rudin i wtedy był dwadzieścia razy wymowniejszy od niego.

Leźniew zatrzymał się i skrzyżował ręce.

— Pokorski i Rudin nie byli do siebie podobni. W Rudinie było znacznie więcej błyskotliwości, emfazy, frazeologii, a może i więcej entuzjazmu. Wydawał się znacznie zdolniejszym od Pokorskiego, a w rzeczywistości był w porównaniu z nim biedakiem. Rudin wspaniale roz-

wijał jakąkolwiek myśl, po mistrzowsku prowadził dysputę, ale myśli nie w jego głowie się rodziły: brał je od innych, głównie od Pokorskiego. Pokorski był z pozoru cichy i uległy, nawet słabym — do kobiet miał słabość bezgraniczną, lubił pohulać, i nie pozwoliłby się nikomu obrazić. Rudin wydawał się pełen ognia, śmiałości, życia, a w duszy był chłodny, nieledwie nieśmiały, dopóki nie zadrażniło jego ambicji: wtedy wyłaził ze skóry. Wszelkimi sposobami starał się zawładnąć ludźmi, ale w imię ogólnych idei i rzeczywiście miał silny wpływ na wielu. Co prawda nikt go nie lubił, ja jeden może, przywiązałem się do niego. Znoszono jego jarzmo... Pokorskiemu ludzie oddawali się sami z siebie. Zato Rudin nigdy nie odmawiał rozmowy i dysputy pierwszemu spotkanemu człowiekowi... Nie przeczytał wielu książek, ale w każdym razie znacznie więcej niż Pokorski i my wszyscy; miał przytem systematyczny umysł, ogromną pamięć, a to przecie tak działa na młodzież. Dla niej przedewszystkiem ważne są wywody, rezultaty, choćby nieprawdziwe, ale rezultaty! Sumienny człowiek do tego się nie nadaje. Niech pani spró-

buje powiedzieć młodzieży, że nie może pani dać jej prawdy, bo sama pani nie posiada jej całkowicie... młodzież nie zechce pani słuchać. Ale oszukać jej też się nie uda. Trzeba żeby pani sama napół wierzyła, że zawładnęła prawdą... Dla tego to Rudin działał tak silnie. Widzi pani, ja przed chwilą powiedziałem, że on mało czytał, ale czytywał filozoficznie książki i taka była właściwość jego umysłu, że natychmiast wyciągał z przeczytanej rzeczy sens ogólny, chwycił rdzeń sprawy i przeprowadzał od niego we wszystkie strony jasne, prawidłowe nici myśli, otwierał duchowe perspektywy. Nasze kółko składało się wówczas, prawdę mówiąc, ze smarkaczy — niedouczonej smarkaczy. Filozofja, sztuki, nauka, życie samo — wszystko to było dla nas samemi słowami, może nawet pojęciami, uwodzącemi, cudownemi, ale rozrzuconemi, nie trzymającemi się ramek. Ogólnego związku między temi pojęciami, ogólnych praw świata nie uświadamialiśmy sobie, nie osiągnęliśmy tego choć rozprawialiśmy mętnie, usiłowaliśmy sobie zdać z tego sprawę. Słuchając Rudina wydało się nam zrazu, żeśmy nakoniec uchwycili ten ogólny

związek, że uniosła się zasłona! Przypuśćmy, że powtarzał cudze myśli — cóż z tego! ale we wszystko cośmy dotąd umieli wdrażał się ład i porządek, wszystko, co było dotąd bezładnie rozrzucone, poczynąło się nagle łączyć, składać, wyrastało przed nami jak budowla, wszystko się rozjaśniało, duch tchnął ze wszystkiego... Nie pozostało nic, co nie miałoby sensu lub było przypadkiem: we wszystkim ukazywała się rozumna nieodzowność i piękno, wszystko otrzymywało jasny, a jednocześnie tajemniczy sens; każde poszczególne zjawisko życia dźwięczało jak akord i my sami z jakimś świętym przerażeniem uwielbienia, z słodkimi drżeniem serca, czuliśmy się jakdyby żywymi naczyniami wiecznej prawdy, narzędziami powołanemi do czegoś wielkiego... Czy to panią śmieszy?

— Bynajmniej! odrzekła z wolna Aleksandra Pawłowna: — dlaczego pan tak myśli? Nie zupełnie pana rozumiem, ale to mnie nie śmieszy.

— Od tego czasu zdążyliśmy oczywiście zmadrzeć, ciągnął Leźniew; — wszystko to może nam się wydać teraz dzieciństwem... Ale, powtarzam, Rudinowi zawdzięczaliśmy wówczas wie-

le. Pokorski był bez porównania wyższy od niego, to niewątpliwe; Pokorski tchnął w nas wszystkich ogień i siłę; ale on sam czuł się czasem zmęczonym i milczał. Był człowiekiem nerwowym, wątłego zdrowia; zato gdy rozprostowywał skrzydła, — Boże, gdzież nie wlatywał w samą głębię i lazur nieba! A Rudin, ten piękny, postawny młodzieniec dużo miał drobnych przywar, lubił nawet plotkować; miał pasję mieszać się do wszystkiego, wszystko określać i wyjaśniać. Jego zapobiegliwa działalność nie ustawała nigdy... usposobienie polityka! Mówię o nim, o takim, jakim go znałem wówczas. Zresztą nie zmienił się, niestety. Zato i w wierzeniach swoich nie zmienił się... w trzydziestym piątym roku swego życia!... Nie każdy mógłby tak o sobie powiedzieć.

— Proszę usiąść, powiedziała Aleksandra Pawłowna, cóż pan tak, jak wahadło chodzi po pokoju tam i z powrotem?

— Tak mi lepiej, odrzekł Leźniew. — Tak więc wszedłszy do kółka Pokorskiego, wyznam pani, zacząłem się uczyć, rozpytywać, cieszyć się i uwielbiać — słowem jak gdybym wstąpił w świą-

tynię. I rzeczywiście, gdy przypomnę sobie te nasze schadzki, doprawdy były one piękne i wzruszające. Niech sobie pani wyobrazi: zeszło się pięciu, sześciu chłopców, pali się jedna łożowa świeczka, podają obrzydliwą herbatę i stare suchary, a niechby pani spojrzała na te wszystkie twarze i posłuchała rozmów! W oczach każdego z nas zachwyty, policzki płoną, a serca biją i rozprawiamy o Bogu, o prawdzie, o przyszłości ludzkości, o poezji, — mówimy nieraz bzdury, zachwycamy się głupstwami, ale cóż to znaczy!... Pokorski siedzi podwinąwszy nogi pod siebie, bladą twarz podparł ręką, a oczy mu błyszczą, Rudin stoi na środku pokoju i mówi, mówi cudownie, ani ująć ani dodać — młody Demostenes przed szumiącym morzem; rozczochrany poeta, Subotin, wydaje od czasu do czasu, jak we śnie, porywcze okrzyki; czterdziestoletni bursz, syn niemieckiego pastora, Szeller, uchodzący w naszym kółku za najgłębszego myśliciela, dzięki swemu nigdy nie naruszonemu milczeniu, właśnie uroczyście i triumfująco milczy: nawet wesoły Szczytów, Arystofanes naszych zebrań, uciszył się i tylko się uśmiecha, dwóch, trzech

nowicjuszów słucha z nabożnem wzruszeniem. A noc ucieka cicho i płynnie jak na skrzydłach. Oto już i ranek szarzeje, i rozchodzimy się, przejeżdżąc, weseli, szlachetni, trzeźwi (o winie wtedy nawet nie wspominaliśmy) z jakimś przyjemnym zmęczeniem w duszy... nawet na gwiazdy patrzymy ufnie, jakgdyby się one stały nam bliższe i zrozumialsze. Ech! dobre to były czasy i nie chce mi się wierzyć aby bez pożytku przepadły! Nie przepadły, nawet dla tych, których życie potem wypaczyło... Ile razy zdawało mi się spotykać takich ludzi, poprzednich towarzyszy! Zdawało się, że się stał taki człowiek zupełnem bydlęciem. A wystarczy wspomnieć w jego obecności nazwisko Pokorskiego żeby się w nim poruszyły resztki szlachetności — zupełnie, jakgdyby w brudnym i dusznym pokoju otworzono zapomniany flakon perfum... Leźniew umilkł; jego bezbarwna twarz zarumieniła się.

— Ale dlaczego i kiedy poróżnił się pan z Rudinem? — zapytała Aleksandra Pawłowna, spoglądając ze zdumieniem na Leźniewa.

— Nie poróżniłem się z nim, a rozstałem, gdybym go ostatecznie poznał zagranicą. Ale już

w Moskwie mogłem być się z nim pokłócić. Już wtedy spłatał mi niedobrego figla.

— Cóż takiego?

— Oto tak: ja... jakby to powiedzieć?... nie pasuje to do mnie... ale ja zawsze byłem bardzo skłonny do zakochania się.

— Pan?

— Ja. To dziwne, nieprawdaż? Ale mimo to, tak jest. No więc zakochałem się wówczas w pewnym przemilem dziewczęciu... Cóż pani tak patrzy na mnie? Mógłbym pani powiedzieć o sobie rzecz, o wiele dziwniejszą.

— Cóż to za rzecz, pozwoli pan spytać?

— A choćby taka. W tych tam moskiewskich czasach chadzałem na nocne schadzki... jak pani myśli, z kim? Z młodą lipą rosnącą w końcu ogrodu. Bywało, obejmę jej cieńki, wysmukły pień i wydaje mi się, że obejmuję całą przyrodę, a serce rośnie i mdleje, jakgdyby rzeczywiście cała przyroda wlewała się weń... Oto jaki byłem!... Ale co tam! Może pani myśli, że wierszy nie pisał? Pisałem i nawet cały dramat skomponowałem, naśladowanie Manfreda. Po między postaciami występującymi w dramacie,

było widmo z krwawem piętnem na piersi — była to krew ludzkości wogóle... Tak, tak niech pani raczy nie dziwić się... Ale zacząłem opowiadać o mojej miłości. Poznałem pewną panienkę...

— I przestał pan chodzić na schadzki z nią? — spytała Aleksandra Pawłowna.

— Przestałem. Dziewczę to było najlepszym i najmiłszym stworzeniem, z wesołemi, jasnymi ustami i dźwięcznym głosem.

— Ładnie pan opisuje — z uśmiechem zauważyła Aleksandra Pawłowna.

— A z pani zbyt surowy krytyk, — odrzekł Leźniew. — No więc, ta dziewczyna mieszkała razem ze swym starym ojcem, zresztą nie będę się wdawał w szczegóły. Powiem pani tylko, że dziewczyna ta była rzeczywiście bardzo dobra, jeśli się ją poprosiło o pół szklanki herbaty, zawsze naląła trzy czwarte! Na trzeci dzień po poznaniu jej już płonałem, a siódmego nie wytrzymałem i zwierzyłem się Rudinowi. Dla zakochanego młodzieńca niepodobieństwem jest nie wygadać się, a ja Rudinowi spowiadałem się ze wszystkiego. Byłem wówczas pod jego wpływem i mówiąc otwarcie wpływ ten był dodatnim pod

wieloma względami. On pierwszy nie wzgardził mną, ociosał mnie. Pokorskiego kochałem namiętnie i uczuwałem pewien strach przed czystością jego duszy. Czułem się bliższy Rudinowi. Dowiedziawszy się o mojej miłości, wpadł w nieopisany zachwyt. Winszował mi, ścisnął mnie i w tej chwili zabrał się do uświadamiania mnie, rozprawiania o całej ważności mego nowego położenia. Nastawiłem uszu... no, a przecież pani wie, jak on umie mówić. Słowa jego podziałały na mnie nadzwyczajnie. Powziąłem nagle niezwykły szacunek dla samego siebie, przybrałem poważny wygląd i przestałem się śmiać. Pamiętam, że nawet chodziłem ostrożniej, jakgdybym miał w piersiach puchar z drogocennym płynem, który bałem się rozlać... Byłem bardzo szczęśliwy, temwięcej, że osiągnąłem wzajemność. Rudin zapragnął poznać przedmiot mojej miłości; czy nawet ja sam nalegałem na to, by mu go przedstawić.

— No widzę, widzę już o co chodzi, przerwała Aleksandra Pawłowna. — Rudin odbił panu przedmiot pana miłości i nie może mu pan tego dotąd darować... Założę się, że odgadłam!

— Przegrałaby pani zakład, — Aleksandro Pawłowno: myli się pani. Rudin nie odbił mi przedmiotu mojej miłości, nie chciał go zresztą odbijać; a jednak rozbił moje szczęście, choć gdy o tem teraz myślę na chłodno, gotów mu jestem podziękować za to. Ale wówczas o mało mnie to nie zwichnęło. Rudin wcale nie chciał zaszkodzić mi, — przeciwnie! ale przez swój przekłety zwyczaj przebijania słowem, jak motyla szpilką, każdego przejawu życia u siebie czy innych, począł wyjaśniać nam samych siebie, nasz wzajemny stosunek, jak winniśmy postępować, despotycznie, zmuszał nas do zdawania mu sprawy z naszych uczuć i myśli, chwalił nas, ganił, wszedł nawet w korespondencję z nami, niech sobie pani wyobrazi!... no, pomieszał nam w głowach zupełnie. Wątpię, czybym się wtedy ożenił z moją panną (tyle jeszcze miałem zdrowego sensu) ale, ostatecznie, spędzilibyśmy kilka miłych miesięcy à la Paweł i Wirginja; a tu doszło do nieporozumień, naprężeń — jednym słowem głupstwo z tego wszystkiego wyszło. Skończyło się tem, że pewnego pięknego poranku Rudin powziął przekonanie, iż on, jako przy-

jaciel powinien, ma święty obowiązek uwiadomić o wszystkim starego ojca, — i zrobił to.

— Czyżby! — wykrzyknęła Aleksandra Pawłowna.

— Tak i proszę zauważyć, że zrobił to z moją zgodą — oto co jest najdziwniejsze! Pamiętam. dotąd, jaki chaos panował w tedy w mojej głowie: poprostu wszystko kręciło się i wydawało jak na negatywie: białe zdawało się czarnem, czarne — białem, kłamstwo — prawdą, fantazja — obowiązkiem... E!... nawet teraz wstyd o tem wspominać! Rudin — ten był niezmordowany... gdzież tam! unosił się nad wszelkiego rodzaju nieporozumieniami i płątniną, jak jaskółka nad stawem.

— No więc rozstał się pan ze swoją dziewczyną? — spytała Aleksandra Pawłowna, skłoniwszy naiwnie w bok główkę i podnosząc brwi.

— Rozstałem się... źle się rozstałem, niezręcznie, obraźliwie, z hałasem, z niepotrzebną awanturą... Sam płakałem i ona płakała i djabli wiedzą, co się działo... Jakiś gordyjski węzeł się zaplątał, trzeba było przeciąć z bólem. Zresztą wszystko na świecie układa się ku lepszemu.

Ona wyszła zamąż, za dobrego człowieka i Bogu dziękuję teraz!...

— A pan jednak nie mógł darować Rudinowi, proszę się przyznać... — zaczęła Aleksandra Pawłowna.

— Gdzież tam! — przerwał Leźniew: — płakałem jak dziecko, gdym go odprowadzał za granicę. Jednak, prawdę mówiąc, jakieś ziarenko zapadło mi już wówczas w duszę. I gdy go spotkałem później zagranicą... no, byłem też wtedy starszy... Rudin przedstawił mi się w prawdziwym świetle.

— Cóż mianowicie odkrył pan w nim?

— Wszystko to, o czem mówiłem pani przed godziną. Zresztą dosyć tego. Może się wszystko szczęśliwie skończyć. Chciałem tylko pani dowieść, że jeśli sądzę go tak surowo, to nie dla tego, że go nie znam. Co się tyczy Natalji Aleksówny nie będę gadać na próżno; ale pani niech zwróci uwagę na swego brata.

— Na mojego brata! A cóż takiego?

— Niech mu się pani przypatrzy. Czyż pani niczego nie zauważyła?

Aleksandra Pawłowna zamyśliła się.

— Ma pan rację — przemówiła — rzeczywiście... brata mego... nie poznaję od pewnego czasu... ale czyżby pan sądził...

— Ciszej! Zdaje mi się, że idzie tutaj — szepnął Leźniew. A Natalja nie dziecko, proszę mi wierzyć, choć, na nieszczęście, niedoświadczona jak dziecko. Zobaczysz pani, ta dziewczyna zadziwi nas wszystkich.

— Jakim-że to sposobem?

— A to takim... Czy pani wie, że takie właśnie dziewczyny topią się, trują i tak dalej? Niech się pani nie łudzi jej spokojem: namiętności jej są silne i charakter także oj—oj!

— Tutaj, to już mam wrażenie, poetyzuje pan. Takiemu flegmatykowi jak pan, nawet i ja mogę się wydać wulkanem.

— No nie! — wyrzekł z uśmiechem Leźniew. A co do charakteru, — to chwala Bogu, nie posiada go pani wcale.

— A to co znowu za impertynencja?

— To? na miłość boską, to jest największy komplement...

Wszedł Wołyncew i spojrzał podejrzliwie na Leźniewa i siostrę. Poczuli oboje z nim roz-

mawiać, ale zaledwie uśmiechem odpowiadał na ich żarty.

W ostatnich czasach schudł i wyglądał, według wyrażenia Pigasowa, jak smutny zając. Zresztą prawdopodobnie, nie było jeszcze na świecie człowieka, któryby choć raz w życiu nie wyglądał gorzej jeszcze. Wołyncew czuł, że Natalja oddała się od niego, a razem z nią ziemia usuwała mu się z pod nóg.

VII.

Na drugi dzień była niedziela i Natalja wstała późno. Poprzedniego dnia była bardzo milcząca do samego wieczoru, wstydziła się potajemnie swych łez i bardzo źle spała. Siedząc napół ubrana przed swoim małym fortepianem, to brała akordy ledwo dosłyszalne, żeby nie obudzić m-lle Boncourt, to przywierała czołem do chłodnych klawiszy i pozostawała długo nieruchoma. Rozmyślała wciąż — nie o samym Rudinie, a o jakimś przez niego wypowiedzianym słowie, i zapadała znów w swą zadumę. Zrzadka

przychodził jej na myśl Wołyncew. Wiedziała, że on ją kocha. Ale myśl jej porzucała go natychmiast... uczuwała dziwne wzburzenie. Ubrała się pospiesznie, zeszła na dół, przywitała się z matką i ułowiwszy odpowiednią chwilę wymknęła się sama do ogrodu... Dzień był gorący, jasny, lazurowy, mimo przelotnych deszczyków. Po jasnem niebie przepływały, nie zakrywając słońca, niskie skłębione chmury i od czasu do czasu spuszczały na pola obfite potoki nagłej, krótkiej ulewy. Wielkie, dźwięczne krople sypały się gęsto z jakimś suchym szumem, jak topazy, słońce igrało poprzez ich migotliwą sieć, trawa, do niedawna wzburzona wiatrem, stała teraz bez ruchu i chciwie chłoneła wilgoć; zroszone drzewa szumiały cicho wszystkiemi swemi liśćmi, ptaki nie przestawały śpiewać i radośnie słuchało się ich zgiełkliwego szczebiotu w całym tym świeżym szumie i szeleście przebiegającego deszczu. Zakurzone drogi dygotały i pstrzyły się ciemnymi plamami pod ostremi uderzeniami kropel. Ale oto chmurka przebiegła, zatrzepotał wietrzyk, trawa poczęła mienić się szmaragdem i złotem... lgnąc jedno

do drugich zaszumiały liście drzew... silny zapach uniósł się zewsząd.

Niebo było już prawie czyste, gdy Natalja weszła do ogrodu. Tchnęło od niego świeżością i ciszą, tą czułą i szczęśliwą ciszą, na którą serce człowieka odpowiada, słodkim oddźwiękiem tajemnej harmonji i nieokreślonych pragnień...

Natalja szła wzdłuż stawu długą aleją srebrzystych topoli, gdy nagle, jakdyby z pod ziemi, wyrósł przed nią Rudin.

Zmieszała się. Spojrzał jej w twarz.

— Pani sama? — spytał.

— Tak, jestem sama, odrzekła Natalja: — wyszłam zresztą na chwilę... Czas mi już wracać do domu.

— Odprowadzę panią.

I poszedł obok niej.

— Czy pani jest czegoś smutna? — przemówił.

— Ja?... a ja właśnie zauważyłam, że pan wydaje mi się jakiś nieswój.

— Być może... to się ze mną zdarza. Ale mnie to łatwiej wybaczyć można, niż pani.

— Dlaczegoż to? Czy pan myśli, że ja nie mam powodu do smutku?

— W pani wieku należy rozkoszować się życiem.

Natalja szła kilka kroków w milczeniu.

— Dymitrze Mikołajewiczu! — wyrzekła.

— Co takiego?

— Czy pamięta pan... porównanie, które zrobił pan wczoraj... pamięta pan... z dębem.

— No tak, pamiętam. Cóż więc?

Natalja spojrzała ukradkiem na Rudina.

— Dlaczego... co pan chciał przez to porównanie powiedzieć?

Rudin pochylił głowę i utkwiał w dal wzrok.

— Nataljo Aleksówno! — zaczął z właściwym mu powściągliwym i wymownym wyrazem twarzy, który zawsze naprowadzał słuchacza na myśl, że Rudin nie wypowiadał ani dziesiątej części tego, co nagromadziło mu się w duszy: — Nataljo Aleksówno! mogła pani już zauważyć, jak mało mówię o swojej przeszłości. Są pewne struny, których nie dotykam wcale. Moje serce... na cóż komu potrzebne wiedzieć, co się w niem działo? Wydawało mi się zawsze świętokra-

dzłwem wystawiać go na pokaz. Ale z panią jestem szczery: pani wzbudza moje zaufanie... Nie mogę przed panią ukryć, że i ja kochałem i cierpiałem, jak wszyscy... Kiedy i jak? o tem mówić nie warto; ale serce moje zaznało wiele radości i wiele goryczy...

Rudin milczał przez chwilę.

— To, co powiedziałem pani wczoraj, ciągnął dalej — do pewnego stopnia da się do mnie zastosować, do mego obecnego położenia. Ale o tem znowu nie warto mówić. Ta strona życia przepadła już dla mnie. Pozostaje mi wlec się po upalnej, zakurzonej drodze trzęsącym wozem od stacji do stacji... Kiedy dojadę i czy dojadę — Bóg wie... Pomówmy lepiej o pani.

— Czyż doprawdy, Dymitrze Mikołajewiczu, przerwała mu Natalja: — nie oczekuje pan niczego od życia?

— O nie! wiele oczekuję, ale nie dla siebie... działalności, błogosławieństwa działalności nigdy się nie wyrzeknę, ale wyrzekłem się rozkošy. Moje nadzieje, moje marzenia nie mają nic wspólnego z moim osobistym szczęściem. Miłość (przy słowie tem wzruszył ramieniem) miłość —

nie dla mnie, ja... nie jestem jej wart; kobieta, która kocha ma prawo żądać całego człowieka, a ja już cały oddać się nie mogę. Przytem, podobać się — to rzecz młodzieńca. Za stary jestem. Gdzie mnie tam zawracać czyjeś głowy? Daj Boże swoją własną wynosić na ramionach!

— Rozumiem, przemówiła Natalja: kto dąży do wielkiego celu, ten nie powinien myśleć o sobie, Ale czyżby kobieta nie była zdolna ocenić takiego człowieka? Ja myślę, że przeciwnie, kobieta prędzej odwróci się od egoisty... Wszyscy ludzie młodzi, ci młodzieńcy jak ich pan nazywa, wszyscy są egoistami, wszyscy tylko sobą zajęci, nawet gdy kochają. Proszę mi wierzyć, kobieta nie tylko jest zdolna zrozumieć poświęcenie: ona sama umie się poświęcić.

Policzki Natalji zlekka zarumieniły się i oczy zabłyszczały. Do czasu poznania Rudina nigdyby nie wygłosiła tak długiej i gorącej przemowy.

— Mogła pani nieraz słyszeć mój sąd o powołaniu kobiety, odrzekł z pobłażliwym uśmiechem Rudin: pani wie, że według mnie, jedna Joanna D'Arc mogła zbawić Francję... ale nie w tem rzecz. Chciałem pomówić o pani. Stoi pa-

ni na progu życia... rozprawiać o przyszłości pani jest wesoło i nie bez korzyści... proszę posłuchać: Pani wie, że jestem jej przyjacielem, obchodzi mnie pani prawie jak krewna... i dla tego mam nadzieję nie poczyta mi pani za nieprzystojność mego pytania: proszę powiedzieć, czy serce pani do tego czasu jest zupełnie spokojne?

Natalja spłonęła i nic nie odrzekła. Rudin zatrzymał się i ona stanęła.

— Nie gniewa się pani na mnie? — spytał.

— Nie, — wyrzekła: — ale nie oczekiwałam bynajmniej...

— Zresztą, — mówił dalej: — może pani nie odpowiadać. Znam tajemnicę pani.

Natalja spojrzała na niego prawie z przestraszeniem.

— Tak... tak; wiem ja, kto się pani podoba. I muszę przyznać — lepszego wyboru nie mogła pani zrobić. To cudowny człowiek; potrafi panią ocenić; nie zgnieciony życiem — prosta i jasna dusza... on stworzy szczęście pani.

— O kim pan mówi, Dymitrze Mikołajewiczu?

— Czyżby pani nie rozumiała o kim mówię?

Rozumie się o Wołyncewie. No cóż? czyż to nieprawda?

Natalja odwróciła się nieco od Rudina. Straciła całkowicie panowanie nad sobą.

— Czyż on pani nie kocha? Ależ on oczu z pani nie spuszcza, śledzi każde poruszenie, a zresztą czyż można ukryć miłość? I pani sama czyż mu nie sprzyja? O ile mogłem zauważyć, i mamie pani on też się podoba... wybór pani...

— Dymitrze Mikołajewiczu, przerwała mu Natalja, w zmieszaniu wyciągając rękę do stojącego w pobliżu krzewu! — mnie doprawdy tak trudno o tem mówić, ale zapewniam pana... pan się myli.

— Mylę się? — powtórzył Rudin: — nie sądzę... Znam panią od niedawna, ale poznałem już panią dobrze. Cóż znaczy ta zmiana, którą w pani widzę, widzę jasno? Czyż pani ta sama, którą poznałem sześć tygodni temu? Nie, Nataljo Aleksówna, serce pani nie jest spokojne.

— Może być,— odpowiedziała Natalja ledwo dosłyszalnym głosem, —ale jednak pan się myli.

— Jakże to? — spytał Rudin.

— Proszę mnie zostawić w spokoju, proszę

nie pytać! — wyrzekła Natalja i szybkimi krokami skierowała się do domu.

Zdjął ją strach przed uczuciami, które nagle poczuła w sobie.

Rudin dopędził ją i zatrzymał.

— Nataljo Aleksówno! — zaczął: — ta rozmowa nie może się tak skończyć: zbyt wielkiej wagi jest i dla mnie... Jak mam panią zrozumieć?

— Proszę mi dać spokój, — powtórzyła Natalja.

— Nataljo Aleksówno, na miłość Boga!

Na twarzy Rudina przejawiało się wzburzenie. Pobladł.

— Wszystko pan rozumie, powinien pan i mnie zrozumieć! powiedziała Natalja, wyrwała rękę i poszła nie oglądając się za siebie.

— Jedno słowo tylko! — krzyknął za nią Rudin.

Zatrzymała się, ale nie odwróciła.

— Pytała mnie pani, co chciałem powiedzieć wczorajszem porównaniem. Niechże pani wie, nie chcę pani oszukiwać... Mówilem o sobie, o swojej przeszłości, — i o pani.

— Jakto o mnie?

— Tak, o pani; powtarzam, nie chcę pani oszukiwać... Teraz pani wie, o jakim nowem uczuciu mówiłem wtedy... Do dzisiejszego dnia nigdybym się nie odważył...

Natalja zakryła nagle twarz rękami i pobiegła do domu.

Była tak wstrząśnięta nieoczekiwanym wynikiem rozmowy z Rudinem, że nie zauważyła Wołyncewa, koło którego przebiegła. Stał bez ruchu oparty plecami o drzewo. Przed kwadrantsem przyjechał do Darji Michałowny i zastał ją w salonie, zamienił parę słów i niepostrzeżenie wymknął się na poszukiwanie Natalji. Wiedziony intuicją, właściwą zakochanym, poszedł wprost do ogrodu i natknął się na Natalję i Rudina w tej chwili, gdy ona wyrwała rękę z jego dłoni. Wołyncewowi pociemniało w oczach. Odprowadziwszy wzrokiem Natalję odszedł od drzewa i zrobił parę kroków sam, nie wiedząc gdzie i poco. Rudin zobaczył go zrównawszy się z nim. Obaj spojrzeli sobie w oczy, ukłonili się i rozeszli w milczeniu.

„To się tak nie skończy“, pomyśleli obydwaj.

Wołyncew poszedł na koniec ogrodu. Zdjęła go gorycz i wstręt, a serce zaciężyło ołowiem i krew wzburzyła się złowrogo. Deszcz znów zaczął kropić. Rudin wrócił do swego pokoju i on nie był spokojny, myśli wirowały mu w głowie. Nieoczekiwane zetknięcie się z młodą, ufną i uczciwą duszą może wzruszyć każdego.

Podczas obiadu wszystko szło jakoś nieskładnie. Natalja blada, ledwo trzymała się na krześle i nie podnosiła oczu. Wołyncew siedział, jak zwykle obok niej i od czasu do czasu z przymusem wypowiadał parę słów. Tak się złożyło, że Pigasow był tego dnia na obiedzie u Darji Michałówny. Zabierał głos najczęściej. Między innymi począł dowodzić, że ludzi, jak psów można podzielić na kusych i ogoniastych. Kusymi bywają ludzie — mówił — od urodzenia i z własnej winy. Kusym źle się wiedzie: nic im się nie udaje — nie mają pewności siebie. Ale człowiek, który ma długi puszysty ogon — jest szczęśliwym. Może być i gorszy i słabszy od kusego, ale jest pewien siebie: rozpuści ogon — i wszyscy zachwyca się. A oto, co godne jest podziwu: Ogon jest przecie zupełnie bezużyteczną częścią ciała,

zgodzą się państwo, na cóż może się przydać ogon? A wszyscy sądzą o zaletach wedle ogona.

— Ja, — dodał z westchnieniem: — należę do kusych i co mnie gniewa najwięcej, sam obciąłem sobie ogon.

— To znaczy, chce pan powiedzieć, — zauważył niedbale Rudin, — co, zresztą, już dawno przed panem powiedział La-Rochefoucauld: wierz sam sobie, a inni ci uwierzą. Poco było tu mieszać ogon, nie rozumiem.

— Niech pan pozwoli, ostro rzekł Wołyncew i oczy mu błysnęły: — niech pan pozwoli wyrażać się każdemu, jak mu się podoba. Rozprawia się o despotyzmie... według mnie nie ma gorszego despotyzmu niż tak zwanych mądrych ludzi. Niech ich djabli wezmą!

Wszyscy zdumieli się zachowaniem Wołyncewa, wszyscy przycichli. Rudin spojrzał na Wołyncewa, ale nie wytrzymał jego wzroku, odwrócił się, uśmiechnął i nie otworzył ust.

„Ehe! to i ty jesteś kusy“ — pomyślał Pigasow, a w Natalji dusza zamarła z przestachu. Darja Michałowna długo i ze zdziwieniem popatrzyła na Wołyncewa i w końcu pierwsza przer-

wała milczenie, zaczęła opowiadać o jakimś niezwykłym psie ministra N. N....

Wołyncew odjechał zaraz po obiedzie. Żegnając się z Natalją, nie wytrzymał i powiedział:

— Czemu pani tak zmieszana, jakgdyby się pani czuła winną? Pani wobec nikogo winną być nie może!...

Natalja nic nie zrozumiała i tylko popatrzyła za nim. Przed herbatą Rudin podszedł do niej i nachyliwszy się nad stołem, jakgdyby przeglądając gazety, szepnął:

— Wszystko to jak sen, nieprawdaż? Muszę koniecznie widzieć panią samą... choć na minutę. — Zwrócił się do m-elle Boncourt. — Oto, powiedział: ten fejleton, którego pani szukała, i nachylając się nad Natalją dodał szeptem: — niech się pani postara być około dziewiątej godziny przy tarasie, w altanie z bzu: będę panią oczekiwać.

Bohaterem wieczoru był Pigasow. Rudin ustąpił mu miejsca. Śmieszył bardzo Darję Michalownę; z początku opowiadał o pewnym swoim sąsiedzie, który pozostając przez lat trzydzieści pod pantoflem swej żony, do tego stopnia zba-

biał, że przechodząc raz, w obecności Pigasowa, przez małą kałużę, założył rękę w tył i odsunął w bok fałdy surduta tak, jak to robią kobiety ze swemi sukniami. Potem zwrócił rozmowę na drugiego ziemianina, który najpierw był masonem, potem melancholikiem, w końcu chciał być bankierem.

— Jakże to pan był masonem, Filipie Stefanowiczu? spytał go Pigasow.

— Wiadomo jak: nosiłem długi paznokiec na piątym palcu.

Ale Darja Michałowna śmiała się najwięcej, gdy Pigasow począł rozprawiać o miłości i zapewniać, że i do niego wzdychano, że jedna zapalna Niemka nazywała go nawet „apetycznym Afrykaneczkiem“ i „chrypusiem“. Darja Michałowna śmiała się, a Pigasow nie kłamał: on rzeczywiście miał prawo chełpić się swemi zwycięstwami. Twierdził, że nie może być nic łatwiejszego jak rozkochać w sobie pierwszą lepszą kobietę: wystarczy powtarzać jej przez dziesięć dni, że usta jej są rajem, a oczy szczęściem i pokocha. Wszystko na świecie bywa. Może i rację ma Pigasow.

O wpół do dziewiątej Rudin był już w altance. W dalekiej i bladej głębi nieba zaledwie zaczęły ukazywać się gwiazdy, zachód różowił się jeszcze, tam niebo wydawało się jaśniejsze i czystsze; półkrąg księżyca przeświecał złotem poprzez czarną sieć płaczącej brzozy. Inne drzewa to stały jak ponure olbrzymy, z tysiącem przebłysków na podobieństwo oczów, to zlewały się w gęste ciemne gromady. Ani jeden listek nie drgnął; górne gałęzki bzów i akacyj jakdyby przysłuchiwały się czemuś i wyciągały się w ciepłym powietrzu. Dom czernił się w pobliżu; plamami czerwonego światła odznaczały się na nim oświetlone okna. Wieczór był łagodny i cichy; ale tajemne, namiętne westchnienie zdawało się przepajać tę ciszę.

Rudin stał, skrzyżowawszy ręce na piersiach i słuchał z naprężoną uwagą. Serce biło mu mocno i mimowoli zatrzymywał oddech. Nakoniec posłyszał lekkie, szybkie kroki i do altanki weszła Natalja.

Rudin rzucił się ku niej i wziął ją za ręce. Były one zimne jak lód.

— Nataljo Aleksówno, zaczął drżącym szep-tem: — chciałem panią widzieć, nie mogłem do-czekać jutra. Muszę pani powiedzieć, czego nie podejrzewałem, czego nie zeznawałem nawet dziś rano: ja panią kocham!

Ręce Natalji drgnęły słabo w jego rękach.

— Kocham panią, powtórzył: — i jak mogłem tak długo oszukiwać się, jak mogłem nie odgadnąć, że panią kocham. A pani... Nataljo Aleksówno, niech pani powie...

Natalja z trudnością chytyła oddech.

— Pan widzi, przyszłam tutaj, przemówiła nakoniec.

— Nie, proszę powiedzieć, kocha mnie pani?

— Zdaje mi się... tak ... wyszeptała.

Rudin mocniej jeszcze ucisnął jej ręce i chciał ją do siebie przyciągnąć...

Natalja obejrzała się szybko.

— Proszę mnie puścić, — boję się, — zdaje mi się, że nas ktoś podsłuchuje... Na miłość Boską, niech pan będzie ostrożny. Wołyncew domyśla się.

— Bóg z nim! Widziała pani, nie odpowiada-łem mu nawet dzisiaj... Ach, Nataljo Aleksówno,

jakże jestem szczęśliwy! Teraz nic nas już nie rozłączy!

Natalja spojrzała mu w oczy.

— Proszę mnie puścić, szepnęła: — czas mi już.

— Jedna sekunda, zaczął Rudin...

— Nie, nie, niech pan mnie puści...

— Czyżby się pani mnie bała?

— Nie; ale czas już wracać.

— Niech więc pani powtórzy raz jeszcze...

— Mówi pan, że jest pan szczęśliwy? spytała Natalja.

— Ja? Niema na świecie szczęśliwszego człowieka odemnie! Czyż pani wątpi?

Natalja uniosła głowę. Prześliczna była jej blada twarz, szlachetna, młoda i wzruszona — w tajemniczym cieniu altany, w słabym świetle nocnego nieba.

— Wiedz zatem, powiedziała: będę twoją.

— O Boże! wykrzyknął Rudin...

Ale Natalja wymknęła się i odeszła. Rudin stał przez chwilę, poczem powolnym krokiem wyszedł z altany. Księżyc oświeślał jasno twarz jego, na ustach jego błdził uśmiech.

Szczęśliwy jestem, wyrzekł półgłosem. — Tak, jestem szczęśliwy, powtórzył, jakby chcąc przekonać samego siebie.

Wyprostował się, wstrząsnął kędziorami i rażno poszedł do ogrodu, wesoło wymachując rękami.

A w tym czasie w altanie z bzów rozchyliły się wolniutko krzaki i ukazał się Pandalewski. Rozejrzał się wkoło ostrożnie, pokiwał głową, zacisnął usta, wyrzekł z naciskiem: „Oto jak jest, trzeba to będzie donieść Darji Michałownie“ i ukrył się.

VIII.

Powróciwszy do domu Wołyncew był tak znużony i chmurny, tak niechętnie odpowiadał siostrze i tak szybko zamknął się w swym gabinecie, że ta postanowiła wyprawić posłańca do Leźniewa. Udawała się do niego we wszelkich kłopotliwych wypadkach. Leźniew kazał odpowiedzieć, że przybędzie następnego dnia.

Wołyncew i następnego rana nie był wesel-

szy. Po herbacie chciał pojechać w pole do robot, ale wkońcu został, położył się na kanapie i począł czytać książkę, co zdarzało się z nim niezbyt często. Literatura nie pociągała Wołyncewa a wierszy wprost się bał. — „To jest niezrozumiałe, jak wiersze“ mawiał i na potwierdzenie swych słów przytaczał strofę wiersza Ajbula:

I aż do smutnych dni krańca
Ni dumna wiedza ni rozsądek
Nie zatrą w pamięci skazańca
Krwawiących życia pamiątek.

Aleksandra Pawłowna trwożliwie spoglądała na brata, ale nie niepokoiła go pytaniami. Pojazd podjechał przed ganek. „No, dzięki Bogu — pomyślała — Leżniew“... Służący wszedł i oznajmił przyjazd Rudina. Wołyncew rzucił książkę na podłogę i podniósł głowę.

— Kto przyjechał? spytał.

— Rudin, Dymitr Mikołajewicz, powtórzył służący.

Wołyncew wstał.

— Proś, powiedział: — a ty, siostró, dodał

zwracając się do Aleksandry Pawłowny: — zostaw nas samych.

— Ależ dlaczego? zaczęła...

— Ja już wiem, przerwał zapalczywie: — ja cię proszę.

Wszedł Rudin. Wołyncew skłonił się chłodno, stojąc na środku pokoju i nie podając mu ręki.

— Nie oczekiwał mnie pan, niech się pan przyzna, zaczął Rudin, kładąc kapelusz na oknie.

Usta drgały mu zlekka. Było mu nieswojo, ale starał się ukryć swe zmieszanie.

— Rzeczywiście, nie oczekiwałem pana odrzekł Wołyncew: — mogłem raczej, po wczorajszym dniu, oczekiwać kogoś przysłanego przez pana.

— Rozumiem, co pan chce powiedzieć, przemówił Rudin siadając: — i bardzo rad jestem pańskiej szczerości. Tak jest dużo lepiej. Sam przyjechałem do pana jako do człowieka szlachetnego.

— Czy nie możnaby bez komplementów? zauważył Wołyncew.

— Chcę panu wyjaśnić, poco przyjechałem.

— Znamy się, czemużby pan nie mógł przyjechać do mnie? Przytem, nie pierwszy raz zaszczyca mnie pan swą wizytą.

— Przyjechałem do pana jako człowiek szlachetny do szlachetnego człowieka, powtórzył Rudin: — chcę się zdać na pański sąd... dowierzam panu w zupełności.

— Ale o cóż chodzi? wyrzekł Wołyncew, który wciąż jeszcze stał w poprzedniej pozycji, patrząc chmurnie na Rudina i od czasu do czasu szarpiąc końce wąsów.

— Proszę pozwolić... przyjechałem, aby wyjaśnić panu, ale tego nie można zrobić odrazu.

— Czemuż to nie można?

— Zamieszana tu jest osoba trzecia.

— Jaka trzecia osoba?

— Sergjusz Pawłowiczu, pan mnie rozumie.

— Dymitrze Mikołajewiczu, nie rozumiem pana ani trochę.

— Pan sobie życzy...

— Życzę sobie, aby pan mówił bez ogródek! — podchwycił Wołyncew.

Zaczynał być zły nie na żarty.

Rudin nachmurzył się.

— Proszę bardzo... jesteśmy sami... Muszę panu powiedzieć — sam się pan zresztą domyśla prawdopodobnie. (Wołyncew niecierpliwie wzruszył ramionami). Muszę panu powiedzieć, że kocham Natalję Aleksównę i mam prawo mniemać, że i ona mnie kocha.

Wołyncew zbladł, ale nie odrzekł nic, podszedł do okna i odwrócił się.

— Rozumie pan, Sergjusz Pawłowiczu, ciągnął Rudin: — że jeśli nie byłbym przekonany...

— Zmiłuj się pan, przerwał pośpiesznie Wołyncew, ja wcale nie wątpię... Cóż! na zdrowie! Dziwię się tylko, skąd panu u diabła do głowy przyszło zjawiać się u mnie z tą wieścią... Cóż ja tu znaczę? Cóż mi do tego, kogo pan kocha i kto pana kocha? póprostu nie mogę pojąć.

Wołyncew patrzył wciąż w okno. Głos jego dźwięczał głucho.

Rudin wstał.

— Powiem panu, Sergjusz Pawłowiczu, dlaczego postanowiłem do pana przyjechać, dlaczego nie poczuwałem się nawet w prawie ukrywać przed panem naszą... naszą wzajemną skłonność. Zbyt wiele mam dla pana szacunku — oto czemu

do pana przyjechałem; nie chciałem... oboje nie chcieliśmy grać wobec pana komedji. Wiedziałem o uczuciu pana do Natalji Aleksówny... Proszę mi wierzyć, znam swoją wartość, wiem jak mało jestem godzien tego, żeby zastąpić pana w jej sercu; ale jeśli już tak było sądzonem, czyżby lepiej było oszukiwać, udawać, być przebiegłym? Czyż lepiej stwarzać nieporozumienia lub nawet możliwość takiej sceny, jaka zaszła wczoraj przy obiedzie? Sergjusz Pawłowiczu, niechże pan sam powie.

Wołyncew skrzyżował ręce na piersiach, jak-gdyby usiłując opanować samego siebie.

— Sergjusz Pawłowiczu! ciągnął Rudin: — zrobiłem panu przykrość, czuję to... ale niech pan nas zrozumie... niech pan zrozumie, że nie mieliśmy innego sposobu okazać panu nasz szacunek, dowieść, że umiemy ocenić pańską prostoduszną szlachetność. Szczerłość, zupełna szczerłość z każdym innym byłaby nie na miejscu; ale z panem staje się ona powinnością. Przyjemnie nam myśleć, że nasza tajemnica spoczywa w pana rękach.

Wołyncew roześmiał się z przymusem.

— Dziękuję za zaufanie! wykrzyknął; — chociaż proszę zauważyć, że nie pragnąłem posiąść pańskiej tajemnicy, ani powierzać panu moją, a pan nią rozporządza jak swoją własnością. Ale pozwoli pan: pan mówi jakby we wspólnem imieniu. Mogę zatem przypuszczać, że Natalji Aleksównie wiadomą jest pańska wizyta i cel tej wizyty?

Rudin zmieszał się nieco.

— Nie, nie zwierzałem się Natalji Aleksównie z mego zamiaru, ale wiem, że ona podzielała moje zapatrywania.

— Wszystko to pięknie, powiedział po chwili milczenia Wołyncew i zabębnił palcami w szybę: — choć wyznam, byłoby znacznie lepiej, gdyby mnie pan mniej szanował. Mnie, prawdę mówiąc, pański szacunek na djabła się zda; ale czegoż pan teraz chce odemnie?

— Nic nie chcę... albo nie! chcę jednej rzeczy: chcę aby mnie pan nie uważał za człowieka przebiegłego i przewrotnego, żeby mnie pan zrozumiał... Mam nadzieję, że pan obecnie nie może powątpiewać w moją szczerłość... Ja chcę, Sergjuszu Pawłowiczu, abyśmy się rozstali przyja-

ciółmi... żeby pan po dawnemu wyciągnął do mnie rękę...

I Rudin zbliżył się do Wołyncewa.

— Daruje pan, łaskawy panie, przemówił Wołyncew, odwracając się i cofając krok wstecz: — gotów jestem oddać pełną sprawiedliwość pańskim zamiarom, wszystko to ślicznie, przypuśćmy nawet, wzniosłe, ale my jesteśmy ludzie prości, jadamy pierniki nie malowane, nie jesteśmy w stanie śledzić za polotem tak wysokich umysłów, jak pański... To, co panu wydaje się szczerem, nam wydaje się natrętnem i nieprzyzwoitem... To, co dla pana prostem jest i jasnem, dla nas jest zagmatwanem i ciemnem... Pan chełpi się tem, co my ukrywamy: jakże możemy zrozumieć pana! Proszę mi wybaczyć: ani za przyjaciela nie mogę pana uważać, ani ręki panu nie podam... To może być pospolitem, wiem, ale ja sam jestem przecie pospolitym.

Rudin wziął z okna kapelusz.

— Sergjusz Pawłowiczu! wymówił ze smutkiem: — żegnaj; zawiodłem się w swych oczekiwaniach. Wizyta moja, rzeczywiście dosyć jest dziwną; ale miałem nadzieję, że pan... (Wołyn-

cew zrobił niecierpliwy ruch) proszę wybaczyć, nie będę więcej o tem mówić. Zważywszy wszystko widzę dobrze: ma pan rację i nie mógł pan inaczej postąpić. Żegnam pana i proszę przynajmniej pozwolić, raz jeszcze zapewnić pana o czystości moich intencyj... O dyskrecji pana jestem przekonany...

— Tego już nadto! wykrzyknął Wołyncew i zatrzęsł się z gniewu: nie prosiłem bynajmniej o pańskie zaufanie; a zatem niema pan żadnego prawa liczyć na moją dyskrecję!

Rudin, chciał coś powiedzieć, ale rozłożył tylko ręce, skłonił się i wyszedł, a Wołyncew rzucił się na kanapę i zwrócił twarzą do ściany.

— Czy można do ciebie wejść? posłyszał za drzwiami głos Aleksandry Pawłowny.

Wołyncew nie zaraz odpowiedział i ukradkiem przesunął ręką po twarzy. Nie, Sasza, wyrzekł zlekka zmienionym głosem: — poczekaj jeszcze trochę.

W pół godziny potem Aleksandra Pawłowna znów podeszła do drzwi.

— Michał Michałowicz przyjechał, powiedziała: — czy chcesz go widzieć?

Chcę, odrzekł Wołyncew: przyślij go tu.

Leżniew wszedł.

— Cóż — chory jesteś? spytał siadając na krześle obok kanapy.

Wołyncew uniósł się, wsparł się na łokciu, popatrzył długo, długo w twarz swego przyjaciela i powtórzył od pierwszego do ostatniego słowa swą rozmowę z Rudinem. Nigdy dotąd nie wspominał Leżniewowi o swych uczuciach względem Natalji, choć domyślał się, że on wie o nich.

— No, bracie, zadziwiłeś mnie, wyrzekł Leżniew, gdy Wołyncew skończył opowiadać. Spodziewałem się po nim wiele dziwacznych rzeczy, ale to już... Zresztą i w tem go poznaję.

— Zmiłuj się! mówił wzburzony Wołyncew: — to przecie jest wprost bezczelność! Ja go przecież o mało nie wyrzuciłem przez okno. Pochwalić się chciał przedemną, czy co, czy może stchórzył? Z jakiejże racji? Jak się można odważyć jechać do człowieka... Wołyncew zarzucił ręce na głowę i umilkł.

— Nie bracie, to nie to, odrzekł spokojnie Leżniew. — Ty mi nie uwierzysz, a on jednak to zrobił z dobrych pobudek. Doprawdy... To wi-

dzisz jest i szlachetnie i szczerze, no i zdarza się okazja do przemowy, krasomówstwu swemu dać folgę; oto czego mu potrzeba, bez czego nie jest w stanie żyć... Och, język jego jest jego wrogiem... Zato też jest i jego sługą.

— Nie możesz sobie wyobrazić, jak uroczyście wszedł tutaj i przemawiał!...

— No tak, bez tego ani rusz. On i kurtkę zapina tak, jakdyby spełniał święty obowiązek. Jabym go osadził na bezludnej wyspie i chciałbym ukradkiem zobaczyć jakby on tam rozkazywał. I on rozprawia o prostocie!

— Powiedźże mi bracie, na miłość Boską, spytał Wołyncew, co to jest takiego: filozofja, czy co?

— Jak ci powiedzieć? z jednej strony może to rzeczywiście i filozofja — a z drugiej zupełnie co innego. Wszelkiego głupstwa na filozofję zwalać też nie można.

Wołyncew spojrział na niego.

— A czy on nie skłamał, jak ty myślisz?

— Nie mój synu, nie skłamał. A zresztą wiesz co? Dosyć już o tem rozprawiać. Dalej, bracie, zapalimy papierosy i poprosimy tu Aleksandrę

Pawłownę... Z nią i rozmawia się lepiej i milczy łatwiej: Ona nam da herbaty.

— Można, odrzekł Wołyncew. — Sasza, wejdz! krzyknął. Aleksandra Pawłowna weszła. Schwycił ją za rękę i mocno przycisnął do ust.

Rudin powrócił do domu w dziwnej rozterce ducha. Był zły na siebie, wyrzucał sobie brak rozwagi i dziecinnadę nie do wybaczenia. Nie darmo powiedział ktoś: niema nic cięższego nad świadomość popełnionego przed chwilą głupstwa.

Niezadowolenie z siebie targało Rudinem.

„Djabieł mnie skusił“ szepnął przez zęby, jechać do tego hreczkosieja! Toż dopiero myśl! Na impertynencję się tylko naraziłem!“

A w domu Darji Michałowny działo się coś niezwykłego. Sama pani nie ukazywała się przez całe rano i do obiadu nie wyszła; wedle zapewnień Pandalewskiego, jedynej do niej dopuszczonej osoby, bolała ją głowa. Natalji Rudin też prawie nie widział: siedziała w swym pokoju z m-elle Boncourt... Spotkawszy się z nim w ja-

dalni popatrzyła na niego z takim smutkiem, że serce mu drgnęło. Twarz jej była tak zmieniona, jakdyby nieszczęście zważyło się na nią od wczorajszego dnia. Smutek nieokreślonego przecucia począł gnębić Rudina. Żeby się trochę rozzerwać zajął się Basistowem, rozmawiał z nim dużo i znalazł w nim pełnego zapału, żywego młodzieńca z nienaruszoną jeszcze wiarą i nadziejami.

Pod wieczór Darja Michałowna zjawiła się na dwie godziny w salonie. Była uprzejma dla Rudina, ale trzymała się jakby zdaleka, to uśmiechała się, to nachmurzała, mówiła przez nos i po największej części nieokreślonymi napomknieniami. Przybierała ton dworskiej damy. Ostatniemi czasy jakgdyby ochłodziła nieco w stosunku do Rudina. — „Co za zagadka?“ myślał, patrząc z boku na jej odrzuconą w tył głowę. Niedługo czekał na rozwiązanie tej zagadki. Wracając o dwunastej w nocy do swego pokoju, przechodził przez ciemny korytarz. Wtem ktoś wsunął mu kartkę do ręki. Obejrzał się: dziewczyna jakaś oddalała się, jak mu się wydawało, pokojówka Natalji. Wszedł do siebie, odesłał służą-

cego, rozwinął kartkę i przeczytał kilka wierszy skreślonych ręką Natalji: „Niech pan przyjdzie jutro, o siódmej godzinie rano, nie później, do stawu, za dębowym lasem. Wszelka inna pora niemożliwa. Będzie to nasze ostatnie widzenie, wszystko skończy się, jeśli... proszę przyjść. Trzeba się będzie zdecydować...

P. S. Jeśli nie przyjdę, nie zobaczymy się więcej: wtedy dam panu znać“...

Rudin zamyślił się. Miał kartkę w rękach, wsunął ją pod poduszkę, rozebrał się, położył ale nie prędko zasnął. Spał czujnie i nie było jeszcze piątej godziny, gdy się obudził.

IX.

Staw, koło którego Natalja naznaczyła spotkanie Rudinowi, dawno przestał być stawem. Trzydzieści lat temu przerwała się tama i tak go potem zostawiono. Tylko z równego, płaskiego dna dołu, zaciągniętego niegdyś tłustym mulem można było domyśleć się, że tu niegdyś był staw. Tam istniał kiedyś i dwór. Znikł od dawien dawna, przypominały go dwie ogromne sosny;

wiatr szumiał i huczał ponuro w ich wysokiej, suchej zieleni... Między ludem chodziły tajemnicze wieści o strasznej zbrodni popełnionej u samego ich podnóża. Mówiono również, że każda z nich padając stanie się przyczyną czyjejś śmierci, że przedtem stała tu i trzecia sosna, która, powalona przez burzę, zabiła upadając jakąś dziewczynę. Całe to miejsce około starego stawu uchodziło za „nieczyste“; puste i gołe, głuche i ponure nawet w słoneczny dzień — wydawało się jeszcze więcej ponure i głuche wobec bliskości starego dębowego lasu, oddawna obumarłego i uschniętego. Rzadkie, szare konary olbrzymich drzew wznosiły się ponuremi zwidami nad niskim porostem krzaków. Widok ich przejmował trwogą: wydawało się, że jacyś źli starcy zebrali się i zamyślają coś niedobrego. Wąska, ledwie przetarta droga wiła się z boku. Bez koniecznej potrzeby nikt koło stawu nie przechodził. Natalja umyślnie wybrała tak opustoszałe miejsce. Od domu Darji Michałowny oddalone było o pół wiorsty.

Słońce dawno już wstało, gdy Rudin przyszedł do stawu; ale nie wesoły był ranek. Duże,

mlecznego koloru, chmury pokrywały całe niebo; wiatr gnał je szybko świszcząc i wyjąc. Rudin począł chodzić tam i z powrotem po równinie pokrytej bodjakami i poczerniałemi pokrzywami. Był niespokojny. Te spotkania, te nowe wrażenia zajmowały go, ale i denerwowały, zwłaszcza po wczorajszej kartce. Widział, że rozwiązanie jest bliskie i niepokoił się w duchu, jakkolwiek niktby tego nie przypuścił, widząc z jaką skupioną decyzją krzyżował ręce na piersiach i wodził wokoło wzrokiem. Nie bez racji powiedział kiedyś o nim Pigasow, że go, jak chińskiego bałwana, ustawicznie przeważała głowa. Ale samą głową, choćby bardzo silną, trudno człowiekowi zrozumieć nawet to, co się w nim samym dzieje... Rudin mądry, przenikliwy Rudin, nie był w stanie powiedzieć, czy kocha Natalję, czy cierpi, czy będzie cierpieć, gdy się z nią rozstanie. Pocóż więc, nie udając nawet Lowelasa — tę sprawiedliwość oddać mu należy — zawrócił głowę biedniej dziewczynie? Dlaczego oczekiwał jej z utajonem drżeniem? Na to jedyna odpowiedź: nikt nie egzaltuje się tak łatwo, jak ludzie bez temperamentu.

Spacerował po równinie, a Natalja śpieszyła ku niemu wprost przez pole, po mokrej trawie.

— Panienko! panienka nogi zamoczy, mówiła do niej pokojówka jej, Masza, ledwo nadążając za nią. Natalja nie słuchała jej i biegła nie oglądając się.

— Ach, żeby nas nie podpatrzono! mówiła Masza. — Już i to dziwne, żeśmy wymknęły się z domu. Żeby się mamsel nie zbudziła... Na szczęście, niedaleko... a pan już czeka, dodała ujrawszy nagle postawną figurę Rudina, malowniczo stojącego na równinie: — tylko niepotrzebnie tak na widoku stoi — zszedłby lepiej w wąwóz.

Natalja zatrzymała się.

— Poczekaj tu, Masza, u sosen, wyrzekła i poszła w kierunku stawu.

Rudin podszedł do niej i zatrzymał się zdumiony. Takiego wyrazu nie zauważył jeszcze na jej twarzy. Brwi jej były zsunięte, usta zaciśnięte, oczy patrzyły prosto i surowo.

— Dymitrze Mikołajewiczu, zaczęła: — nie możemy tracić czasu. Przyszłam na pięć minut. Muszę panu powiedzieć, że mama wie o wszyst-

kiem. Pan Pandalewski podpatrzył nas przedwczoraj i doniósł jej o naszym spotkaniu. Zawsze był szpiegiem mamy. Mama wezwała mnie wczoraj do siebie.

— Boże mój! wykrzyknął Rudin: — to straszne... Cóż powiedziała mama pani?

— Nie gniewała się na mnie, nie wymyślała mi, tylko wyrzucała mi moją lekkomyślność.

— Tylko?

— Tak, i oznajmiła mi, że prędeej zgodziłaby się widzieć mnie w trumnie, aniżeli żoną pana.

— Czyż doprawdy tak powiedziała?

— Tak i dodała jeszcze, że pan sam wcale nie pragnie ożenić się ze mną, że pan tak tylko z nudów przyczepił się do mnie i że nie oczekiwała tego od pana; że zresztą sama temu winna, poco pozwalała mi tak często widywać się z panem... że pokładała nadzieję w moim rozsądku, żem ją bardzo zdziwiła... zresztą nie pamiętam wszystkiego tego, co do mnie mówiła.

Natalja wypowiedziała to wszystko jakimś równym, prawie bezdźwięcznym głosem.

— A pani, Nataljo Aleksówna, co pani jej odpowiedziała, zapytał Rudin.

— Co jej odpowiedziałam? powtórzyła Natalia... Co p a n teraz ma zamiar zrobić?

— Boże mój! Boże mój! odrzekł Rudin: — to okrutne! Tak prędko! taki nieoczekiwany cios!... I mama pani tak bardzo była niezadowolona?

— Tak... tak, nie chce o panu słyszeć.

— To straszne! To znaczy, niema żadnej nadziei?

— Żadnej.

— Za co jesteśmy tak nieszczęśliwi! Obrzydliwy ten Pandalewski!... Pyta mnie pani, co zamierzam zrobić? W głowie mi się kręci, nie mogę myśli zebrać... czuję tylko swoje nieszczęście... dziwię się, jak pani może zachować zimną krew.

— Myśli pan, że łatwo to mi przychodzi? rzekła Natalia. Rudin począł znów przechadzać się. Natalia nie spuszczała z niego oczu.

— Mama nie rozpytywała pani? przemówił w końcu.

— Zapytała mnie, czy pana kocham.

— No... a pani?

Natalja milczała przez chwilę: — Ja nie skłamałam. Rudin ujął jej rękę.

— Zawsze we wszystkim szlachetna i wielkoduszna! O serce dziewczyny — to najczystsze złoto! Ale czyż rzeczywiście mama pani tak stanowczo wypowiedziała się przeciw naszemu małżeństwu?

Tak, stanowczo. Już panu mówiłam: jest przekonana, że pan sam nie myśli żenić się ze mną.

— To znaczy, uważa mnie za oszusta! Czemże zasłużyłem na to?

I Rudin schwycił się za głowę.

— Dymitrze Mikołajewiczu! przemówiła Natalja: — tracimy nadarmo czas. Proszę pamiętać, ostatni raz widzę się z panem. Nie przyszedł tu płakać i skarżyć się — widzi pan, nie płaczę — przyszedł po radę.

— Jaką że radę mogę dać pani, Nataljo Aleksówna?

— Jaką radę? Pan jest mężczyzną: przywykłam panu wierzyć i będę wierzyć do końca. Proszę mi powiedzieć, jakie ma pan zamiary?

— Moje zamiary? Mama pani prawdopodobnie wymówi mi dom.

— Możliwe. Już wczoraj oznajmiła mi, że bę-

dzie zmuszona zerwać znajomość z panem... Ale pan mi nie odpowiada na pytanie.

— Na które pytanie?

— Jak pan myśli, co nam teraz należy czynić?

— Co nam czynić? odrzekł Rudin: — rozumie się poddać się.

— Poddać się, zwolna powtórzyła Natalja i wargi jej pobladły.

— Poddać się losowi, ciągnął Rudin. — Cóż robić? Wiem aż nadto dobrze, jaka to gorycz ciężka, nie do zniesienia; ale niech pani osądzi sama Nataljo Aleksówna, jestem biedny... mogę pracować, to prawda; ale jeślibym nawet był człowiekiem bogatym, czy byłaby pani w stanie zerwać przemocą związki rodzinne, znieść gniew matki? Nie, Nataljo Aleksówna; niema co o tem myśleć. Widocznie nie sądzonem było nam żyć razem i szczęście o którym marzyłem, nie dla mnie!

Natalja nagle zakryła twarz rękami i rozpłakała się.

Rudin zbliżył się do niej.

— Nataljo Aleksówna, droga Nataljo! powiedział gorąco: — nie płacz, na miłość Boga, nie targaj mną, pociesz się...

Natalja uniosła głowę.

— Każe mi się pan pocieszyć, zaczęła i oczy jej błyszczały poprzez łzy: — nie z tego powodu płaczę, co pan myśli... Nie to mnie boli: boli mnie, że się na panu zawiodłam... Jakże! przychodzę do pana po radę i w jakiej chwili! — i pierwsze słowa pana: poddać się! Oto jak pan wprowadza w czyn pańskie słowa o swobodzie, o ofiarach, które...

Głos jej urwał się.

— Ależ, Nataljo Aleksówno, zaczął zmieszany Rudin: proszę zważyć... nie zapieram się swych słów... tylko...

— Zapytywał mnie pan, ciągnęła dalej z nową siłą: — co odpowiedziałam matce, gdy mi oznajmiła, że prędzej zgodzi się na moją śmierć, niż na małżeństwo moje z panem: odpowiedziałam, że prędzej umrę, niż wyjdę za kogoś innego za mąż... A pan mówi: poddać się! To znaczy, ona miała rację: pan rzeczywiście z braku czegoś lepszego, z nudów zażartował ze mnie.

— Przysięgam pani, Nataljo Aleksówno... zapewniam panią... mówił Rudin.

Ale nie słuchała go.

— Czemuż mnie pan nie wstrzymał? Dlaczego sam pan... Czy może nie oczekiwał pan przeskód? Wstyd mi o tem mówić... ale przecież już wszystko skończone.

— Musi się pani uspokoić, Nataljo Aleksówna, zaczął Rudin: — trzeba nam obojgu pomyśleć o tem, jakie środki...

— Tak pan często mówił o poświęceniu, przerwała mu: — ale, wie pan, jeśli by mi pan powiedział, w tej minucie „kocham cię, ale ożenić się nie mogę, nie odpowiadam za przyszłość, daj mi rękę i pójdź za mną“, — wie pan, że byłabym poszła za panem, wie pan, że byłam zdecydowana na wszystko? Ale, widocznie, od słowa do czynu jeszcze daleko i w tej chwili stchórzył pan tak samo, jak przedwczoraj stchórzył pan przed Wołyncewem.

Pas oblał twarz Rudina. Nieoczekiwane uniesienie Natalji zdumiało go; ale ostatecznie jej słowa zadrasnęły jego ambicję.

— Zbyt jest pani teraz rozdrażniona, Nataljo Aleksówna, zaczął: nie jest pani w stanie zrozumieć jak okrutnie obraża mnie pani. Mam nadzieję, że z czasem odda mi pani sprawiedliwość; poj-

mie pani, ile mnie kosztowało wyrzec się szczęścia, które, jak pani sama mówi, nie nakładało na mnie żadnych obowiązków. Spokój pani droższy mi jest ponad wszystko w świecie i byłbym najniższym z ludzi, jeślibym się odważył korzystać...

— Może, może przerwała Natalja: — może pan ma rację, nie wiem sama, co mówię. Ale do tego czasu wierzyłam panu, każdemu pana słowu wierzyłam... Na przyszłość, proszę niech pan waży swe słowa, niech ich pan nie puszcza na wiatr. Kiedym panu powiedziała, że pana kocham, wiedziałam co znaczy to słowo: na wszystko byłam gotowa... Teraz pozostaje mi podziękować panu za nauczkę — i pożegnać.

— Niech się pani zatrzyma, na miłość Boską, Nataljo Aleksówna, błagam panią. Nie zasługuję na wzgardę pani, przysięgam. Niechże pani wejdzie w moje położenie! Biorę odpowiedzialność za nas oboje. Jeślibym nie kochał pani najwierniejszą miłością — to, Boże mój! zarazbym sam zaproponował pani ucieczkę ze mną... prędzej czy później mama przebaczy nam... i wtedy... Ale zanim pomyślałem o własnem szczęściu...

Zatrzymał się. Wzrok Natalji utkwiony wprost w niego mieszał go.

— Stara mi się pan dowieść, że pan jest uczciwym człowiekiem, Dymitrze Mikołajewiczu, przemówiła: — nie wątpię o tem. Nie jest pan w stanie działać z wyrachowania; ale czyżem się w tem pragnęła upewnić? czyż dlatego przyszedłem tutaj...

— Nie oczekiwałem, Nataljo Aleksówna...

— A! oto się pan w końcu wygadał! Tak, nie oczekiwał pan tego wszystkiego, nie znał mnie pan. Niech się pan uspokoi... nie kocha mnie pan, a ja się nikomu nie narzucam.

— Ja panią kocham! wykrzyknął Rudin.

Natalja wyprostowała się.

— Może być; ale jakże mnie pan kocha? Pamiętam wszystkie słowa pana, Dymitrze Mikołajewiczu. Pamięta pan, mówił mi pan: bez zupełnej równości niema miłości... Pan dla mnie zbyt wysoki, nie dorosłam do pana... słusznie jestem ukarana, przed panem wielkie zadania, godniejsze pana. Nie zapomnę dzisiejszego dnia... Żegnaj pana...

— Nataljo Aleksówna, pani odchodzi? Czyż tak mamy się rozstać?

Wyciągnął do niej rękę. Zatrzymała się. Jego błagalny głos zdawał się zachwiać ją w jej postanowieniu.

— Nie, przemówiła w końcu: — czuję, że się coś we mnie załamało... Przyszłam tu i rozmawiałam z panem jak w gorączce; trzeba się opamiętać. To być nie może, sam pan powiedział, że nie może być. Boże mój, gdym szła tutaj, żegnałam się w myśli z moim domem, z całą moją przeszłością — i cóż? kogóż spotkałam tutaj? małodusznego człowieka... I skąd pan wiedział, że nie będę w stanie znieść rozłąki z rodziną? „Mama pani nie zgadza się... to straszne!“ Oto wszystko com usłyszała od pana. Czyż to pan, czyż to pan, Rudin? Nie! Żegnam pana... Ach! jeśliby pan mnie kochał, poczułabym to w tej minucie... Nie, nie, żegnaj!... Odwróciła się szybko i pobiegła do Maszy, która już od dawna poczęła się niepokoić i dawać jej znaki.

— Pani stchórzyła a nie ja! krzyknął jej w ślad Rudin.

Nie zwracała już na niego uwagi i spieszyła polem od domu. Pomyślnie wróciła do swego po-

koju; ale gdy tylko przestąpiła próg, siły ją zawiodły i upadła bez zmysłów na ręce Maszy.

A Rudin długo jeszcze stał na równinie. Nakońiec wstrząsnął się, powolnemi krokami doszedł do ścieżki i wolno szedł po niej. Bardzo był zawstydzony... i zmartwiony. „Co za dziewczyna!“ myślał. Ma osiemnaście lat! Nie, nie znałem jej... To niezwykła dziewczyna. Co za siła woli!... Ma rację, ona jest godna nie takiej miłości, jaką ja dla niej czułem... Czułem?“ spytał sam siebie. „Czyżbym już nie czuł miłości? Oto jak się to wszystko musiało skończyć! Jakże byłem mały i politowania godny wobec niej!“.

Lekki stuk linijki zmusił Rudina do podniesienia oczu. Naprzeciw niego, zawsze tym samym rysakiem, jechał Leźniew. Rudin milcząc zamienił z nim ukłon i jakgdyby uderzony nagłą myślą, skręcił z drogi i poszedł szybko w kierunku domu Darji Michałowny. Leźniew pozwolił mu odejść, popatrzył za nim i po krótkim namyśle też zawrócił z powrotem swego konia — i pojechał do Wołyncewa, u którego spędził noc. Zastał go śpiącego, nie chciał budzić i w oczekiwaniu na herbatę, usiadł na ganku i zapalił fajkę.

X.

Wołyncew wstał o dziesiątej godzinie i dowiedziawszy się, że Leźniew siedzi na ganku, zdziwił się bardzo i kazał go prosić do siebie.

— Co się stało, spytał go. Chciałeś przecież jechać do domu.

— Tak, chciałem i spotkałem Rudina. Kroczył sam po polu i miał twarz tak zmienioną. Wziąłem i wróciłem się.

— Wróciłeś dlatego, że spotkałeś Rudina?

— Prawdę mówiąc, sam nie wiem, czemu wróciłem; prawdopodobnie dlatego, że wspominałem cię; chciało mi się posiedzieć z tobą, a do siebie jeszcze zdążę.

Wołyncew dumnie się uśmiechnął.

— Tak, o Rudinie nie można teraz pomyśleć, nie pomyślawszy też i o mnie... chłopcze! krzyknął głośno na służącego — daj nam herbaty!

Przyjaciele zaczęli pić herbatę. Leźniew rozmawiał o gospodarstwie, o nowym sposobie pokrywania śpichlerzy papą...

Nagle Wołyncew zerwał się z krzesła i z taką siłą uderzył w stół, że filiżanki i spodeczki zadzwoniły.

— Nie! wykrzyknął: nie jestem w stanie dłużej tego znosić! Wyzwę tego mądralę i niech mnie zastrzeli, albo się już postaram wpakować kulę w jego uczone czoło!

— A to co, a to co, zmiłuj się wyjąkał Leźniew: — Jakże można tak krzyczeć! Cybuch upuściłem... Co ci jest?

— A to, że ja nie mogę obojętnie słuchać jego nazwiska: cała krew się we mnie burzy.

— Dosyć, bracie, dosyć! Jak ci nie wstyd! odrzekł Leźniew, podnosząc z ziemi swą fajkę. Daj spokój! — Niech go tam!...

— On mnie obraził, mówił dalej Wołyncew, chodząc po pokoju... tak! obraził mnie. Sam musisz się ze mną zgodzić. W pierwszej chwili nie połapałem się, zaskoczył mnie; i któż się mógł tego spodziewać? Ale ja mu pokażę, że ze mną nie ma żartów... Ja go, przekłętego filozofa, zastrzelę jak kuropatwę.

— Dużo na tem skorzystasz, rzeczywiście! Nie mówię już o twojej siostrze. Jesteś igraszką

namiętności, gdzie ci o siostrze myśleć! Ale w stosunku do drugiej osoby, jak ty myślisz, zabijając filozofa poprawisz swą sprawę?

Wołyncew upadł na fotel.

— Więc wyjadę gdzieś! Tutaj tęsknota serce mi wprost wyjarła; miejsca sobie znaleźć nie mogę.

— Wyjedziesz... to inna sprawa! Ot z tem się zgadzam i wiesz, co ci proponuję? Jedźmy razem na Kaukaz, albo poprostu do Małorosji, będziemy kluski jeść, oto pyszna rzecz.

— Tak; a siostrę z kim zostawimy?

A czemużby Aleksandra Pawłowna nie miała jechać z nami? Dalibóg, będzie doskonale. Opiekę nad nią już ja biorę na siebie! Żadnego braku nie poczuje. Jeśli zechce, każdego wieczoru urządzę jej pod oknem serenadę; drogi uścielę kwiatami, woźniców obleję wodą kolońską. A już my obaj odrodzimy się całkowicie; tak się będziemy raczyć, takimi brzuchaczami się staniemy, że żadna miłość nas się już nie chwyci.

— Ty ciągle żartujesz, Misza!

— Wcale nie żartuję. Cudowna myśl przysłała ci do głowy.

— Nie! głupstwo, wykrzyknął znów Wołyncew: — ja bić się, bić się z nim chcę!...

— Znowu! Cóż ty, bracie, dzisiaj za choleryk jesteś!...

Wszedł służący z listem w ręce.

— Od kogo? spytał Leźniew.

— Od Rudina, Dymitra Mikołajewicza. Służący od Łasuńskich przyniósł.

— Od Rudina? powtórzył Wołyncew: — do kogo?

— Do pana.

— Do mnie... daj.

Wołyncew chwycił list, rozpieczętował szybko i zaczął czytać. Leźniew przyglądał mu się uważnie: dziwne, prawie radosne zdumienie malowało się na twarzy Wołyncewa; opuścił ręce.

— Co takiego? spytał Leźniew.

— Przeczytaj, wyrzekł półgłosem Wołyncew i podał mu list.

Leźniew zaczął czytać. Oto co pisał Rudin: „Wielce szanowny panie Sergjuszu Pawłowiczu!”

„Wyjeżdżam dziś z domu Darji Michałowny, wyjeżdżam na zawsze. Prawdopodobnie ździwi to pana, zwłaszcza po tem, co zaszło wczoraj. Nie

mogę wyjaśnić panu, co mianowicie zmusza mnie do tego postępuku, ale wydaje mi się, że powinienem zawiadomić pana o moim wyjeździe. Pan mnie nie lubi, uważa mnie pan nawet za lichego człowieka. Nie mam zamiaru usprawiedliwiać się: usprawiedliwi mnie czas. Według mnie nie przystoi to mężczyźnie i bezużytecznem jest dowodzić człowiekowi uprzedzonemu niesłuszności jego uprzedzeń. Kto zechce mnie zrozumieć, ten przebaczy mi, a kto mnie zrozumieć nie chce, czy nie może — tego zarzuty mnie nie dotyczą. Omyliłem się co do pana. Pozostaje pan w moich oczach po dawnemu człowiekiem szlachetnym i uczciwym; ale przypuszczałem, że pan potrafi być wyższym ponad otoczenie, w którem pan wyrósł... Omyliłem się. Cóż robić?! Nie pierwszy to i nie ostatni raz. Powtarzam panu: ja wyjeżdżam. Życzę panu szczęścia. Zgodzi się pan, że to zupełnie bezinteresowne życzenie i mam nadzieję, że będzie pan teraz szczęśliwy. Może z czasem zmieni pan o mnie zdanie. Czy się kiedykolwiek zobaczymy, nie wiem, ale na wszelki wypadek pozostaję ze szczerym dla pana szacunkiem

D. R.

P. S. „Dwieście rubli, które jestem panu winien, odeślę zaraz po przyjeździe do swego majątku w T-skiej guberni. Proszę też nie wspominać o tym liście Darji Michałowni!“.

P. P. S. „Jeszcze jedna ostatnia, ale ważna prośba: ponieważ już wyjeżdżam, to mam nadzieję, że nie będzie pan wspominał Natalji Aleksównie o mojej wizycie u pana“...

— No, cóż ty powiesz? spytał Wołyncew, gdy Leźniew skończył czytać.

— Cóż tu powiedzieć! odrzekł Leźniew, — wykrzyknął wschodnim zwyczajem: „Ałlach, Ałlach!“ i na znak zdumienia włożył palec do ust — oto wszystko, co można zrobić. Wyjeżdża... No! szczęśliwej drogi, Ale ot, co jest ciekawe: przecież i ten list poczytywał sobie za obowiązek napisać i zjawił się u ciebie z poczucia obowiązku... U tych panów na każdym kroku obowiązek i obowiązek — i dług, dodał z uśmiechem Leźniew.

— A jakie frazesy puszcza! wykrzyknął Wołyncew wskazując na post scriptum.

— On się co do mnie omylił: oczekiwał, że będę wyższym ponad otoczenie... Co za brednia, Boże! To gorsze od wierszy!

Leźniew nic nie odpowiedział, oczy mu się tylko zaśmiały. Wołyncew wstał.

— Pojadę do Darji Michałowny, powiedział: chcę wiedzieć, co to wszystko znaczy.

— Poczekaj, bracie: pozwól mu odjechać. POCO ci się znowu na niego natykać? Przecież on znika — cóż chcesz jeszcze? Połóż się lepiej i zaśnij, całą noc przecież przewracałeś się z boku na bok. A teraz sprawa twoja poprawia się.

— Z czego to wnosisz?

— Tak mi się zdaje. Doprawdy, pośpij, a ja pójdę do twojej siostry — posiedzę z nią.

Ja wcale nie będę spać. Z jakiej racji miałbym spać? Lepiej pojadę obejrzeć pola, powiedział Wołyncew, obciągając poły paltota.

— I to dobrze. Jedź, bracie, jedź, obejrzyj pola...

I Leźniew przeszedł na drugą połowę domu, do Aleksandry Pawłowny. Zastał ją w bawialni. Przywitała go mile. Cieszyła się zawsze z jego przybycia; ale twarz jej pozostała smutna. Niepokoiła ją wczorajsza wizyta Rudina.

Pan wraca od brata? spytała Leźniewa: — jak on się dziś czuje?

— Nieźle, pojechał oglądać pola.

Aleksandra Pawłowna pomilczała chwilę.

— Proszę, niech pan powie, zaczęła, przyglądając się uważnie rąbkowi swej chusteczki: — czy pan nie wie poco...

— Przyjeżdżał Rudin? podchwycił Leźniew. Wiem: przyjeżdżał pożegnać się.

Aleksandra Pawłowna podniosła głowę.

— Co? pożegnać się?

— Tak. Czyż pani nie słyszała? Wyjeżdża od Darji Michałowny.

— Wyjeżdża?

— Na zawsze; tak przynajmniej mówi.

— Ale jakże to zrozumieć, po tem wszystkim...

— A to inna sprawa! Zrozumieć tego nie można, ale to tak jest. Coś tam widocznie musiało zajść. — Przeciągnął strunę — i pękła.

— Michale Michałowiczu! zaczęła Aleksandra Pawłowna: nic nie rozumiem; pan, zdaje mi się, śmieje się ze mnie...

— Ale Dalibóg nie... Mówię pani, że on wyjeżdża i nawet listownie zawiadamia o tem swych znajomych. To, jeśli pani chce, z pewnego punk-

tu widzenia, bardzo dobrze; ale odjazd jego przeszkodził w wykonaniu pewnego cudownego projektu, o którym zaczęliśmy właśnie mówić z bratem pani.

— Cóż to takiego? jaki projekt?

— A ot taki: proponowałem bratu pani, abyśmy odbyli razem podróż dla przyjemności i zabrali panią ze sobą.

— Opiekować się panią specjalnie miałem ja.

— Ot, prześlicznie! wykrzyknęła Aleksandra Pawłowna.

— Wyobrażam sobie, jakby się pan mną opiekował. A przecieżby mnie pan zamorzył głodem.

— Dlatego tak pani mówi, Aleksandro Pawłowno, że mnie pani nie zna. Myśli pani, że jestem pień, nieczuły pień, wieśniak jakiś; a czy pani wie, że ja zdolny jestem topić się jak cukier, dniami całymi klęczeć przed kimś?

— To, chciałabym to widzieć!

Leżniew wstał nagle. — Niech pani wyjdzie za mnie za mąż. Aleksandro Pawłowno i wszystko to pani zobaczy.

Aleksandra Pawłowna zaczerwieniła się po uszy.

— Co pan takiego powiedział, Michale Michałowiczu? powtórzyła zmieszana.

— A powiedziałem to, odrzekł Leżniew: — co już od dawien dawna i tysiąc razy miałem na końcu języka. Wygadałem się wkońcu i może pani postąpić, jak się pani podoba. A żeby pani nie krępować wyjdę teraz. Jeśli pani nie zechce być moją żoną... odejdę. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, to niech pani każe mnie zawołać; ja już zrozumiałem...

Aleksandra Pawłowna chciała zatrzymać Leżniewa, ale wyszedł szybko, poszedł bez czapki do ogrodu, oparł się o furtkę i zapatrzył się gdzieś.

— Michale Michałowiczu! usłyszał za sobą głos pokojówki: — niech pan pozwoli do pani. Pani kazała wezwać pana.

Michał Michałowicz obejrzał się, wziął służącą, ku wielkiemu jej zdumieniu, obiema rękami za głowę, pocałował ją w czoło i poszedł do Aleksandry Pawłowny.

XI.

Wróciwszy do domu, zaraz po spotkaniu z Leźniewem, Rudin zamknął się w swym pokoju i napisał dwa listy: jeden do Wołyncewa (znany już czytelnikowi) i drugi — do Natalji. Nad tym drugim listem długo ślęczał, przekreślał i przerabiał i, przepisawszy go starannie na cienkim arkuszu listowego papieru, złożył go w najmniej-szy jaki się dało format i włożył do kieszeni. Ze smutkiem na twarzy przeszedł się parę razy po pokoju, usiadł na krześle pod oknem, podparł się ręką; cicha łza spłynęła mu z oczów... Wstał, zaplął się na wszystkie guziki, zawołał służącego i kazał spytać się Darji Michałowny, czy może ją widzieć.

Służący powrócił zaraz i oznajmił, że Darja Michałowna kazała go prosić. Rudin poszedł do niej.

Przyjęła go w gabinecie, jak za pierwszym razem, dwa miesiące temu. Ale teraz nie była sama: był Pandalewski, skromny, świeży, czysty i przy-milny jak zawsze. Darja Michałowna przyjęła uprzejmie Rudina i Rudin uprzejmie się jej ukło-

nił, ale po pierwszym wejrzeniu na uśmiechnięte twarze obojga, każdy choć trochę doświadczony człowiek zrozumiałby, że między nimi zaszło coś niedobrego. Rudin wiedział, że się Darja Michałówna na niego gniewa. Darja Michałówna podejrzewała, że Rudin już wie o tem.

Donos Pandalewskiego bardzo ją zdenerwował. Poruszyła się w niej światowa próżność. Rudin, biedny, bez stanowiska i jak dotąd nieznany człowiek, śmiał naznaczyć schadzkę jej córce — córce Darji Michałowny Łasuńskiej!

— Przypuśćmy, że jest mądry, że jest genjuszem! mówiła: — ale czegoż to dowodzi? Wobec tego każdy może mieć nadzieję zostać mym zięciem?

— Długo oczom swym nie wierzyłem, podchwycił Pandalewski. — Jak można się tak nie na miejscu znaleźć, podziwiam!

Darja Michałówna bardzo się zirytowała i dostało się od niej Natalji!

Poprosiła Rudina, aby usiadł. Usiadł, ale już nie jak dawny Rudin, prawie jak pan domu, nawet nie jak dobry znajomy, a jak gość i jak ceremonjalny gość.

Wszystko odbyło się w mgnieniu oka... Tak woda zamienia się szybko w twardy lód.

— Przyszedłem do pani, Darjo Michałowno, zaczął Rudin: — podziękować pani za jej gościnność. Otrzymałem dziś wiadomość z mojej wioski i muszę koniecznie, dziś zaraz tam jechać.

Darja Michałowna uważnie popatrzyła na Rudina. „Uprowadził mnie; widocznie domyśla się“ pomyślała. „Wybawia mnie od przykrych wyjaśnień; tem lepiej. Niech żyją mądrzy ludzie!“.

— Czyżby? przemówiła głośno. — Ach, jakie to nieprzyjemne! No, cóż robić! Mam nadzieję ujrzeć pana tej zimy w Moskwie. My też niedługo stąd wyjeżdżamy.

— Nie wiem, Darjo Michałowno, czy mi się uda być w Moskwie; ale jeśli znajdę po temu środki, będę sobie poczytywać za obowiązek stać się przed panią.

— „Aha, bracie!“ pomyślał sobie z kolei Pandalewski: „dawniej rozporządzałeś się tutaj, jak pan, a oto jak się teraz musisz wyrażać!“

— A zatem odebrał pan ze swego majątku niepomyślne wiadomości, wyrzekł ze zwykłym naciskiem...

— Tak, — odrzekł sucho Rudin.

— Czy może nieurodzaj?

— Nie... coś innego... proszę mi wierzyć, Darja Michałowno, dodał: — nie zapomnę nigdy czasu spędzonego w domu pani.

— Ja również, Dymitrze Mikołajewiczu, będę zawsze z przyjemnością wspominać naszą znajomość... Kiedy pan jedzie?

— Dziś, po obiedzie.

— Tak prędko!... No, życzę panu szczęśliwej drogi. Zresztą, jeśli pańskie sprawy nie zatrzymają pana zbyt długo, może pan nas tu jeszcze zastanie.

— Wątpliwe, czy zdążę, — odrzekł Rudin i wstał. — Proszę mi wybaczyć, dodał: — że nie mogę zaraz zwrócić pani mego długu; ale skoro tylko wrócę do siebie...

— Niechże pan da spokój, Dymitrze Mikołajewiczu! przerwała mu Darja Michałowna: — jak panu nie wstyd!... Ale która to godzina? zapytała.

Pandalewski wyjął z kieszeni kamizelki złoty zegareczek z emalją i spojrzał nań, opierając

ostrożnie różowy policzek na białym, sztywnym kołnierzyku.

— Druga i trzydzieści trzy minuty, powiedział.

— Czas już ubierać się, zauważyła Darja Michałowna. — Do widzenia, Dymitrze Mikołajewiczu!

Rudin wstał. Cała ta rozmowa między nim a Darją Michałowną miała specjalne zabarwienie. Tak aktorzy przepowiadają swe role, tak dyplomaci na konferencjach zamieniają zawczasu umówione zdania...

Rudin wyszedł. Wiedział teraz z doświadczenia, jak to ludzie światowi, nawet nie porzucają, a wprost gubią po drodze człowieka, który stał się im niepotrzebny: jak rękawiczkę, po balu, jak paperek od czekoladki, jak niewygrany bilet z tomboli.

Zapakował się szybko i oczekiwał z niecierpliwością chwili odjazdu. Wszyscy w domu zdziwieni byli bardzo jego zamiarem. Służba nawet patrzyła na niego z niedowierzaniem. Basistow nie ukrywał swego zmartwienia. Natalia jawnie unikała Rudina. Starła się nie spotykać

z nim wzrokiem: zdołał jednak wsunąć jej niepostrzeżenie w rękę swój list. Przy obiedzie Darja Michałowna raz jeszcze powtórzyła, że ma nadzieję ujrzeć go w Moskwie, ale Rudin nie odrzekł nic. Pandalewski częściej niż wszyscy inni zaczął z nim rozmowę. Rudina brała chętnie rzucić się na niego i zbić jego rumiane, kwitnące oblicze. M-elle Boncourt spoglądała często na Rudina z przebiegłym i dziwnym wyrazem oczu: taki wyraz można czasem zauważyć u starych, bardzo mądrych, myśliwskich psów... „Ehe!“ zdawała mówić sobie: — „na jaki ci koniec przyszło!“

Wybiła na koniec szósta godzina i tarantas Rudina zajechał. Począł się pośpiesznie żegnać ze wszystkimi. Nieprzyjemne uczucie uciskało mu duszę. Nie spodziewał się, że w ten sposób wyjeżdżać będzie z tego domu: jakgdyby go wypędzano...“ Jaki to wszystko obrót wzięło! i do czego się było spieszyć? A zresztą, zawsze ten sam koniec“ — oto co sobie myślał kłaniając się na wszystkie strony i uśmiechając się z przymusem. Spojrzał ostatni raz na Natalję i serce mu drgnęło: oczy jej były utkwione w niego z pożegnaniem.

nym smutnym wyrzutem. Zbiegł szybko ze schodów, wskoczył do tarantasu.

Basistow ofiarował się odprowadzić go do najbliższej stacji i wsiadł z nim razem.

— Czy pamięta pan, zaczął Rudin, skoro tylko tarantas wyjechał na szeroką, wysadzoną świerkami drogę: — czy pamięta pan, co mówi don Kichot swemu słudze, gdy wyjeżdża z dworu księżniczki? „Swoboda — mówi on — druhu mój Sanczo, jest jedną z największych wartości dla człowieka i szczęśliwy ten, komu niebo darowało kęs chleba, za który nie trzeba być wdzięcznym komuś drugiemu!“ Co don Kichot czuł wówczas — ja teraz uczuwam... Daj Boże i panu, mój dobry Basistowie, zaznać kiedyś tego uczucia!

Basistow uścisnął rękę Rudina i serce pocziwego młodzieńca zabiło silnie w jego wzruszonej piersi. Do samej stacji Rudin mówił o wartości człowieka, o znaczeniu prawdziwej swobody — mówił z zapalem, szlachetnie i prawdziwie i gdy nastąpiła chwila rozstania, Basistow nie wytrzymał, rzucił mu się na szyję i zaszlochał. I z oczu Rudina polały się łzy; ale nie z tego płakał, że

rozstawał się z Basistowem, a łzy jego były łzami egoizmu.

Natalja odeszła do swego pokoju i przeczytała list Rudina.

„Nataljo Aleksówno — pisał — zdecydowałem się wyjechać. Nie mam innego wyjścia. Postanowiłem wyjechać zanim mi jasno powiedzą, abym się oddalił. Odjazd mój przerywa wszelkie nieporozumienia; a czyż ktokolwiek będzie mnie żałować! Na cóż czekać?... Wszystko to tak jest, ale pocóż piszę do pani?

Rozstać się z panią prawdopodobnie na zawsze i zostawić po sobie pamięć gorszą, niż ta, na którą zasługuję, byłoby mi zbyt gorzko. Oto dlaczego piszę do pani. Nie chcę się ani usprawiedliwiać, ani winić kogokolwiek, oprócz samego siebie: chcę się, o ile to jest możliwem, wytłomaczyć. Wypadki ostatnich dni były tak nieoczekiwane, tak nagle...

Dzisiejsze spotkanie nasze będzie mi pamiętną nauką. Tak, ma pani rację: nie znałem pani, a myślałem, że znam! W ciągu mego życia miałem do czynienia z ludźmi wszelkiego rodzaju, zbliżałem się do wielu kobiet i dziewczyn; ale

spotykając panią pierwszy raz zetknąłem się z duszą *zupełnie* uczciwą i prawą. Nie przywykłem był do tego i nie potrafiłem ocenić pani. Poczujęm do pani pociąg od pierwszego dnia naszej znajomości — mogła to pani zauważyć. Spędzałem z panią godziny za godzinami, a nie poznałem pani; nawet naprawdę nie starałem się panią poznać... jakże mogłem sobie wyobrazić, że panią kocham! Za ten grzech jestem teraz ukarany.

Kochałem kiedyś pewną kobietę i byłem przez nią kochany... Uczucie moje względem niej było złożone, jak i jej względem mnie; ale ponieważ ona sama prosta nie była, wszystko było w porządku. Prawda nie ukazała mi się wówczas: nie poznałem jej teraz, kiedy stanęła przede mną... Poznałem ją w końcu, ale już za późno.. Co minęło — nie powróci. Życia nasze mogły się były stopić w jedno — nie stopią się nigdy. Jakże pani dowieść, że mogłem być pokochać panią prawdziwą miłością — miłością serca, a nie wyobraźni — kiedy ja sam nie wiem, czym do takiej miłości zdolny!

Natura obdarzyła mnie szczodrą — wiem o tem i nie będę, z fałszywego wstydu, udawać

przed panią skromności, osobliwie teraz, w takiej gorzkiej, w takiej wstydu dla mnie pełnej chwili... Tak, natura dała mi dużo; ale umrę nie zdziaławszy nic godnego sił moich, nie pozostawiwszy po sobie żadnego dobrego śladu. Całe moje bogactwo przepada na próżno: nie ujrzę owoców swego posiewu. Brak mi... nie mógłbym sam powiedzieć, czego mi mianowicie nie dostaje... Nie dostaje mi prawdopodobnie tego, bez czego nie można poruszyć ludzkim sercem, ani zawładnąć sercem kobiety; a panowanie nad samymi umysłami tylko nietrwałe jest i bezużyteczne. Dziwny, prawie komiczny jest mój los: oddaję się cały, chciwie, żarliwie — i oddać się nie mogę. Skończę tem, że poświęcę się dla jakiegoś głupstwa, w które nawet wierzyć nie będę... Boże mój! w trzydziestym piątym roku wciąż zbierać się do działania czegoś...

Przed nikim jeszcze nie wypowiedziałem się tak — to moja spowiedź.

Ale dosyć o mnie. Chcę mówić o pani, dać pani trochę rad; nie zdam się na nic więcej... pani jeszcze młoda, ale gdyby pani najdłużej żyła, niech się pani zawsze powoduje porywem wła-

kiem. Pan Pandalewski podpatrzył nas przedwczoraj i doniósł jej o naszym spotkaniu. Zawsze był szpiegiem mamy. Mama wezwała mnie wczoraj do siebie.

— Boże mój! wykrzyknął Rudin: — to straszne... Cóż powiedziała mama pani?

— Nie gniewała się na mnie, nie wymyślała mi, tylko wyrzucała mi moją lekkomyślność.

— Tylko?

— Tak, i oznajmiła mi, że prędzej zgodziłaby się widzieć mnie w trumnie, aniżeli żoną pana.

— Czyż doprawdy tak powiedziała?

— Tak i dodała jeszcze, że pan sam wcale nie pragnie ożenić się ze mną, że pan tak tylko z nudów przyczepił się do mnie i że nie oczekiwała tego od pana; że zresztą sama temu winna, poco pozwalała mi tak często widywać się z panem... że pokładała nadzieję w moim rozsądku, że ją bardzo zdziwiła... zresztą nie pamiętam wszystkiego tego, co do mnie mówiła.

Natalja wypowiedziała to wszystko jakimś równym, prawie bezdźwięcznym głosem.

— A pani, Nataljo Aleksówna, co pani jej odpowiedziała, zapytał Rudin.

— Co jej odpowiedziałam? powtórzyła Natalia... Co p a n teraz ma zamiar zrobić?

— Boże mój! Boże mój! odrzekł Rudin: — to okrutne! Tak prędko! taki nieoczekiwany cios!... I mama pani tak bardzo była niezadowolona?

— Tak... tak, nie chce o panu słyszeć.

— To straszne! To znaczy, niema żadnej nadziei?

— Żadnej.

— Za co jesteśmy tak nieszczęśliwi! Obrzydliwy ten Pandalewski!... Pyta mnie pani, co zamierzam zrobić? W głowie mi się kręci, nie mogę myśli zebrać... czuję tylko swoje nieszczęście... dziwię się, jak pani może zachować zimną krew.

— Myśli pan, że łatwo to mi przychodzi? rzekła Natalia. Rudin począł znów przechadzać się. Natalia nie spuszczała z niego oczu.

— Mama nie rozpytywała pani? przemówił w końcu.

— Zapytała mnie, czy pana kocham.

— No... a pani?

Natalja milczała przez chwilę: — Ja nie skłamałam. Rudin ujął jej rękę.

dobrze. Z doświadczenia tego wyjdę może czystszy i silniejszy.

Życzę pani pełni szczęścia. Żegnaj! Proszę czasem wspomnieć o mnie. Mam nadzieję, że pani jeszcze o mnie usłyszy“.

Rudin.

Natalja upuściła list Rudina na kolana i długo siedziała nieruchoma, z utkwionym w ziemię wzrokiem. List ten, więcej od wszelkich innych dowodów, wskazywał, z jaką słusnością, rozstając się rano z Rudinem, wykrzyknęła, że on jej nie kocha. Przeświadczenie to nie przyniosło jej ulgi. Siedziała bez ruchu; zdawało się jej, że ciemne jakieś fale zamykają się nad jej głową bez szelestu, a ona idzie na dno niema i zastygła. Dla każdego ciężkie jest pierwsze rozczarowanie; ale dla duszy szczerej, niezdolnej do oszukiwania siebie, pozbawionej tak lekkomyślności jak przesady, jest ono prawie nie do zniesienia. Przypomniały się Natalji czasy dzieciństwa, kiedy spacerując wieczorem, starała się zawsze iść w kierunku jasnego skrawka nieba, tam, gdzie się jeszcze paliła zorza, a nie w kierunku ciemnego. W ciemności tonęło teraz przed nią życie i światło było poza nią...

Łzy ukazały się w oczach Natalji; nie zawsze jednak bywają one dobroczynne. Zbawcze i wyzwalające są wtedy, gdy długo wzbierane w piersi, popłyną наконец — na razie z wysiłkiem, a potem coraz łżej, coraz łagodniej; niemy ucisk tęsknoty rozplywa się w nich... ale bywają łzy chłodne, skąpo spływające łzy; wyciska je po kropli z serca, uciskający je ciężkiem, nie udźwignionem brzemieniem smutek. Są beznadziejne i nie przynoszą ulgi. Strata płacze takimi łzami i nie był jeszcze nieszczęśliwym ten, kto ich nie przelewał. Poznała je Natalja dnia tego.

Minęły dwie godziny. Natalja zebrała się w sobie, wstała, otarła oczy, zapaliła świecę, spaliła nad jej płomieniem list Rudina i popiół wyrzuciła za okno. Potem otworzyła na chybi-trafi Puszkina i przeczytała pierwsze, jakie jej wpadły w oko wiersze (często wróżyła sobie w ten sposób). Oto co jej wypadło:

Kto czuł, tego już w mocy trzyma,
 Rozpacz za widmem niepowrotnem,
 Tego już złuda nie przynęci,
 Tego już hydra złej pamięci,
 Wyrzutów późnych trapią żale...

Postała chwilę, popatrzyła na siebie w lustrze uśmiechając się chłodno i zrobiwszy głową mały ruch, z góry w dół, zeszła do salonu.

Darja Michałowna skoro ją tylko zobaczyła, zaprowadziła do gabinetu, posadziła koło siebie, pieszczotliwie poklepała po policzku, a jednocześnie uważnie, prawie ciekawie, zaglądała jej w oczy. Darja Michałowna odczuwała tajone przed sobą zdumienie: pierwszy raz przyszło jej do głowy, że nie zna w rzeczywistości swej córki. Usłyszawszy od Pandalewskiego o jej spotkaniu z Rudinem, nie tyle rozgniewała się, ile zdziwiła, jak mogła rozsądna Natalja odważyć się na podobny postępek. Ale kiedy wezwała ją do siebie i zaczęła gniewać się — zupełnie nie tak, jakby przystało europejskiej damie, a dosyć krzykliwie i nie wykwintnie — twarde odpowiedzi Natalji, stanowczość jej wzroku i ruchów, zmieszały, przestraszyły nawet Darję Michałownę.

Nagły, też nie zupełnie zrozumiały, odjazd Rudina, zdjął jej ciężar z serca; ale oczekiwała też, histerycznych ataków... Zewnętrzny spokój Natalji znów ją zbił z tropu.

— No, cóż dziecko, — zaczęła Darja Michałowna: — jak się dziś czujesz?

Natalja popatrzyła na matkę.

— Przecież on wyjechał... ten przedmiot twej miłości. Czy nie wiesz dlaczego tak się nagle wybrał?

— Mamusiu, — powiedziała Natalja cichym głosem: — dam ci słowo, że jeśli sama nie będziesz wszczynać o nim rozmowy, odemnie nigdy, ani słowa nie usłyszysz.

— To znaczy, zeznajesz swą winę przede mną?

Natalja spuściła głowę i powtórzyła:

— Nie usłyszysz mama ode mnie ani słowa.

— No, pamiętaj! — odrzekła z uśmiechem Darja Michałowna.

— Wierzę ci. A trzy dni temu, pamiętasz jak.. No, nie będę już. Naturalnie, skończone i pogrzebane. Nieprawdaż? Oto znów cię poznaję, a już zupełnie nie wiedziałam, co myślisz. No, pocałujże mnie, mądra dziewczyno!...

Natalja podniosła do ust rękę Darji Michałowny, a matka pocałowała ją w pochyloną głowę.

— Słuchaj zawsze moich rad, nie zapominaj, że jesteś Łasuńska i moja córka, — dodała: — a będziesz szczęśliwa. A teraz idź już.

Natalja wyszła w milczeniu. Darja Michałowna popatrzyła na nią i pomyślała: „podobna do mnie — będzie równie skłonna do zachwyty: *mais elle aura moins d'abandon*“. I Darja Michałowna pogłężyła się w spomnieniach o przeszłości... dawno minionej przeszłości.

Potem kazała zawołać m-elle Boncourt i siedziały długo zamknąwszy się we dwie. Uwolniwszy ją, wezwała Pandalewskiego. Chciała koniecznie poznać właściwy powód wyjazdu Rudina.. ale Pandelewski uspokoił ją całkowicie. To była jego specjalność.

Na drugi dzień przyjechał Wołyncew z siostrą na obiad. Darja Michałowna była dla niego bardzo uprzejma, a tym razem podwoiła swoje łaski. Natalja czuła ciężar nie do zniesienia; ale Wołyncew był tak pełen szacunku, tak nieśmiało zwracał się do niej, że nie mogła nie poczuć wdzięczności i podziękować mu w myśli.

Dzień przeszedł spokojnie, prawie nudnie, ale

wszyscy rozjeżdżając się poczuli, że weszli na dawne tory; a to dużo znaczy, bardzo dużo.

Tak wszyscy weszli na dawne tory... wszyscy, prócz Natalji. Gdy została nakoniec sama, dowlokła się z trudem do swego łóżka i zmęczona, rozbita upadła twarzą w poduszki. Życie wydało się jej tak gorzkie, obrzydliwe, omierzłe, tak było jej wstyd samej siebie, swej miłości, swego smutku, że w owej chwili prawdopodobnie zgodziłaby się umrzeć... Dużo jeszcze było przed nią ciężkich dni, nocy bezsennych, męczących niepokojów; ale była młoda — rozpoczynała życie za ledwie, a życie prędzej, czy później weźmie swój haracz. Choćby największy cios spotkał człowieka, on tego samego dnia, wielu ludzi dopiero następnego — proszę wybaczyć ordynarność wyrażenia — podje sobie i oto już pierwsza pociecha...

Natalja cierpiała ciężko, cierpiała po raz pierwszy... Ale pierwsze cierpienia, jak pierwsza miłość, nie powtarzają się — chwala Bogu!

XII.

Minęło około dwóch lat. Nadeszły pierwsze dni maja. Na ganku swego domu siedziała Aleksandra Pawłowna, ale już nie Lipina, a Leźniewa; przeszło rok temu wyszła za mąż za Michała Michałowicza. Była po dawnemu miła, utyli tylko w ostatnich czasach. Przed gankiem, którego stopnie prowadziły w ogród, spacerowała niańka z rumianem dzieckiem na ręku, w białym płaszczyku, z białym pomponem na kapeluszu. Aleksandra Pawłowna raz w raz spoglądała na niego. Dziecko nie płakało, ssało palec z powagą i spokojnie rozglądało się wokoło. Widać w nim było godnego syna Michała Michałowicza.

Obok Aleksandry Pawłowny siedział na ganku stary nasz znajomy, Pigasow. Od czasu, gdyśmy się z nim rozstali, posiwiiał znacznie, przygarbił się, schudł i mówił ze świstem: jeden przedni ząb wypadł mu; świst ten dodawał jadowitości jego przemowom. Złości nie ubyło w nim na starość, ale dowcipy stały się mniej ostre i powtarzał się częściej, niż dawniej. Michała Michałowicza nie było w domu; oczekiwano go na

herbatę. Słońce już zaszło. Tam, gdzie się ono schowało, smuga blado-żółtego, cytrynowego koloru ciągnęła się wzdłuż horyzontu; na przeciwległej stronie były dwie: jedna jasno-lila wyżej i druga niebieska powyżej. Lekkie chmurki rozpływały się w górze. Wszystko obiecywało pogodę.

Pigasow roześmiał się nagle.

— Z czego się pan śmieje, Afrykanie Szymonowiczu? — zapytała Aleksandra Pawłowna.

— Ot tak... Wczoraj słyszałem jak jeden chłop powiedział do swej żony, która się rozgała: — nie trzeszcz!... Bardzo mi się to spodobało. Nie trzeszcz! Bo i rzeczywiście, o czym może rozprawiać kobieta? Pani wie, że ja nigdy nie mówię o obecnych. Starzy ludzie mądrzejsi byli od nas. W ich bajkach piękność siedzi pod oknem, z gwiazdą na czole, ale sama ani dudu. Oto jest, jak należy. Bo niech pani osądzi sama: trzy dni temu przewodnicząca nasza wypaliła do mnie jak z pistoletu: powiada do mnie, że się jej podoba moja *tendencja*! Tendencja! No, i czy nie lepiej byłoby dla niej i dla wszystkich, jeśliby

z jakiegoś dobroczynnego nakazu natury, pozbawiona została nagle możliwości używania języka?

— A pan zawsze taki sam, Afrykanie Szymowiczu: zawsze napada pan na nas, biedne... Wie pan, że to nieszczęście swego rodzaju. Współczuję panu.

— Nieszczęście? Co to takiego raczyła pani powiedzieć! Po pierwsze, według mnie, istnieją na świecie tylko trzy nieszczęścia: mieszkać w zimie w chłodnem mieszkaniu, nosić w lecie ciasne buty i nocować w pokoju, gdzie skrzeczy małe dziecko, którego nie można posypać perskim proszkiem; a powtóre stałem się teraz najspokojniejszym człowiekiem. Mogę służyć za wzór! Oto jak się obyczajnie zachowuję.

— Ślicznie się pan zachowuje, niema co mówić! Nie dalej jak wczoraj Helena Antonówna skarżyła mi się na pana.

— Czyż tak? A cóż ona takiego pani mówiła, pozwoli pani spytać?

— Mówiła mi, że pan całe rano na wszystkie jej pytania odpowiadał tylko, „czego? czego?” i to jeszcze takim piskliwym głosem.

Pigasow zaśmiał się.

— A przecież to była dobra myśl, niech się pani zgodzi, Aleksandro Pawłowno... co?

— Zadziwiająca! Czyż można być tak niegrzecznym względem kobiety Afrykanie Szymonowiczu?

— Co? Helena Antonówna, według pani, — kobieta?

— Czemże ona jest według pana?

— Bęben, na miłość boską, zwyczajny bęben, w który się pałkami bije.

— Ach, tak! — przerwała Aleksandra Pawłowna, pragnąc odmienić rozmowę: — mówiono mi, że można panu powinszować?

— Czego?

— Ukończenia procesu. Glinowskie łąki zostały przy panu...

— Tak, przy mnie, chmurnie odrzekł Pigasow.

— Tak się pan o to dobijał, a teraz wydaje się pan niezadowolony.

— Wyznam pani, Aleksandro Pawłowno, — przemówił wolno Pigasow: niema nic bardziej krzywdzącego, od zbyt późno osiągniętego szczęścia. Zadowolenia ono nie daje, a zato pozbawia

prawa, drogocennego prawa — wymyślania i przeklinania losu. Tak, szanowna pani, gorzką i krzywdzącą rzeczą jest spóźnione szczęście.

Aleksandra Pawłowna wzruszyła tylko ramionami.

— Nianiu, — zaczęła: — ja myślę, że Mitie czas już spać kłaść. Podaj go tutaj.

I Aleksandra Pawłowna zajęła się swym synem, a Pigasow odszedł, mruczając, w przeciwny koniec ganku.

Wtem w dali, na drodze biegnącej wzdłuż ogrodu ukazał się na swej linijce Michał Michałowicz. Przed koniem biegły dwa ogromne psy podwórzowe: jeden żółty, drugi szary, niedawno sprowadzone, gryzły się ustawicznie i mimo to żyły w nierozłącznej przyjaźni.

Naprzeciw nich wyszła z bramy stara suka, otworzyła pysk, jakgdyby mając zamiar zaszczekać, ale skończyła tylko na ziewnięciu i powróciła, wywijając przyjaźnie ogonem.

— Spójrzyj no, Sasza, — krzyknął zdaleka Leźniew; — kogo ci wiozę...

Aleksandra Pawłowna nie odrazu poznała człowieka, siedzącego za plecami jej męża.

— A! pan Basistow! — wykrzyknęła w końcu.

— On, on, — odpowiedział Leźniew: — i jakie dobre nowiny przywiózł. Poczekaj zaraz się dowiesz. — I wjechał na podwórze.

W parę minut potem zjawił się razem z Basistowem na ganku.

— Hura! — wykrzyknął obejmując żonę. — Sergjusz się żeni!

— Z kim? — ze wzruszeniem zapytała Aleksandra Pawłowna.

— Rozumie się z Natalją... Oto przyjaciel, który przywiózł tę wiadomość z Moskwy i list do ciebie... Słyszysz, Miszuk! — dodał, chwytając syna na ręce: — Twój wuj się żeni!... Co za flegma niegodziwa i teraz tylko oczami mruga!

— Tak, — rzekł Basistow podchodząc do Aleksandry Pawłowny: — przyjechałem dziś z Moskwy z polecenia Darji Michałowny sprawdzić rachunki majątkowe. A oto list.

Aleksandra Pawłowna rozpieczętowała list swego brata. Składał się z kilku wierszy. W pierwszym porywie radości zawiadamiał siostrę, że oświadczył się Natalji, otrzymał zgodę

jej i Darji Michałowny, obiecywał napisać więcej pierwszą pocztą i przysyłał wszystkim ucałowania. Widocznem było, że pisał w jakimś odurzeniu.

Podali herbatę, posadzili Basistowa. Pytania posypały się gradem na niego. Wszystkich, nawet Pigasowa, uradowała przez niego przywieziona nowina.

— Niech pan powie — powiedział między innemi Leźniew, — dochodziły nas tu słuchy o jakimś panu Korczaginie. To znaczy, że była to plotka?

(Korczagin był pięknym młodzieńcem — salonowy lew nadzwyczaj nadęty i wiele myślący o sobie; zachowywał się wyniośle, jakgdyby nie był żywym człowiekiem, a swym własnym pomnikiem, wzniesionym z publicznych składek).

— No, niezupełnie plotka, — odparł z uśmiechem Basistow. — Darja Michałowna bardzo mu sprzyjała; ale Natalja Aleksówna nie chciała o nim słyszeć.

— Ja go przecież znam, — podchwycił Pigasow: — przecież to dubeltowy bałwan, skoń-

czony bałwan... zmiłujcie się! Jeśliby wszyscy byli do niego podobni, trzebaby było płacić grube pieniądze, żeby się komuś chciało żyć... zmiłujcie się!

— Może, — odrzekł Basistow: — ale w świecie gra on dość pokaźną rolę.

— No, wszystko jedno! — wykrzyknęła Aleksandra Pawłowna: — Bóg z nim! Ach, jakże się cieszę! i Natalja wesoła, szczęśliwa?

— Tak. — Spokojna jest, jak zawsze — zna ją pani przecież — ale wydaje mi się zadowoloną.

Wieczór zszedł na przyjemnej, ożywionej rozmowie. Podano kolację.

— Ale, *à propos*, — spytał Leźniew Basistowa, nalewając mu czerwonego wina: — nie wie pan, gdzie jest Rudin?

— Teraz nie wiem napewne. Zeszłej zimy przyjeżdżał na krótki czas do Moskwy, potem pojechał z pewną rodziną do Symbirska; pisywaliśmy do siebie przez jakiś czas: w ostatnim liście zawiadamiał mnie, że wyjeżdża z Symbirska — nie powiedział gdzie — i już od tej pory nic o nim nie słyszę.

— Nie zginie! — podchwycił Pigasow: — siedzi gdzieś i prorokuje. Ten pan zawsze sobie znajdzie dwóch, trzech wielbicieli, którzy go będą słuchać z otwartymi ustami i pożyczać mu pieniądze. Zobaczycie, iż skończy on tem, że umrze gdzieś w Carewokokszajsku albo w Czu-chłomie — na rękach starej pannicy w peruce, która będzie wspominać o nim, jak o najgenjałniejszym człowieku pod słońcem...

— Bardzo się pan o nim ostro odzywa, — zauważył półgłosem, z wielkiem niezadowoleniem Basistow.

— Nie ostro! — odrzekł Pigasow: — a zupełnie sprawiedliwie. Według mego mniemania nie jest on niczem innem, jak pieczeniarzem. Zapomniałem panu powiedzieć, — ciągnął dalej, zwracając się do Leźniewa: — poznałem owego Terłachowa, z którym Rudin jeździł zagranicę. A jakże, a jakże! Nie może sobie pan wyobrazić, co on mi o nim naopowiadał — komizm poprostu. Zadziwiające, że wszyscy przyjaciele i wyznawcy Rudina stają się z czasem jego wrogami.

— Proszę nie zaliczać mnie do takich przyjaciół! — przerwał zapalczywie Basistow.

— No, pan — co innego! O panu nawet mowy być nie może.

— A cóż takiego opowiadał panu Terłachow? — spytała Aleksandra Pawłowna.

— Dużo opowiadał: wszystkiego nie mogłem zapamiętać. Ale oto najzabawniejszy fakt, który się zdarzył z Rudinem. Rozwijając się bezustannie (ci panowie wciąż się rozwijają: inni na przykład poprostu śpią albo jedzą — a oni znajdują się w rozwoju spania albo jedzenia; czy nie tak p. Basistow? — Basistow nic nie odpowiedział)... Tak więc, rozwijając się ustawicznie, Rudin doszedł drogą filozofji do tego wniosku, że musi się zakochać. Począł poszukiwać przedmiotu godnego miłości. Fortuna uśmiechnęła mu się. Poznał pewną Francuzkę, śliczniutką modystkę. Rzecz odbywała się w pewnem niemieckiem mieście nad Renem. Począł odwiedzać ją, znosić jej książki, mówić o przyrodzie, o Heglu. Możecie sobie państwo wyobrazić sytuację modystki. Wzięła go za astronoma. Mimo to młodzieniec z niego, jak państwo wiedzą, przystojny; przytem — cudzoziemiec, Rosjanin — spodobał się. Oto, наконец naznacza

jej schadzkę i to bardzo poetyczną: w gondoli, na rzece. Francuzka zgodziła się, przystroiła się jaknajpiękniej i pojechała z nim gondolą. Pływali tak ze dwie godziny. I jak państwo myślą, cóż on robił przez ten czas? Gładził Francuzkę po głowie, patrzył w zamyśleniu w niebo i powtórzył kilkakrotnie, że czuje względem niej ojcowską czułość. Francuzka powróciła do domu wściekła i sama potem opowiedziała wszystko Terłachowowi. Ot, jaki to jest jegomość!

I Pigasow roześmiał się.

— Stary cynik z pana! — zauważyła gniewnie Aleksandra Pawłowna: — a ja coraz więcej przekonywam się, że o Rudinie nawet ci, którzy na niego wymyślają, nic złego o nim powiedzieć nie mogą.

— Nic złego? proszę pani, a jego wieczne życie na czyjś koszt, jego pożyczki... Michale Michałowiczu? przecież on od pana napewne pożyczał?

— Posłuchaj pan, Afrykanie Szymonowiczu! — zaczął Leźniew, i twarz jego przybrała poważny wyraz: — pan wie i moja żona wie, że ostatnimi czasy nie byłem zbyt dobrze usposo-

biony do Rudina i nawet często ostro go krytykowałem. Z tem wszystkiem (Leźniew nalał w kieliszki szampana) ot co państwu proponuję: piliśmy przed chwilą za zdrowie naszego drogiego brata i jego narzeczonej; proponuję teraz wypić za zdrowie Dymitra Rudina!

Aleksandra Pawłowna i Pigasow spojrzeli ze zdumieniem na Leźniewa, a Basistow podskoczył z radości, zaczerwienił się i wytrzeszczył oczy.

— Znam go dobrze, — mówił dalej Leźniew: — wiem dobrze o jego wadach. Są one tem więcej widoczne, że nie jest to człowiek przeciętnej miary.

— Rudin — genialna natura! — podchwycił Basistow.

— Genialność może w nim jest — odrzekł Leźniew; — a natura, charakter... w tem właśnie cała bieda, że charakteru właściwie niema... Ale nie o to idzie. Chciałbym mówić o tem, co w nim jest dobre, niezwykle. Jest w nim entuzjizm; a to, wierzcie mi, flegmatykowi, jest najcenniejszą zaletą w naszych czasach. Staliśmy się wszyscy nieznośnie rozsądni, obojętni, znu-

zeni; zasnęliśmy, zastygli i dziękujmy temu, kto nas choćby na chwilę rozrusza i zagrzeje. Czas już po temu. Pamiętasz, Sasza, mówiłem kiedyś z tobą o nim i zarzucałem mu chłód. Miałem — i nie miałem wtedy racji. Chłód ten ma on we krwi — nie jego w tem winą — a nie w głowie. Nie jest aktorem, jak go wówczas nazywałem, nie jest naciągaczem ani oszustem. Żyje na cudzy koszt nie jak wytrykus, a jak dziecko... Tak, on rzeczywiście umrze gdzieś w biedzie i nędzy ale czyż i za to rzucać na niego kamieniem? Nie zdołała nic, dlatego właśnie, że nie ma charakteru, temperamentu; ale któż jest w prawie powiedzieć, że on nie będzie pożytecznym, że się już nie stał pożytecznym? że słowa jego nie rzuciły dużo dobrego ziarna w młode dusze, którym natura nie odmówiła, jak jemu, siły działania, możliwości wykonywania własnych zamiarów? Ja sam, ja pierwszy doświadczyłem tego na sobie... Sasza wie, czem był dla mnie w młodości Rudin. Przypominam sobie, iż twierdziłem również, że słowa Rudina nie mogą działać na ludzi; ale mówiłem wtedy o ludziach podobnych do mnie, w moim obecnym wieku,

o ludziach już przeżytych, połamanych życiem. Jeden fałszywy ton w mowie — i zniknęła dla nas cała harmonja; a u młodego człowieka słuch nie jest tak rozwinięty, nie tak wybredny. Jeśli istota tego, co słyszy wydaje mu się piękną, co go obchodzi ton! Ton znajdzie on sam w sobie.

— Brawo! brawo! — wykrzyknął Basi-
stow — jakże to słusznie powiedziane! A co się
tyczy wpływu, jaki wywierał Rudin, przysięgam
wam, on nie tylko potrafił wstrząsnąć człowie-
kiem, ale podnosił go, nie pozwalał mu zatrzy-
mać się, wywracał go na nice, tchnął w niego
zapał.

— Słyszysz pan? — mówił dalej Leźniew,
zwracając się do Pigasowa. Jakiego jeszcze do-
wodu panu potrzeba? Napada pan na filozofję,
nie znajduje pan dla niej dość wzgardliwych
słów. Ja sam nie mam wielkiego dla niej respek-
tu i niebardzo jej rozumiem. Ale nie stąd pocho-
dzą nasze największe rozterki. Filozoficzne kun-
sztowne wymysły i brednie wszczepiane Rosja-
ninowi nigdy się nie przyjmują: za dużo ma na
to zdrowego zmysłu; ale niepodobna dopuścić
żeby pod mianem filozofji napadano na wszel-

kie dążenia do prawdy i poznania. Nieszczęściem Rudina jest, że nie zna on Rosji. Rosja może się obejść bez każdego z nas, ale nikt z nas nie może się obejść bez Rosji. Biada temu, kto tego nie wie, podwójnie biada temu, kto rzeczywiście obchodzi się bez niej! Kosmopolityzm — głupstwo, kosmopolityzm — zero, gorzej niż zero. Poza narodowością nie ma, ni sztuki, ni prawdy, ni życia, niczego nie ma. Bez wyrazu nie ma nawet idealnie pięknej twarzy, tylko najpospolitsza twarz może być bez wyrazu. Ale znowu powiem, że to nie jest winą Rudina: to jego los, gorzki i ciężki los, za który my go winić nie będziemy. Zbyt daleko zaprowadziłoby to nas, gdybyśmy chcieli dociekać, skąd u nas zjawiają się Rudinowie. A za to, co w nim jest dobrego, bądźmy mu wdzięczni. Łatwiejsze to, niż być względem niego niesprawiedliwymi, a my byliśmy względem niego niesprawiedliwi. Nie naszą rzeczą jest karać go, zresztą niepotrzeba i on sam się ukarał srożej, niż zasługiwał na to... I daj Boże, aby nieszczęście wytraciło w nim wszystko złe i zostawiło samo najlepsze! Piję za zdrowie Rudina. Piję za zdrowie towarzysza moich naj-

lepszycł lat, piję za młodość, za jej nadzieje, za jej dążenia, za jej ufność i uczciwość, za wszystko to, dla czego były nasze serca już w dwudziestym roku życia i od czego nic lepszego nie poznaliśmy dotąd i nie poznamy do śmierci... Piję za was, złote czasy, piję za zdrowie Rudina!

Wszyscy tręcili się z Leźniewem, Basistow z wielkiego zapału o mało nie zbił kieliszka i wychylił go duszkiem, a Aleksandra Pawłowna uścisnęła rękę Leźniewowi.

— Nawet nie podejrzewałem pana Michale Michałowiczu, że taki z pana mówca, zauważył Pigasow: — samemu p. Rudinowi może pan dorównać: nawet mnie przejęło.

— Wcale nie jestem mówcą, — odrzekł Leźniew nie bez gniewu: — a pana, ja myślę, trudno wzruszyć. Zresztą dosyć o Rudinie; pomówmy o czym innem... A co... jakże mu tam... Pandalewski zawsze u Darji Michałowny mieszka? dodał zwracając się do Basistowa.

— A jakże! Zawsze! Wystarała mu się o bardzo dobrze płatną posadę.

Leźniew uśmiechnął się.

— Ot ten nie umrze w nędzy, zato można ręczyć.

Kolacja się skończyła. Goście rozeszli się. Zostawszy sama z mężem, Aleksandra Pawłowna, popatrzyła mu w twarz z uśmiechem.

— Jaki dziś byłeś dobry, Misza, — przemówiła, gładząc go ręką po czole: — jak mądrze i szlachetnie mówiłeś! Ale przyznaj się; uniosłeś się trochę na korzyść Rudina, tak jak dawniej unosiłeś się przeciw niemu...

— Powalonego nie biją... a ja się wtedy bałem, żeby ci głowę nie zawrócił.

— Nie, — prostodusznie odparła Aleksandra Pawłowna: — wydawał mi się zawsze zbyt uczony, bałam się go i nie wiedziałam, co mówić w jego obecności. A jednak Pigasow z wielką złością natrząsał się nad nim dziś, przyznaj.

— Pigasow? — rzekł Leźniew. — Dlatego właśnie stanąłem tak gorąco w obronie Rudina, że Pigasow był obecny. On śmie nazywać Rudina pieczeniarem! A według mnie rola Pigasowa jest znacznie gorsza. Ma niezależny byt, natrząsa się ze wszystkiego, a jakże sam lgnie do osób znanych i bogatych! Czy wiesz, że ten Pigasow,

który z taką złością na wszystkich i wszystko wymyśla i na filozofję napada i na kobiety — czy wiesz, że gdy był urzędnikiem, brał łapówki, i jeszcze jak! Ot co!

— Czyżby? — wykrzyknęła Aleksandra Pawłowna. — Tegom się nie spodziewała! Posłuchaj Misza, — dodała, po chwili milczenia: — chcę ci się o coś zapytać...

— Co takiego?

— Jak myślisz? czy brat będzie szczęśliwy z Natalją?

— Jakby ci powiedzieć... jest wszelkie prawdopodobieństwo... rządzić ona będzie — niema co tego między nami taić, ona mądrzejsza jest; ale on jest dobrym człowiekiem i kocha ją z całej duszy. Czegóż trzeba więcej? przecież my ot, kochamy się wzajemnie i szczęśliwi jesteśmy, nieprawdaż?

Aleksandra Pawłowna uśmiechnęła się i uściśnęła rękę Michała Michałowicza.

Tego samego dnia, gdy wyżej opisane sceny odbywały się w domu Aleksandry Pawłowny, — w jednej z najdalszych gubernij Rosji, włókł

się po szerokiej drodze, w największy upał lichy wózek zaprzężony w trzy konie. Na przodzie, wprost na wózku, oparty nogami o orczyki siedział siwy chłopina w dziurawym kabacie, raz wraz szarpał parcianemi lejcam i poganiał batem. A w tyle wózka, na grubym kufrze, siedział wysoki mężczyzna, w czapce i starym, zakurczonym płaszczu. Był to Rudin. Głowę miał spuszczoną, daszek od czapki na oczy naciśnięty. Nierówne wstrząśnienia wózka rzucały nim z jednej strony na drugą; wydawał się zupełnie nieczułym na to, jakgdyby drzemał. Nagle wyprostował się.

— Kiedyż my dojedziemy do stacji? — spytał woźnicy.

— A ot, panoczku — zagadał chłop i silniej jeszcze zatargał lejcam: — jak tę górkę przejeździemy, będzie jeszcze ze dwie wiorsty, nie więcej... No, ty! rozmyślaj... ja ci pomyślę, — dodał cieniutkim głosem, popędzając prawego konia.

— Zdaje mi się, że bardzo lichy jedziesz, — zauważył Rudin: — od samego rana jedziemy i nie możemy dojechać. Zaśpiewałbyś choć coś.

— A co robić, panoczku! Konie, sami widzi-

cie, zamorzone i przytem upał. A śpiewać nie umiem, ja nie jamszczyk... hej ty, baranku! — wykrzyknął nagle chłopina, zwracając się do przechodnia w szarej kapocie i schodzonych łapciach: — usuń się.

— Widzisz go... furman! — mruknął za nim przechodzień i zatrzymał się. — Moskiewski gnat! — dodał, głosem pełnym niechęci, potrząsnął głową i pokuszytykał dalej.

— Gdzie ty! — zawołał chłop, szarpiąc środkowego konia; — ach ty chytra! naprawdę, chytra...

Zmordowane koniska dowlokły się jako tako do stacji pocztowej. Rudin wysiadł z wózka, zapłacił chłopu (który nie uklonił mu się i pieniądze długo przebierał na dłoni — widocznie mały dostał napiwek) i sam wniósł swój kufer do izby pocztowej.

Pewien mój znajomy, który swego czasu dużo włóczył się po Rosji, zauważył, że jeżeli w poczekalni pocztowej wiszą na ścianach obrazy, przedstawiające sceny z Jeńca Kaukaskiego, albo rosyjskich generałów, to konie można będzie prędko dostać; ale jeśli na obrazach przed-

stawione jest życie sławnego George'a de Germanie, to podróżny niech się nie spodziewa szybkiego odjazdu. Zdąży się narozkoszować zafryzowanym harbajtlem, białą kamizelką i niezwykle wąskimi i krótkimi pantalonami na obrazku, przedstawiającym go z czasów jego młodości, i jego dziką fizjognomją, kiedy już jako starzec, w izdebce na poddaszu, zabija swego syna zamachując się na niego krzesłem. W izbie, do której wszedł Rudin wisiały właśnie te ryciny z lat trzydziestych pod tytułem „Życie grajka“. Na okrzyk Rudina zjawił się dozorca, zaspany, (à propos, czy widział kto niezaspanego dozorcę?) i nie czekając zapytania oznajmił głosem znudzonym, że koni niema.

— Jakże mówicie, że koni niema, — rzekł Rudin: — a nawet nie wiecie, dokąd jadę. Przyjechałem tu pocztowymi końmi.

— Niema żadnych koni, — odrzekł dozorca. — A dokąd pan jedzie?

— Do ...ska.

— Niema koni, — powtórzył dozorca i wyszedł.

Rudin ze złością zbliżył się do okna i rzucił

czapkę na stół. Nie bardzo się zmienił, zżółkł tylko przez te ostatnie dwa lata; srebrne nitki zabłysły gdzie niegdzie w jego kędziorach, a oczy, zawsze jeszcze piękne, jakgdyby zbladły; drobne zmarszczki, ślady gorzkich i niepokojących uczuć, osiadły wkoło ust, na policzkach, na skroniach.

Ubranie miał znoszone i stare, bielizny nie było ani śladu. Czas rozkwitu minął u niego widocznie: „poszedł, jak wyrażają się ogrodnicy, „w nasienie“. Począł czytać napisy na ścianach... znana rozrywka znudzonych podróżujących... wtem skrzypnęły drzwi, wszedł dozorca.

— Koni do ...ska niema, i nie prędko będą, — powiedział; — ale do ...owa są powrotne.

— Do ...owa? — przemówił Rudin. — Zmiłujcie się! to przecie wcale nie po drodze. Ja jadę do Penzy, a ...owo leży, zdaje się, w kierunku Tambowa.

— Cóż, może pan z Tambowa pojechać, albo z drogi pan jakoś skręci.

Rudin pomyślał chwilę.

— No, niechże będzie, — wyrzekł w końcu: —

każcie zakładać konie. Wszystko mi jedno; pojadę do Tambowa.

Konie zajechały wkrótce. Rudin wyniósł swój kufer, wlażł na wózek, usiadł, skulił się znowu. Było coś bezradnego, smutnego i pokornego w jego zgiętej postaci. I konie powlokły się powolnym kłusem z urywanym brzękiem dzwonek.

EPILOG.

Minęło znów parę lat.

Był chłodny, jesienny dzień. Przed najlepszym hotelem gubernialnego miasta C... zatrzymała się podróżna kareta; wysiadł z niej, zlekka przeciągając się i pochrzäkując jakiś pan, nie stary jeszcze, ale taki, który zdążył już nabrać budzącą respekt okrągłość kształtów. Wszedłszy po schodach na drugie piętro, zatrzymał się u wejścia do szerokiego korytarza, i nie widząc nikogo przed sobą, zażądał donośnym głosem pokoju. Stuknęły gdzieś drzwi, z za niskiego parawanika wyleciał wysoki lokaj i poszedł naprzedz szybkim, ukośnym krokiem, migając

w półmroku korytarza wyświeconym grzbietem i zakasanemi rękawami. Wszedłszy do pokoju, usiadł na kanapie i oparłszy się kułakami o kolana, najpierw rozejrzał się wkoło, jakby zbudzony ze snu, a potem kazał zawołać swego służącego. Lokaj zgiął się uniżenie i znikł.

Przyjezdnym tym był Leźniew. Wezwany poborem wojskowym, przyjechał ze wsi do S—ka.

Służący Leźniewa, młody chłopak, kędzierzawy i rumiany, w szarym płaszczu, podpasany niebieskim pasem, w filcowych butach, wszedł do pokoju.

— No, bracie, i dojechaliśmy, — rzekł Leźniew: — a ciągle się bałeś, że obręcz zleci z koła.

— Dojechaliśmy! — odparł służący, usiłując się uśmiechnąć pomimo podniesionego kołnierza płaszcza: — ale dlaczego ta obręcz nie spadła...

— Jest tam kto? — rozległ się głos w korytarzu.

Leźniew drgnął i zaczął nasłuchiwać.

— Ej! kto tam? — powtórzył głos.

Leźniew wstał, podszedł do drzwi i szybko je otworzył. Stał przed nim człowiek wysokiego

wzrostu, siwy prawie zupełnie, zgarbiony, w starym pluszowym surducie ze świecącymi guzikami. Leźniew poznał go natychmiast.

— Rudin! — wykrzyknął ze wzruszeniem.

Rudin obejrzał się. Nie mógł rozeznaczyć rysów twarzy Leźniewa, stojącego tyłem do światła, i patrzył na niego ze zdziwieniem.

— Nie poznaje mnie pan? — zapytał Leźniew.

— Michał Michałowicz! — wykrzyknął Rudin i wyciągnął rękę, ale zmieszał się i cofnął ją...

Leźniew pochwycił szybko oburącz rękę Rudina.

— Niech pan wejdzie do mnie! — powiedział i wprowadził go do pokoju.

— Jak się pan zmienił! — wyrzekł Leźniew po chwili milczenia, zniżając mimowoli głos.

— Tak, podobno, — odrzekł Rudin, błędząc wzrokiem po pokoju. — Lata... A pan nieźle wygląda. Jak zdrowie Aleksandry... małżonki pana?

— Dziękuję, — dobrze. Ale skąd pan tutaj?

— Ja? Długo by o tem opowiadać. Właściwie zaszedłem tu przypadkiem. Szukałem jednego znajomego. Zresztą, bardzo rad jestem...

— Gdzie pan będzie jeść obiad?

— Ja? nie wiem. W jakiegokolwiek oberży. Muszę dziś wyjechać stąd.

— Musi pan?

Rudin znacząco się uśmiechnął.

— Tak, muszę. Wyprawiają mnie na wieś do siebie, na pobyt.

— Niech pan zje ze mną obiad.

Rudin poraz pierwszy spojrzał prosto w oczy Leźniewowi.

— Pan zaprasza mnie na obiad? — wyrzekł.

— Tak, Rudin, po staremu, po koleżeńsku. Chce pan? Nie spodziewałem się spotkać pana, i Bóg wie kiedy zobaczymy się znowu. Nie rozstaniemy się przecie tak!

— Jeśli pan sobie życzy, zgadzam się.

Leźniew uściśnął rękę Rudina, zawołał służącego, zamówił obiad i kazał wstawić w lód butelkę szampana.

W ciągu obiadu Leźniew i Rudin, jakgdyby się umówili, wspominali wciąż studenckie swe czasy, wspominali wiele i wielu — żywych i już umarłych. Z początku Rudin mówił niechętnie,

ale po wypiciu kilku kieliszków wina krew się w nim rozgrzała. Wreszcie lokaj wyniósł ostatnią potrawę. Leźniew wstał, zamknął drzwi i powróciwszy do stołu, siadł naprzeciw Rudina i oparł na obu rękach podbródek.

— No, a teraz niech mi pan opowie wszystko, co się z panem działo od czasu, gdyśmy się nie widzieli.

Rudin popatrzył na Leźniewa.

„Boże mój“ — pomyślał znów Leźniew — jakże on się zmienił, biedak!“

Rysy Rudina zmieniły się mało, zwłaszcza od tego czasu, gdyśmy go widzieli na stacji pocztowej; jakkolwiek przybliżająca się starość odbiła na nich swe piętno; ale wyraz ich zmienił się. Inaczej patrzyły oczy; w całej jego istocie, w ruchach to powolnych, to bez potrzeby porywczych, w ochłodłej, jakby rozbitej mowie przejawiało się ostateczne zmęczenie, cichy, tajony smutek, tak różny od tego nawpół udanego smutku, którym kokietował niegdyś, jak wogóle kokietuje nim młodzież pełna nadziei, ufności w siebie.

— Opowiedzieć panu wszystko, co się ze mną działo? — powtórzył. — Wszystkiego opowiedzieć nie można i nie warto... Mordowałem się nie mało, tułałem się nie ciałem tylko, duszą się tułałem. Do czego i do kogo nie rozczarowywałem się, Boże mój! Z kim się nie zbliżałem! Tak, z kim! — powtórzył Rudin, zauważywszy, że Leźniew patrzy na niego z jakimś osobliwym współczuciem, popatrzył mu w twarz. — Ile razy własne moje słowa stawały się dla mnie wstrętne — nie tylko w moich ustach, ale w ustach ludzi dzielających moje sądy! Ile razy przechodziłem od dziecinnego podrażnienia, do stanu tępego, nieczułego konia, który nawet ogonem nie machnie, gdy go biją batem... Ileż razy cieszyłem się, miałem nadzieję, nienawidziłem i poniżałem się na próżno! Ile razy wylatywałem sokołem — a powracałem pełznąc jak ślimak, któremu zgnieciono skorupę!... Gdzieś nie bywał, jakimi drogami nie chodziłem!... A bywają błotniste drogi, — dodał Rudin, i odwrócił się zlekka. — Wie pan... — ciągnął dalej...

— Proszę posłuchać, — przerwał mu Leźniew: — myśmy kiedyś mówili sobie: „ty“

chcesz? wskrzesimy stare czasy... wypijemy na „ty“!

Rudin drgnął, uniósł się, a w oczach jego mignęło coś, czego słowo nie jest w stanie wyrazić.

— Wypijmy, — powiedział — dziękuję ci, bracie, wypijmy!

Leźniew i Rudin wychylili kielichy.

— Ty wiesz, — zaczął znowu, akcentując słowo „ty“ z uśmiechem, Rudin: — siedzi we mnie jakiś robak, który mnie gryzie i wysysa, i nie daje mi spokoju do końca. Popycha mnie ku ludziom, którzy początkowo poddają się mojemu wpływowi, a potem...

Rudin machnął ręką w powietrzu.

— Od tego czasu, kiedym się rozstał z panem... z tobą, doświadczyłem i poznałem wiele... Zaczynałem żyć, podejmowałem na nowo dwadzieścia razy — i ot — widzisz!

— Wytrzymałości nie miałeś, — wyrzekł jakby do siebie Leźniew.

— Jak mówisz nie miałem wytrzymałości! Budować nigdy nic nie umiałem; i nie łatwo, bracie, budować gdy nie ma się gruntu pod no-

gami, kiedy trzeba samemu swój własny fundament stwarzać! Wszystkich moich poczynañ, a raczej właściwie mówiąc wszystkich porażek, nie będę ci opisywać. Opowiem ci dwa — trzy wypadki... te wypadki z mego życia, gdy wydawało się, że uśmiecha mi się powodzenie, albo raczej, kiedy poczynałem ufać w powodzenie, — co nie jest tem samem... Rudin odrzucił w tył swe siwe i rzadkie już włosy, tym samym ruchem, jakim niegdyś odrzucał swe ciemne, gęste kędziory.

— No, słuchaj, — zaczął. — Zetknąłem się w Moskwie z pewnym dosyć dziwnym panem. Był bardzo bogaty, posiadał wielkie majątności, nie urzędował. Główną, jedyną jego namiętnością była miłość do nauki, do nauki wogóle. Do tej pory nie mogę pojąć, czemu się ta namiętność w nim pojawiała! Pasowała do niego, jak siodło do krowy. Sam z wysiłkiem trzymał się na wysokości rozumu i mówić prawie nie umiał, tylko wodził oczami wyraziście i znacząco kiwał głową. Nie spotkałem, bracie, niezdarniejszej i biedniejszej natury... W smoleńskiej gubernji są takie miejsca — piasek i nic więcej i zrzadka trawa, której żadne zwierzę nie zechce jeść. Nic

mu w ręce nie szło — wszystko wprost uciekało od niego: a on w dodatku miał manję utrudniania najłatwiejszej rzeczy. Jeśliby to od niego zależało, ludzie jadaliby piętami, doprawdy. Pracował, pisał i czytał niezmordowanie. Zdobywał naukę z jakąś upartą zaciekłością, z straszną cierpliwością; ambicję miał ogromną i żelazny charakter. Żył samotnie i miał opinię dziwaka. Poznałem się z nim... no, i spodobałem mu się. Ja, przyznaję się, zrozumiałem go prędko; ale zapal jego wzruszył mnie. Przytem rozporządzał takimi środkami, tyle można było przez niego zrobić dobra, przynieść prawdziwej korzyści.... Zamieszkałem u niego i wyjechałem z nim w końcu na wieś. — Plany, bracie, miałem olbrzymie: marzyłem o różnych udoskonale- niach, zmianach...

— Jak u Łasuńskiej, pamiętasz, — zauważył z dobrodusznym uśmiechem Leźniew.

— Gdzie tam! tam wiedziałem w duszy, że z moich słów nic nie będzie; a tu... tu zupełnie inne pole odkrywało się przede mną... Naprzywoziłem ze sobą agronomicznych książek... co prawda, nie przeczytałem ani jednej do końca...

no, i przystąpiłem do dzieła. Z początku nie szło tak, jak oczekiwałem, ale potem poszło. Mój nowy przyjaciel ciągle milczał, popatrywał i nie przeszkadzał mi, t. zn. do pewnego stopnia nie przeszkadzał mi. Przyjmował moje propozycje i spełniał je, ale z uporem, tępo, z tajonem niedowierzaniem i wszystko naginał do siebie. Każdą swą myśl cenił nadzwyczajnie. Wspinał się na nią z wysiłkiem, jak boża krówka na koniec trawki, i siedzi — siedzi na niej, wciąż jak gdyby skrzydła sprostował i zabierał się do wzlotu — i nagle spadnie i znowu włązi... Nie dziw się tym wszystkim moim porównaniom; one jeszcze wtedy nagromadziły mi się w duszy. Tak się tedy mordowałem dwa lata. Sprawa szła źle, pomimo moich starań. Poczynałem się męczyć, przyjaciel mój zaczął mi ciężyc, zacząłem go jątrzyć, on mnie przytłaczał, jak pierzyna; nieufność jego przeszła w głuche podrażnienie, nieprzyjazne uczucie obejmowało nas obu, nie mogliśmy już o niczem rozmawiać; on nieznacznie, ale bezustannie starał mi się dowieść, że nie poddaje się mojemu wpływowi; rozporządzenia moje albo wypaczał, albo zmieniał zupełnie. Zauważyłem

w końcu, że jestem w domu pana ziemianina w charakterze rezydenta, używanego do umysłowych ćwiczeń. Żał mi się zrobiło tracić czas i siły na próżno, poczułem gorzko, że znowu i znowu omyliłem się w swych oczekiwaniach. Wiedziałem bardzo dobrze, com tracił wyjeżdżając; ale nie mogłem dać sobie rady i pewnego dnia po ciężkiej i oburzającej scenie, której byłem świadkiem i która ukazała mi mego przyjaciela w zbyt już niekorzystnym świetle, pokłóciłem się z nim ostatecznie i wyjechałem. Rzuciłem panicza-pedanta, ulepionego z razowej mąki z domieszką niemieckiej patoki...

— To znaczy rzuciłeś codzienny kawałek chleba, — powiedział Leźniew i położył obie ręce na ramionach Rudina.

— Tak, i znalazłem się znowu goły i lękliwy w pustej przestrzeni. Leć gdzie chcesz... Ech, wypijmy!

— Za twoje zdrowie! — przemówił Leźniew, uniósł się i pocałował Rudina w czoło. — Za twoje zdrowie i za pamięć Pokorskiego... On także umiał pozostać biedakiem.

— Oto masz pierwszy numer moich poczy-

nań, — zaczął po pewnej chwili Rudin. — Czy mówić dalej?

— Mów, proszę cię.

— Ech! nie chce mi się nawet mówić. Zmęczyłem się gadaniem, bracie... No, niech i tak będzie. Tłukłem się tedy z miejsca na miejsce... à propos, mógłbym ci opowiedzieć jak dostałem się jako sekretarz do pewnego dobrze myślącego dygnitarza, i co z tego wyszło; ale to zaprowadziłoby nas zbyt daleko... Tłukłem się więc z miejsca na miejsce i zdecydowałem się wreszcie... nie śmieję się proszę, zostać człowiekiem czynu, człowiekiem praktycznym. Zdarzył się taki wypadek: poznałem się z pewnym... możesz o nim słyszał... z pewnym Kurbiejewem... nie?

— Nie, nie słyszałem. Ale, zmiłuj się, Rudin, jakże ty, ze swym rozumem, nie odgadłeś, że nie twoja to rzecz, być... człowiekiem czynu?

— Wiem, bracie, że nie moja to rzecz, a zresztą cóż jest moją rzeczą?... Ale jeśliś był widział Kurbiejewa! Nie wyobrażaj sobie, proszę, że był to jakiś czczy gaduła. Mówią o mnie, że umiałem niegdyś pięknie mówić. Ja wobec niego byłem niczem. To był człowiek zadziwia-

jąco uczony, umysł twórczy w sprawach przemysłu i przedsięwzięć handlowych. Najśmielsze, zupełnie nieoczekiwane projekty rozsadzały wprost jego mózg. Złączyliśmy się i postanowiliśmy użyć nasze siły dla ogólnego pożytku.

— Dla jakiego, pozwól spytać?

Rudin spuścił oczy.

— Będiesz się śmiać.

— Dlaczego? Nie, nie będę się śmiać.

— Postanowiliśmy jedną rzekę w K.....skiej guberni zamienić w spławną, — powiedział Rudin z zażenowanym uśmiechem.

— Ot co! To znaczy, ów Kurbiejew jest kapitalistą?

— Biedniejszy był odemnie, — odrzekł Rudin, i spuścił wolno swą siwą głowę.

Leźniew roześmiał się, ale nagle zatrzymał się i ujął rękę Rudina.

— Daruj mi proszę, bracie, — powiedział: — nie spodziewałem się zupełnie czegoś podobnego. No i co, to przedsięwzięcie wasze pozostało na papierze?

— Nie zupełnie. Był początek wykonania. Najęliśmy robotników... i przystąpiliśmy. Ale tu

spotkały nas przeróżne przeszkody. Najpierw, właściciele młynów w żaden sposób nie chcieli nas zrozumieć, a ponadto nie mogliśmy sobie poradzić z wodą bez maszyn, a na maszyny nie starczyło nam pieniędzy. Sześć miesięcy przeżyliśmy w szalasach. Kurbiejew żywił się samym chlebem, ja też nie dojadalem. Zresztą nie żałuję tego, przyroda tam jest cudowna. Borykali się, borykali, namawialiśmy kupców, pisaliśmy listy, cyrkularze. Skończyło się tem, że wysuplałem się do ostatniego grosza przy tym projekcie.

— No, — zauważył Leźniew; — ja myślę, że nie trudno było wysuplać twój ostatni grosz.

— Nie trudno, w istocie.

Rudin spojrzał w okno.

— A projekt, Dalibóg, nie był zły i mógł przynieść olbrzymie korzyści.

— Gdzież się podział ten Kurbiejew? — spytał Leźniew.

— On? w Syberji teraz jest, złoto wydobywa. Zobaczysz, że zdobędzie majątek, on nie zginie.

— Możliwe, ale ty napewne nie zbijesz majątku.

— Ja? cóż robić! Zresztą, wiem: zawsze byłem w twoich oczach pustym człowiekiem.

— Ty? Dosyć, bracie!... Był taki czas rzeczywiście, kiedy rzucały mi się w oczy tylko złe twoje strony; ale teraz, wierz mi, nauczyłem się cenić cię. Ty nie zbijesz majątku... Lubię cię za to...

Rudin uśmiechnął się słabo.

— W samej rzeczy?

— Szanuję cię zato! — powtórzył Leżniew: — rozumiesz mnie?

Milczeli obaj przez chwilę.

— No cóż, mam przejść do trzeciego numeru? — spytał Rudin.

— Bądź łaskaw.

— Jak chcesz. Numer trzeci i ostatni. Z tym numerem właśnie teraz skończyłem. Ale, czyż nie znudziłem cię?

— Mów, mów.

— Oto, widzisz, — zaczął Rudin: — pomyślałem sobie kiedyś wolną chwilą... wolnych chwil zawsze miałem dużo... pomyślałem: wie-

dzy posiadam dość, pragnę dobra... słuchaj, przecież i ty nie zaprzeczysz we mnie dążenia do dobra?

— Ja myślę!

— We wszystkich innych sprawach nie zdałem egzaminu... czemubym nie miał zostać pedagogiem, czyli poprostu mówiąc, nauczycielem... zamiast żyć tak na próżno...

Rudin zatrzymał się i westchnął.

— Zamiast żyć na próżno, czyż nie lepiej oddać drugim to, co sam umiem: może inni potrafią wyciągnąć z moich doświadczeń pewną korzyść. Zdolności mam nieprzeciętne, językiem umiem władać... I postanowiłem poświęcić się tej nowej sprawie. Trudno było mi dostać miejsce w szkole; prywatnych lekcji nie chciałem dawać; w niższych szkołach nie miałem co robić. Udało mi się w końcu dostać posadę nauczyciela w tutejszem gimnazjum.

— Nauczyciela — czego? — spytał Leźniew.

— Nauczyciela rosyjskiej literatury. Wyznam ci, iż do żadnej sprawy nie zabrałem się z takim zapałem, jak do tej. Myśl, że będę działać na młodzież ożywiała mię. Trzy tygodnie sie-

działem nad przygotowaniem wstępnego wykładu.

— Masz to przy sobie? — przerwał Leźniew.

— Nie, zadziało się to gdzieś. Wykład udał się i miał powodzenie. Jak dziś, widzę twarze moich słuchaczy, — twarze dobre, młode, z wyrazem szczerzego zainteresowania, odczucia, nawet zdumienia. Wszedłem na katedrę, przeczytałem wykład jak w gorączce; myślałem, że wystarczy tego na przeszło godzinę, a skończyłem w dwadzieścia minut. Inspektor był obecny — chudy staruszek, w srebrnych okularach, w krótkiej peruczce, od czasu do czasu pochylał głowę w moją stronę. Gdy skończyłem, zeszłem z katedry, powiedział mi: „Dobrze, tylko trochę zbyt górnio, niejasno i o samym przedmiocie za mało powiedziane“. A uczniowie z szacunkiem odprowadzali mnie wzrokiem... do prawdy. Oto dla czego młodzież dużo jest warta! Drugi wykład przyniosłem napisany, trzeci również... potem zacząłem improwizować.

— I miałeś zawsze powodzenie? — spytał Leźniew.

— Miałem wielkie powodzenie. Oddawałem

się słuchaczom całą duszą. Było między nimi dwóch, trzech chłopców rzeczywiście wybitnych; pozostali mało mnie rozumieli. Zresztą, muszę wyznać, że i ci, którzy mnie rozumieli, żenowali mnie czasem swemi pytaniami. Ale nie upadałem na duchu. Lubili mnie wszyscy; na repetycjach stawiałem wszystkim dobre oceny. Ale tu rozpoczęła się przeciw mnie intryga... albo nie! nie było intrygi; poprostu wpadłem w nieswoją sferę. Ja krępowałem i byłem skrępowany. Wykładałem uczniom tak, jak nie zawsze wykłada się studentom; słuchacze moi mało korzystali z moich wykładów... a fakty ja sam źle znałem. Nie zadawałniałem się przytem wyznaczoną mi sferą działania... to jest już, jak wiesz, moją słabością. Pragnąłem gruntownych reform i przysięgam ci, że te reformy były rozsądne i łatwe. Miałem nadzieję przeprowadzić je przez dyrektora, człowieka dobrego i uczciwego, na którego miałem początkowo wpływ. Żona jego pomagała mi. Nie spotkałem, bracie, w moim życiu takich kobiet. Miała już lat około czterdziestu ale wierzyła w dobro, lubiła wszelkie piękno, jak piętnastoletnia dziewczyna i nie bała się

przed nikim wypowiadać swoich przekonań. Nie zapomnę nigdy jej szlachetnego entuzjazmu i czystości duszy. Za jej radą napisałem plan... Ale tu wykopano dołek podemną, oczerniono mnie przed nią. Więcej od innych zaszkodził mi nauczyciel matematyki, człowiek małoduszny, zjadliwy, zgryźliwy i nie wierzący w nic, w rodzaju Pigasowa, tylko znacznie rozsądniejszy... à propos, co się dzieje z Pigasowem, żyje?

— Żyje i wyobraź sobie ożenił się z jakąś mieszczanką, która go podobno bija.

— Słusznie! No, a Natalja Aleksówna zdrowa?

— Tak.

— Szczęśliwa?

— Tak.

Rudin milczał czas jakiś.

— O czymże ja to mówiłem... tak! o nauczycielu matematyki. Znienawidził mnie; porównywał moje lekcje do fajerwerków, podchwytywał w locie, każde niezupełnie jasne wyrażenie, raz nawet złapał mnie jakimś pamiętnikiem XVI-go wieku... a co najważniejsze, przewąchał moje zamiary; ostatnia moja bańka mydlana natknęła

się na niego jak na szpilkę i pękła. Inspektor, z którym odrazu nie bardzo mi się powiodło, zbuntował przeciw mnie dyrektora; doszło do sceny; ja nie chciałem ustąpić, zaperzyłem się, sprawa doszła do wiadomości władz; musiałem się podać do dymisji. Nie skończyłem na tem, chciałem dowieść, że nie można ze mną tak postąpić... ale ze mną można było postąpić jak się komu podoba... Teraz muszę stąd wyjechać. Nastąpiło milczenie. Obaj przyjaciele siedzieli ze spuszczonei głowami.

Pierwszy przemówił Rudin.

— Tak, bracie, mógłbym teraz powtórzyć za Kolcowem: „Do czego, młodości moja, doprowadziłaś mnie, zagnałaś, że już kroku dalej postąpić niema gdzie“... A z tem wszystkiem czyż doprawdy byłem do niczego nie zdatny, czyż doprawdy nie ma godnej mnie sprawy na świecie? Stawiałem sobie często to pytanie i mimo, że starałem się sam we własnych oczach po-
 113
 114
 115
 116
 117
 118
 119
 120
 121
 122
 123
 124
 125
 126
 127
 128
 129
 130
 131
 132
 133
 134
 135
 136
 137
 138
 139
 140
 141
 142
 143
 144
 145
 146
 147
 148
 149
 150
 151
 152
 153
 154
 155
 156
 157
 158
 159
 160
 161
 162
 163
 164
 165
 166
 167
 168
 169
 170
 171
 172
 173
 174
 175
 176
 177
 178
 179
 180
 181
 182
 183
 184
 185
 186
 187
 188
 189
 190
 191
 192
 193
 194
 195
 196
 197
 198
 199
 200
 201
 202
 203
 204
 205
 206
 207
 208
 209
 210
 211
 212
 213
 214
 215
 216
 217
 218
 219
 220
 221
 222
 223
 224
 225
 226
 227
 228
 229
 230
 231
 232
 233
 234
 235
 236
 237
 238
 239
 240
 241
 242
 243
 244
 245
 246
 247
 248
 249
 250
 251
 252
 253
 254
 255
 256
 257
 258
 259
 260
 261
 262
 263
 264
 265
 266
 267
 268
 269
 270
 271
 272
 273
 274
 275
 276
 277
 278
 279
 280
 281
 282
 283
 284
 285
 286
 287
 288
 289
 290
 291
 292
 293
 294
 295
 296
 297
 298
 299
 300
 301
 302
 303
 304
 305
 306
 307
 308
 309
 310
 311
 312
 313
 314
 315
 316
 317
 318
 319
 320
 321
 322
 323
 324
 325
 326
 327
 328
 329
 330
 331
 332
 333
 334
 335
 336
 337
 338
 339
 340
 341
 342
 343
 344
 345
 346
 347
 348
 349
 350
 351
 352
 353
 354
 355
 356
 357
 358
 359
 360
 361
 362
 363
 364
 365
 366
 367
 368
 369
 370
 371
 372
 373
 374
 375
 376
 377
 378
 379
 380
 381
 382
 383
 384
 385
 386
 387
 388
 389
 390
 391
 392
 393
 394
 395
 396
 397
 398
 399
 400
 401
 402
 403
 404
 405
 406
 407
 408
 409
 410
 411
 412
 413
 414
 415
 416
 417
 418
 419
 420
 421
 422
 423
 424
 425
 426
 427
 428
 429
 430
 431
 432
 433
 434
 435
 436
 437
 438
 439
 440
 441
 442
 443
 444
 445
 446
 447
 448
 449
 450
 451
 452
 453
 454
 455
 456
 457
 458
 459
 460
 461
 462
 463
 464
 465
 466
 467
 468
 469
 470
 471
 472
 473
 474
 475
 476
 477
 478
 479
 480
 481
 482
 483
 484
 485
 486
 487
 488
 489
 490
 491
 492
 493
 494
 495
 496
 497
 498
 499
 500
 501
 502
 503
 504
 505
 506
 507
 508
 509
 510
 511
 512
 513
 514
 515
 516
 517
 518
 519
 520
 521
 522
 523
 524
 525
 526
 527
 528
 529
 530
 531
 532
 533
 534
 535
 536
 537
 538
 539
 540
 541
 542
 543
 544
 545
 546
 547
 548
 549
 550
 551
 552
 553
 554
 555
 556
 557
 558
 559
 560
 561
 562
 563
 564
 565
 566
 567
 568
 569
 570
 571
 572
 573
 574
 575
 576
 577
 578
 579
 580
 581
 582
 583
 584
 585
 586
 587
 588
 589
 590
 591
 592
 593
 594
 595
 596
 597
 598
 599
 600
 601
 602
 603
 604
 605
 606
 607
 608
 609
 610
 611
 612
 613
 614
 615
 616
 617
 618
 619
 620
 621
 622
 623
 624
 625
 626
 627
 628
 629
 630
 631
 632
 633
 634
 635
 636
 637
 638
 639
 640
 641
 642
 643
 644
 645
 646
 647
 648
 649
 650
 651
 652
 653
 654
 655
 656
 657
 658
 659
 660
 661
 662
 663
 664
 665
 666
 667
 668
 669
 670
 671
 672
 673
 674
 675
 676
 677
 678
 679
 680
 681
 682
 683
 684
 685
 686
 687
 688
 689
 690
 691
 692
 693
 694
 695
 696
 697
 698
 699
 700
 701
 702
 703
 704
 705
 706
 707
 708
 709
 710
 711
 712
 713
 714
 715
 716
 717
 718
 719
 720
 721
 722
 723
 724
 725
 726
 727
 728
 729
 730
 731
 732
 733
 734
 735
 736
 737
 738
 739
 740
 741
 742
 743
 744
 745
 746
 747
 748
 749
 750
 751
 752
 753
 754
 755
 756
 757
 758
 759
 760
 761
 762
 763
 764
 765
 766
 767
 768
 769
 770
 771
 772
 773
 774
 775
 776
 777
 778
 779
 780
 781
 782
 783
 784
 785
 786
 787
 788
 789
 790
 791
 792
 793
 794
 795
 796
 797
 798
 799
 800
 801
 802
 803
 804
 805
 806
 807
 808
 809
 810
 811
 812
 813
 814
 815
 816
 817
 818
 819
 820
 821
 822
 823
 824
 825
 826
 827
 828
 829
 830
 831
 832
 833
 834
 835
 836
 837
 838
 839
 840
 841
 842
 843
 844
 845
 846
 847
 848
 849
 850
 851
 852
 853
 854
 855
 856
 857
 858
 859
 860
 861
 862
 863
 864
 865
 866
 867
 868
 869
 870
 871
 872
 873
 874
 875
 876
 877
 878
 879
 880
 881
 882
 883
 884
 885
 886
 887
 888
 889
 890
 891
 892
 893
 894
 895
 896
 897
 898
 899
 900
 901
 902
 903
 904
 905
 906
 907
 908
 909
 910
 911
 912
 913
 914
 915
 916
 917
 918
 919
 920
 921
 922
 923
 924
 925
 926
 927
 928
 929
 930
 931
 932
 933
 934
 935
 936
 937
 938
 939
 940
 941
 942
 943
 944
 945
 946
 947
 948
 949
 950
 951
 952
 953
 954
 955
 956
 957
 958
 959
 960
 961
 962
 963
 964
 965
 966
 967
 968
 969
 970
 971
 972
 973
 974
 975
 976
 977
 978
 979
 980
 981
 982
 983
 984
 985
 986
 987
 988
 989
 990
 991
 992
 993
 994
 995
 996
 997
 998
 999
 1000

czas ufny w siebie i nieszczerzy... Rzeczywiście, nie zeznawałem wtedy jasno, czego chciałem, upijałem się własnymi słowami i wierzyłem w majaki; ale teraz, przysięgam ci, mogę głośno, przed wszystkimi wypowiedzieć wszystko, czego pragnę. Nie mam absolutnie co ukrywać: jestem w najistotniejszej treści tego słowa człowiekiem pełnym dobrych chęci; spotulniałem, chcę się zastosować do okoliczności, chcę niewielkich rzeczy, chcę osiągnąć bliski cel, przynieść choćby niewielką korzyść. Nie! nie udaje się! cóż to znaczy? Co przeszkadza mi żyć i działać, jak inni? O tem przecież teraz tylko marzę. Ale czyż potrafię wejść na określone stanowisko, zatrzymać się na pewnym punkcie, — los zepchnie mnie... Zacząłem się go bać — mojego losu... Czemu to wszystko? Rozwiąż mi tę zagadkę!

— Zagadkę! — powtórzył Leźniew. — Tak, to prawda. Ty i dla mnie byłeś zawsze zagadką. Nawet w młodości, gdy po jakimś drobnym wybryku, ty znów powiesz coś takiego od czego drgnie serce — a potem znowu zaczniesz... no, wiesz co chcę powiedzieć... nawet wtedy nie ro-

zumiałem cię: dlatego to i przestałem cię lubić.. Sił masz tyle, takie niezmordowane dążenie do ideału...

— Słowa, wszystko słowa! czynu nie było! — przerwał Rudin.

— Czynu nie było! Jakiż czyn...

— Jakiż czyn? Ślepą babkę i całą jej rodzinę własną pracą utrzymać, tak jak robił to, pamiętasz, Prjażencew... Oto masz i czyn.

— Tak; ale słowo dobre też jest czynem.

Rudin popatrzył na Leźniewa i cicho zaprzeczył ruchem głowy.

Leźniew chciał coś powiedzieć, powiódł ręką po twarzy.

— A więc jedziesz na wieś? — spytał w końcu.

— Na wieś.

— A czy masz jeszcze wieś?

— Coś tam zostało. Dwie i pół duszy. Jest kąt w którym można oczekiwać śmierci. Pomyślisz może w tej chwili: „i teraz nie mógł się obejść bez frazesu“. Frazes zgubił mnie rzeczywiście; zjadł mnie, nie mogłem się od niego do końca odczepić. Ale to, co teraz powiedziałem.

nie jest frazesem. Nie są frazesem te białe włosy, te zmarszczki; te podarte łokcie też nie są frazesem. Byłeś zawsze surowym względem mnie i miałeś rację; ale nie czas na surowość teraz, kiedy już wszystko skończone, i oliwy w lampce niema, lampa nawet rozbita, i lada chwila dopali się knot... Śmierć bracie, powinna w końcu pogodzić...

— Leżniew porwał się.

— Rudin! — wykrzyknął. — poco to mówisz? Czemże zasłużyłem u ciebie na takie słowa? Cóż to za sędzia ze mnie i jakimże byłbym człowiekiem, jeśliby mi na widok twych zapadłych policzków i zmarszczek mogło na myśl przyjść słowo: frazes — Chcesz wiedzieć, co o tobie myślę? Proszę cię! myślę: oto człowiek... z jego zdolnościami mógł być osiągnąć czegoby zechciał, jakimi bogactwami mógłby być zawładnąć... a spotykam go głodnego, bez przytułku...

— Wzbudzam twoje współczucie, — rzekł głucho Rudin.

— Nie, mylisz się. Szacunek we mnie wzbudzasz. Któżby ci przeszkadzał, ażebyś lata za la-

tami spędzał u owego ziemianina, twego przyjaciela, który, pewien jestem, jeśli byś tylko zechciał poddać mu się, zabezpieczyłby twój byt? Dlaczego nie mogłeś przystosować się w gimnazjum, czemu, dziwny człowieku, z jakimkolwiek pomysłem nie zaczynałbyś sprawy, zawsze kończyłeś tem, że poświęcałeś swoje osobiste korzyści, nie zapuszczałeś korzeni w złą ziemię, żeby nie wiem jak tłustą była?

— Urodziłem się perekotypołem¹⁾, — powiedział Rudin ze smutnym uśmiechem. — Nie mogę się nigdzie zatrzymać.

— To prawda; ale nie możesz się zatrzymać nie dlatego że, jak powiedziałeś, robak cię toczy. Nie robak siedzi w tobie, ani duch wiecznego niepokoju — w tobie się pali ogień miłości prawdy, widocznie, mimo wszystkich twoich przywar, pali się w tobie silniej niż u wielu innych, którzy nawet nie uważają się za egoistów, a ciebie może nazywają intrygantem. Ja sam, ja pierwszy dawnobym na twoim miejscu zmu-

¹⁾ Przyp. tłum., roślina z rodziny baldaszkowatych, spotykana na stepach, tę nazwę ruską przyswoił nam i Sienkiewicz w *Ogniem i Mieczem*.

sił do milczenia owego robaka i pogodziłbym się ze wszystkim; a tobie to nawet żółci nie dodało, i jestem pewien, że dziś, zaraz mógłbyś się znowu zabrać do nowej roboty jak młodzieniec.

— Nie bracie, zmęczony jestem — wyrzekł Rudin. — Dosyć już mam.

— Zmęczony! Ktoś inny dawnoby umarł. Mówisz, że śmierć godzi; a życie, czy sądzisz, nie godzi? Kto pożył trochę i nie stał się wyrozumiałym, ten sam nie zasługuje na wyrozumiałość. A któż może powiedzieć o sobie, że nie potrzebuje wyrozumiałości? Robiłeś coś mógł, borykałeś się dopóki mogłeś... Czegóż trzeba więcej? Drogi nasze rozeszły się...

— Ty, bracie, jesteś zupełnie innym, niż ja człowiekiem, — przerwał Rudin z westchnieniem.

— Drogi nasze się rozeszły, — mówił dalej Leźniew: — może, właśnie dlatego, że dzięki mojemu majątkowi, zimnej krwi i innym szczęśliwym okolicznościom, nic nie przeszkadzało mi siedzieć jak niemowlęciu, i patrzeć z założonymi rękami, a ty musiałeś wyjść w pole z zakasanymi rękawami, trudzić się, pracować. Na-

sze drogi się rozeszły, ale spójrz, jak bliscy sobie jesteśmy. Przecież my rozmawiamy ze sobą tym samym prawie językiem, z półwzmianki rozumiemy się — z tych samych uczuć wyrosliśmy. Mało nas przecie zostało, bracie; jesteśmy obaj ostatni mohikanie! Mogliśmy się rozchodzić, nawet być sobie wrogimi za dawnych lat, kiedy dużo jeszcze było przed nami życia, ale teraz, gdy tłum przeredza się wkoło nas, gdy nowe pokolenia idą obok nas, nie do naszych celów, trzeba nam się mocno trzymać razem. Trąćmy się, bracie, po staremu: *Gaudeamus igitur!*

Przyjaciele trącili się szklankami i zaśpiewali fałszywie wzruszonemi, prawdziwie rosyjskimi głosami starą studencką pieśń.

— Jedziesz teraz oto na wieś, — zaczął znowu Leźniew. — Nie myślę, żebyś tam długo siedział i nie wyobrażam sobie, jak i gdzie możesz skończyć... Ale pamiętaj: cokolwiekby się z tobą zdarzyło, masz zawsze miejsce, gniazdo, gdzie się możesz ukryć. To mój dom... słyszysz stary? Myśli także bywają inwalidami i trzeba żeby miały swój przytułek.

Rudin wstał.

— Dziękuję ci, bracie, — rzekł. — Dziękuję! Nie zapomnę ci tego. Ale przytułku nie jestem wart. Zepsułem swoje życie i nie służyłem myśli jak należy.

— Milcz! — ciągnął Leźniew. — Każdy musi zostać tem, czem go zrobiła natura i nie można więcej wymagać. Nazwałeś się żydem wiecznym tułaczem... A skądże wiesz, czy nie należy ci wiecznie tułać się, może spełnisz przez to wyższe, nieznane ci posłannictwo: mądrość ludowa nie darmo głosi, że Bóg nami wszystkiemi rządzi. — Wyjeżdżasz, — mówił Leźniew, widząc, że Rudin bierze czapkę. — Nie zanocujesz tu?

— Jadę! Żegnaj. Dziękuję... a skończę paskudnie.

— To wie Bóg... Wyjeżdżasz stanowczo?

— Jadę. Żegnaj. Nie wspominaj źle.

— Nie wspominaj mnie źle i ty... i nie zapomnij, com ci powiedział. Żegnaj...

Przyjaciele uścisnęli się. Rudin wyszedł szybko.

Leźniew chodził długo wzdłuż i wszerz pokoju, zatrzymał się przed oknem, pomyślał, wy-

rzekł półgłosem „biedak“ i usiadłszy przy stole zaczął pisać list do swojej żony.

A na dworze podniósł się wiatr i zawył złowieszczo, ciężko, ze złością uderzając w brzęczące szyby. Nastąpiła jesienna noc. Dobrze temu, kto w takie noce siedzi pod schronem domu, kto ma ciepły kącik... I dopomóż Boże wszystkim bezdomnym tułaczom.

W upalne południe 26 czerwca 1848 roku, w Paryżu, kiedy już rewolucja „majstrów narodowych“ była prawie stłumiona, w jednej z ciasnych uliczek przedmieścia św. Antoniego, bataljon regularnego wojska brał barykadę. Kilka armatnich wystrzałów rozbiło ją prawie, obrońcy jej pozostali przy życiu, opuszczali ją szybko i myśleli tylko o własnem ocaleniu, gdy wtem na samym szczycie, na pogniecionem pudle wywróconego omnibusa, zjawił się wysoki człowiek w starym surducie podpasanym czerwoną szarfą i słomianym kapeluszu na siwych, potarganych włosach. W jednej ręce trzymał czerwony sztandar, w drugiej — krzywą i tępą szablę, i krzyczał coś natężonym cienkim głosem, wy-

drapując się w górę i wymachując sztandarem i szablą. — Strzelec z *Vincennes* zmierzył do niego i wypalił... Wysoki człowiek wypuścił sztandar i — jak worek, zwałił się twarzą w dół, jak-gdyby kłaniając się nisko komuś... Kula przeszła mu na wylot serce.

— *Tiens!* — powiedział ktoś z uciekających rewolucjonistów do swego towarzysza: *on vient de tuer le Polonais.*

— *Bigre!* — odpowiedział tamten i obaj uciekli do piwnicy domu, w którym wszystkie okiennice były zamknięte i ściany pstrzyły się śladami kul i śrutu.

Tym „*Polonais*“ był Dymitr Rudin.

K o n i e c.

